

Wyd. P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/48

1951



• «La Culture» • Revue mensuelle •

W. GOMBROWICZ — Przeciw poetom * ST. VINCENZ —
Rocznice Gandhiego * T. SOŁOWIJ — Powstanie Warszawskie
i problem odpowiedzialności * ST. GRYZIEWICZ — Ewolucja
systemu agrarnego w Sowietach ♦ M. A. REMIZOW — Na
katordze. Szczurza porcja. ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE ♦
SPRAWY I TROSKI ♦ SPRAWY KRAJOWE ♦ KRONIKA
KULTURALNA ♦ STRATY KULTURY POLSKIEJ ♦
KSIĄŻKI ♦ LISTY DO REDAKCJI.

SPIS RZECZY:

Witold Gombrowicz:	<i>Przeciw poetom</i>	3
Stanisław Vincenz:	<i>Rocznice Gandhiego (c.d.)</i>	12
Tadeusz Sołowij:	<i>Powstanie Warszawskie i problem odpowiedzialności</i>	34
Stanisław Gryziewicz:	<i>Ewolucja systemu agrarnego w Sowietach</i>	50
Zbigniew Małecki:	<i>Książka na Kongresie Wiedeńskim</i>	59

ŚCIEŻKI

Józef Czapski:	<i>«Montagnes Russes»</i>	72
A. M. Remizow:	<i>Na katordze</i>	79
» » »	<i>Szczurza porcja</i>	81

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i>	85
Bogdan Konaszewicz:	<i>List z Niemiec</i>	90

Wanda Falk:	<i>Rozmowa</i>	100
Jerzy Lerski:	<i>Kronika amerykańska</i>	105
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	114
Jan Ulatowski:	<i>Kronika francuska</i>	116

SPRAWY I TROSKI

Jerzy Stefan Langrod:	<i>Wspomnienie o Polskiej Akademii Umiejętności</i>	118
Ch. L.:	<i>Kłopoty «sportowe» reżimu</i>	126

KRONIKA KULTURALNA

Tymon Terlecki:	<i>Shaw w Polsce</i>	127
E. Stefanek:	<i>Tłó Lautrec'a</i>	138

STRATY KULTURY POLSKIEJ

M. K. Dziewanowski:	<i>Zgon historyka wojen i wojskowości</i>	139
---------------------	-------------------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Z.:	<i>Porachunki petainistów</i>	141
Kazimierz Zamorski:	<i>Katyń</i>	144
Stefan Kościółkowski:	<i>Alma Mater Vilnensis</i>	148
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze.</i>	151

J. Skarbek-Michałowski;		
mjr. «Siwy», kpt. mar.		
«Sandacz», kpt. «Kret»;		
Wł. Pobóg-Malinowski;		
Tad. Drobniak;		
Jerzy Dittmar:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
—	<i>Résumé en langue française</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik — Octobre 1951

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Witold GOMBROWICZ, ur. 4 sierpnia 1904 w Sandomierskim, ukończył gimnazjum św. Stanisława w Warszawie i wydział prawny uniwersytetu warszawskiego, po czym studiował na Institut des Hautes Etudes Internationales w Paryżu. Debiutował w r. 1933 tomem nowel pt. "Pamiętnik z okresu dojrzewania" (wyd. Rój). W r. 1935 komedia "Iwona" drukowana w Skamandrze. W r. 1938 wydał powieść "Ferdydurke" (Rój). Na krótko przed wojną został zaproszony przez "Gal" na pierwszą podróż nowego polskiego statku "Chrobry" do Buenos Aires. Wojna odcięła go od Kraju. Po wojnie do Polski nie powrócił i przebywa nadal w Argentynie. W r. 1947 wydał po hiszpańsku powieść "Ferdydurke" (wyd. Argos). W r. 1949 — dramat "Ślub", również w tłumaczeniu hiszpańskim.

Tadeusz SOŁOWIJ, ekonomista, ur. w 1906. Po ukończeniu wyższych studiów w Belgii, pracuje w instytucjach finansowych w Polsce i zagranicą. Ostatnie lata przed wojną jest zast. naczelnika Biura Ekonomicznego Banku Polskiego. W czasie okupacji niemieckiej jest doradcą gospodarczym departamentów Delegatury Rządu. Aresztowany i deportowany przez Niemców, zamieszkuje po wojnie we Francji. Od 1948 przebywa w Kanadzie, gdzie obecnie pracuje jako ekonomista w jednej z instytucji finansowych w Montrealu. Autor pracy "Rynek pieniężny i stopa procentowa w Polsce" (1939) oraz licznych artykułów w czasopiśmie polskich i zagranicznych.

Dr Jerzy Stefan LANGROD (ur. 1903), profesor prawa publicznego Uniw. Jagiell. (do 1948 r.). Obecnie: "chargé de recherches" w Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu, prof. zwyczaj. Uniw. w Sarrebruck, "visiting professor" Uniw. w Laramie, Wyoming (U.S.), sekretarz gener. "Académie intern. de Science polit. et d'Histoire constitutionnelle (en Sorbone)". Autor prac naukowych z dziedziny praw i socjologii. Po odbyciu kampanii wrześniowej, był we Francji oficerem 2 p. gren. Wielkop. i — ranny pod Lagarde — jeńcem w Oflagu 17A (1940-45). Tamże kierował Polskim studium uniwersyteckim. Wezwany przez rektora Uniw. Jag. Lehr-Spławińskiego do powrotu na katedrę uniwersytecką, wrócił z końcem 1945 r. do Krakowa gdzie kontynuował przez 3 lata pracę naukową i nauczycielską. Na ponownym wygnaniu jest przewodn. Polskiej Unii Federalistów.

Tymon TERLECKI, pisarz, essayista, krytyk literatury, teatru i sztuk plastycznych. Ur. w r. 1905, odbył studia i doktoryzował się we Lwowie. Po studiach uzupełniających w Paryżu był zastępcą redaktora "Życia Sztuki", wykładowcą Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie i członkiem kierownictwa literackiego teatrów warszawskich. Redagował miesięcznik "Teatr", kwartalnik "Scena Polska" i serię książkową "Wiedza o Teatrze". Ogłosił fragmenty powieści, której rękopis zaginął w czasie wojny, i liczne essaye. W latach 1939-49 był redaktorem "Polski Walczącej", wspólnie z A. Ordega wydał dwa tomy "Strat Kultury Polskiej", i m.in. ogłosił studium "Polska i Zachód", które wyszło w trzech wydaniach. W tej chwili ma gotowe prace: "Wspomnienia o ludziach i książkach", "Emigracja naszego czasu", i zbiór szkiców o teatrze pt. "Zmartwychwstający Dionizos".

Z przyczyn od Redakcji niezależnych nie zamieszczamy dokończenia "Dziennika podróży do Niemiec" P. Hostowca.

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Przeciw poetom

Byłoby subtelniej z mej strony gdybym nie zakłócał jednego z nielicznych nabożeństw, jakie nam jeszcze pozostały. Aczkolwiek zwątpiliśmy prawie o wszystkim, uprawiamy jeszcze kult Poezji i Poetów i to bodaj jedyne Bóstwo, którego nie wstydzimy się wielbić z wielką pompą, z głębokimi pokłonami, głosem napuszonym... Ach, ach, Shelley! Ach, ach, Słowacki! Ach, słowo Poety, misja Poety i dusza Poety! A jednak trzeba mi rzucić się na te modły i popsuć, w miarę możliwości mojej, ten rytuał w imię... w imię po prostu elementarnej złości, jaką w nas budzi wszelki błąd stylu, wszelki fałsz, wszelki ucieszka od rzeczywistości. A ponieważ zabieram się do walki z dziedziną szczególnie wywindowaną, nieomal podniebną, przeto muszę się pilnować, abym sam nie wzleciał jak balon i nie stracił twardego gruntu pod stopami.

Teza niniejszego szkicu: *żaden nikt prawie nie lubi wierszy i że świat poezji wierszowanej jest światem fikcyjnym oraz sfalszowanym* wyda się, przypuszczam, równie śmiała, jak niepoważna. A jednak ja tu stoję przed wami i wam oświadczam, że mnie wiersze wcale się nie podobają, a nawet mnie nudzą. Powiecie może iż jestem nędznym ignorantem? Ale pracuję przecież w sztuce od dawna i język jej nie jest mi tak zupełnie obcy. A również nie możecie użyć przeciwko mnie waszego ulubionego argumentu, twierdząc, że nie posiadam wrażliwości poetyckiej, albowiem właśnie posiadam ją i w dużej mierze — a gdy poezja objawia mi się nie w wierszach lecz zmieszana z innymi bardziej prozaicznymi elementami, na przykład w dramatach Szekspira, w prozie Dostojewskiego i Pascala, lub po prostu przy okazji zwykłego zachodu słońca, drzę jak inni śmiertelnicy. Dlaczegoż tedy nudzi mnie i męczy ten farmaceutyczny ekstrakt zwany «czystą poezją», zwłaszcza gdy ukazuje się w formie wierszowanej? Dlaczego nie mogę znieść tego monotonnego śpiewu, bez przerwy wzniosłego, dlaczego usypia mnie rytm i rym, dlaczego język poetów wydaje mi się najmniej ciekawy ze wszystkich możliwych języków, dlaczego ta Piękność jest dla mnie tak mało powabna i dlaczego nie znam nic, jako styl, gorszego, nic bardziej śmiesznego niż sposób w jaki Poeci mówią o sobie i swojej Poezji?

Ale byłbym może skłonny uznać jakąś specjalną ułomność



P. 9486

moją w tym względzie... gdyby nie pewne doświadczenia... pewne naukowe doświadczenia... Przeklęty, w sztuce, Bacon! Doradzam wam abyście nigdy nie starali się przeprowadzać doświadczeń na terenie sztuki, gdyż dziedzina ta tego nie znosi — a wszystkie deklamacje na jej temat mogą ostać się tylko pod warunkiem, że nikt nie będzie tyle niedyskretny, aby zarzeć, o ile pokrywają się one z rzeczywistością. Ładnych rzeczy, na przykład, dowiedzielibyśmy się, gdybyśmy zaczęli badać o ile osoba, która zachwyca się Bachem, może w ogóle zachwycać się Bachem, tj. o ile zdolna jest uchwycić coś z muzyki i z Bacha. Czyż nie zdarzyło mi się (pomimo iż nie potrafię wygrać na fortepianie «włazi kotek na płotek») dać nie bez powodzenia dwóch koncertów — koncertów, które polegały na tym, iż zacząłem bębnić w instrument bez składu ni ładu, zapewniwszy sobie przedtem poklask kilku wtajemniczonych w mą intrygę znawców i zapowiedziawszy, że będę grał nowoczesną muzykę? Jakie szczęście, że ci, którzy rozprawiają o sztuce górnym trybem Valerego nie zniżają się do takich konfrontacji. Ten kto od tej strony pochodzi do naszej estetycznej Mszy z łatwością może odkryć, iż to królestwo pozornej Dojrzałości jest właśnie najbardziej niedojrzałym podwórkiem ludzkości, gdzie króluje bluff, mistyfikacja, snobizm, fałsz i głupstwo. I dobrą będzie gimnastyką dla naszego sztywnego myślenia, jeśli od czasu do czasu wyobrazimy sobie samego Pawła Valery jako kapłana Niedojrzałości, bosego księdza w krótkich majtkach.

Następujące przeprowadzałem doświadczenia: kombinując poszczególne zdania, lub fragmenty zdań, z wierszy danego poety, budowałem wiersz absurdalny i odczytywałem go w gronie szczerych miłośników jako nowy utwór wieszczą — ku ogólnemu zachwytowi owych miłośników; albo zaczynałem wybadywać ich w sposób szczegółowy na okoliczność tego czy innego poematu, i stwierdzałem, że «miłośnicy» nawet nie przeczytali go w całości. Jakżeż więc? Tak się zachwycać, a nawet nie doczytać do końca? Rozkoszować się tak dalece «matematyczną precyzją» poetyckiego słowa, a nie dostrzec radykalnego pokiełbaszenia precyzji? Tak się mądrzyć, tyle deklamować na te tematy, delektować się jakimiś subtelnościami, niuansami, a zarazem popełniać tak ciężkie, tak elementarne grzechy? Naturalnie, po każdym z tych doświadczeń wielkie powstawały protesty i obrazy, a miłośnicy zaklinali się na wszystkie świętości, że jednak to nie tak... że przecież... ale ten groch odbijał się od twardej skały Doświadczenia.

Znalazłem się więc w obliczu następującego dylematu: tyśiące ludzi pisze wiersze; setki tysięcy wielbią tę Poezję; znakomici geniusze wypowiadali się wierszem; od niepamiętnych czasów Poeta jest czczony — a wobec tej góry chwały ja, z moim podejrzeniem, że msza poetycka odbywa się w zupełnej próżni. O, gdybym nie umiał bawić się tą sytuacją, na pewno bardzo byłbym przerażony!

Pomimo to jednak moje doświadczenia ogromnie wzmocniły

mnie na duchu i już śmielej zacząłem szukać odpowiedzi na to męczące pytanie: dlaczego nie smakuje mi czysta poezja? Dlaczego? Czyż nie dla tych samych przyczyn, dla których nie smakuje mi cukier w stanie czystym? Cukier nadaje się do oładzania kawy ale nie do tego aby go jeść łyżką z talerza, jak kaszkę. W poezji czystej, wierszowanej, *nadmiar* męczy; *nadmiar* poezji, *nadmiar* poetycznych słów, *nadmiar* metafor, *nadmiar* sublimacji, *nadmiar*, wreszcie, *kondensacji* i *oczyszczenia* ze wszelkiego elementu antypoetyckiego, co upodabnia wiersze do chemicznego produktu.

Śpiew jest bardzo odświętną formą wypowiedzi... Ale oto, w ciągu wieków, mnożą się śpiewacy — którzy, śpiewając, zmuszeni są przyjąć postawę śpiewaka — a ta postawa z biegiem czasu coraz staje się sztywniejsza. I jeden śpiewak podnieca drugiego, jeden drugiego utwierdza w coraz bardziej nieustępliwym zapamiętaniu się w śpiewie, ha, już nie śpiewają oni dla tłumów, już jeden śpiewa dla drugiego; i między nimi, na drodze nieustannej rywalizacji, ciągłego doskonalenia się w śpiewie, wytwarza się piramida, której szczyt dosięga niebios i którą podziwiamy z dołu, z ziemi, zadzierając nosy. To co miało być chwilowym wzlotem prozy, stało się programem, systemem, profesją — i dziś jest się Poetą tak jak się jest inżynierem lub lekarzem. Wiersz urósł nam do potwornych rozmiarów i już nie my nim rządymy, ale on nami. Poeci stali się niewolnikami — i mogliśmy określić poetę, jako istotę która już nie może wypowiadać siebie, gdyż musi wypowiadać Wiersz.

A przecież nie może być chyba w sztuce ważniejszego zadania, niż to właśnie: wypowiadać siebie. Nie powinniśmy nigdy tracić z oczu prawdy, że wszelki styl, wszelka określona postawa formuje się przez eliminację i jest w gruncie rzeczy zubożeniem. Nie powinniśmy przeto nigdy pozwolić, aby jakakolwiek postawa redukowałą zbytnio nasze możliwości, stając się kneblem na ustach — a gdy idzie o tak sztuczną, ba, nieomal pretensjonalną postawę jak «śpiewaka» tym bardziej należało by nam mieć się na baczności. Lecz my, jak dotąd, jeśli idzie o sztukę, o wiele więcej wysiłku i czasu poświęcamy doskonaleniu się w takim albo innym stylu, w takiej lub innej postawie, niż temu aby zachować w stosunku do nich wewnętrzzną suwerenność i swobodę, aby wypracować właściwy stosunek pomiędzy nami a naszą postawą. Zdawało by się, iż Forma jest dla nas wartością samą w sobie, niezależnie od tego o ile nas wzbogaca lub zuboża. Zapamiętaliśmy doskonalimy sztukę, ale nie wiele się przejmujemy pytaniem, do jakiego stopnia zachowała ona jeszcze jakiś związek z nami. Pielęgnowujemy Poezję, nie bacząc, iż to co piękne niekoniecznie musi być «twarzowe». Jeżeli więc chcemy, aby kultura nie straciła wszelkiego związku z jednostką ludzką, musimy od czasu do czasu przerwać naszą pracowitą twórczość i skontrolować, czy to co wytwarzamy, nas wyraża.

Istnieją dwa sprzeczne rodzaje humanizmu: jeden, który mo-

glibyśmy nazwać religijnym, usiłuje rzucić człowieka na kolana przed dziełem kultury ludzkiej, zmusza nas abyśmy wielbili i szanowali, na przykład, Muzykę, albo Poezję, albo Państwo, albo Bóstwo; ale drugi, bardziej krnąbrny prąd ducha naszego, stara się właśnie o przywrócenie człowiekowi jego suwerenności i niezależności w stosunku do tych Bogów i Muz, które, ostatecznie, są jego, człowieka, tworem. W tym ostatnim przypadku słowo «sztuka» pisze się z małej litery. I niewątpliwą jest rzeczą, że styl, który potrafi objąć obie te tendencje, jest pełniejszy, autentyczniejszy i ściślej odzwierciedla antynomijność natury naszej, niż styl który ze ślepą krańcowością wyraża jeden tylko z tych dwóch biegunów naszego uczucia. Ale, ze wszystkich artystów, poeci są chyba tymi którzy najusilniej padają na kolana — najbardziej się modlą — są oni kapłanami par excellence i ex professo, a Poezja, w tym ujęciu, staje się po prostu celebracją. Ta właśnie wyłączność sprawia, że styl i postawa poetów są tak drastycznie niedostateczne, tak niczym nieuzupełnione.

Pomówmy jeszcze przez chwilę o stylu. Powiedzieliśmy, że artysta musi wypowiadać siebie. Lecz, wypowiadając siebie, musi on także dbać aby jego sposób mówienia był zgodny z istotnym jego położeniem w świecie, winien on dać nie tylko stosunek swój do świata, ale i świata do siebie. Jeżeli, będąc tchórzem, przybieram ton heroiczny, popełniam błąd stylu. Ale jeżeli wyrażam się tak, jak gdybym był przez wszystkich szanowany i kochany, podczas gdy w rzeczywistości ludzie nie cenią mnie ani nie lubią, także popełniam błąd stylu. Jeżeli zaś chcemy zdać sobie sprawę z istotnego naszego położenia w świecie, nie możemy unikać konfrontacji z odmiennymi, od naszej, rzeczywistościami. Człowiek który uformował się jedynie w styczności z ludźmi podobnymi sobie, który jest produktem wyłącznie swego środowiska, ciaśniejszy, gorszy będzie miał styl od tego, który doznał rozmaitych środowisk i ludzi. I otóż w poetach raz i nie tylko ta ich nabożność, niczym nie skompensowana, to oddanie się całkowite Poezji, ale i ich strusia polityka w stosunku do rzeczywistości: gdyż oni bronią się przed rzeczywistością, nie chcą jej widzieć, ani uznać, wprawiają się umyślnie w stan oszołomienia, który nie jest siłą, lecz słabością.

Czyż poeci nie tworzą dla poetów? Czy nie szukają oni jedynie wyznawców tj. ludzi takich, jak oni sami? Czyż te wiersze nie są li-tylko wytworem pewnej, ciasnej, grupy? Czy nie są one hermetyczne? Oczywiście, nie zarzucam im tego że są «trudni» — nie domagam się aby pisali «w sposób dla wszystkich zrozumiały» ani aby zstąpili pod strzechy. Równałoby się to żądaniu, aby dobrowolnie zrezygnowali z najistotniejszych wartości, jak świadomość, rozum, większa wrażliwość i głębsza wiedza o życiu i świecie po to aby zniżyć się do przeciętnego poziomu — o, nie, nigdy nie zgodzi się na to żadna sztuka, która się szanuje! Ten, kto jest rozumny, subtelny, wzniosły i głęboki

musi przemawiać rozumnie i subtelnie i głęboko, a kto jest wyrafinowany musi przemawiać w sposób wyrafinowany — gdyż wyższość istnieje i istnieje ona nie po to ażeby się zniżyć. Nie jest więc złe, że współczesne wiersze nie są byle komu dostępne, ale że jest, że są zrodzone z jednostronnego, ciasnego obcowania identycznych światów, identycznych ludzi. Wszakże sam jestem autorem, który uparcie broni swojego poziomu — ale jednocześnie (wspominam o tym aby mi nie zarzucono że uprawiam rodzaj, który zwalczam) utwory moje ani przez chwilę nie zapominają, że poza tym światkiem istnieją jeszcze inne światy. I jeśli nie piszę dla ludu, to jednak piszę jako ktoś przez lud zagrożony, lub też zależny od ludu, lub przez lud stwarzany. Nigdy też nie przyszło mi do głowy aby przybierać pozę «arty-sty», «pisarza», dojrzałego, uznanego twórcy, lecz występuję właśnie w roli kandydata na artystę, jestem tym, który jedynie pragnie być dojrzały — w nieustającym i zażartym starciu ze wszystkim co mnie hamuje w rozwoju. I sztuka moja wykształciła się nie w zetknięciu z grupą ludzi mnie pokrewnych, lecz właśnie w odniesieniu do wroga i w zetknięciu z wrogiem.

Poeci natomiast? Czyż wiersz poety może się ostać, jeśli wpadnie w ręce nie przyjaciela-poety, ale wroga, ale nie-poety? Jak wszelka inna wypowiedź, wiersz tak powinien być poczęty i urzeczywistniony, aby nie przyniósł hańby swemu twórcy nawet wówczas, gdyby nikomu nie miał się podobać. Więcej nawet, trzeba aby wiersze nie hańbiły twórcy także w tym wypadku, jeśli jemu samemu — twórcy — się nie podobają. Albowiem żaden poeta nie jest wyłącznie poetą i w każdym poecie żyje nie-poeta, który nie śpiewa i nie lubi śpiewu... a człowiek jest czymś obszerniejszym niż poeta. Ale styl zrodzony wśród wyznawców tej samej religii umiera w zetknięciu z tłumem niewiernych; niezdolny jest on bronić się, ani walczyć; niezdolny do prawdziwego życia; to styl ciasny.

Pozwólcie, iż ukażę wam następującą scenę... Wyobraźmy sobie, że w gronie kilkunastu osób jedna z nich wstaje i zaczyna śpiewać. Śpiew ten nudzi większość słuchaczy; lecz śpiewak nie chce zdać sobie z tego sprawy; nie, on zachowuje się jakby zachwycał; wymaga aby wszyscy padli na kolana przed tym Pięknem, żąda bezwzględnej uznania dla swej roli Wieszcza; i choć nikt nie przywiązuje do jego śpiewu większej wagi, on przybiera minę jakby słowo jego miało decydujące dla świata znaczenie, pełen wiary w swoją Poetycką Misję ciska gromy, huczy, brzmi, szaleje w próżni; lecz, co więcej, nie chce przyznać się przed ludźmi, ani też przed sobą, że ten śpiew nawet jego samego nudzi, męczy, dręczy — gdyż przecie on nie wypowiada się swobodnie, ani naturalnie, ani bezpośrednio, tylko w formie odziedziczonej po innych poetach, która straciła już od dawna styczność z bezpośrednim odczuwaniem ludzkim; i oto nie tylko głosi on Poezję, ale i zachwyca się Poezją; będąc Poetą, wielbi wielkość i ważność Poety; nie tylko wymaga aby inni padali przed nim na kolana, lecz sam przed sobą pada na

kolana. Czyż nie można by o takim człowieku powiedzieć, że on za duży wziął ciężar na swe barki? Gdyż nie tylko wierzy w moc poezji, ale i zmusza samego siebie do tej wiary, nie tylko ofiarowuje siebie innym, ale i zmusza ich aby ten boski dar, jak hostię, spożywali. Gdzież w tak hermetycznym stanie ducha powstać może jakaś szczelina, przez którą wdarło by się z zewnątrz życie? A przecież nie mowa tutaj o jakimś trzeciorzędnym piewcy, nie, to się odnosi również do najślawniejszych, najlepszych poetów.

Gdybyż poeta umiał potraktować swój śpiew jako manię, lub jako obrządek, gdybyż oni śpiewali jako ci, którzy *muszą* śpiewać, choć wiedzą, że śpiewają w próżni. Gdybyż zamiast dumnego «ja, Poeta» byli zdolni wypowiedzieć te słowa ze wstydem, lub z lękiem... lub nawet ze wstrętem... Ale nie! Poeta musi uwielbiać Poetę!

Ta więc bezsilność wobec rzeczywistości cechuje w sposób miążdzący styl i postawę poetów. Lecz człowiek, który ucieka przed rzeczywistością, nie znajduje już w niczym oparcia... staje się igraszką żywiołów. Z chwilą, gdy poeci stracili z oczu konkretną istotę ludzką, a wzrok utkwili w abstrakcyjnej Poezji, już nic nie mogli powstrzymać ich na równi pochyłej, wiodącej w przepaść absurdu. Wszystko zaczęło im rosnąć samo przez się. Metafora, pozbawiona wszelkiego wędzidła, wzięta na kiel, rozszalała się do tego stopnia, że dziś już nic w wierszach nie ma, prócz metafor. Język stał się rytualny — te «róże», te «zmierzchy», «tęsknoty» lub «bóle», które ongiś miały jakąś świeżość, stały się wskutek nadużycia pustym dźwiękiem — a odnosi się to również i do bardziej nowoczesnych «semafor» lub innych «spirali». Zwężeniu języka towarzyszy zwężenie stylu, które doprowadziło do tego, że dziś wiersze to nie więcej niż kilkanaście uświęconych «przeżyć» podanych w natrętnych kombinacjach skąpego słownika. W miarę jak Zwężenie stawało się coraz Węższe, nieokiełznane niczym Piękno stawało się coraz Piękniejsze, Głębia coraz Głębsza, Szlachetność coraz Szlachetniejsza, Czystość coraz Czystsza. Gdy z jednej strony pozbawiony hamulca wiersz rozdał się do granic gigantycznego poematu (podobnego do tych puszczy, znanych naprawdę tylko kilku eksploratorom) z drugiej jął koncentrować się do rozmiarów zbyt już syntetycznych i homeopatycznych. Poczęto też oddawać się jakimś wynalazkom i eksperymentom z grymasem straszliwego wtajemniczenia — i tej nudnej orgii, powtarzam, nic nie jest w stanie zahamować. Albowiem nie idzie tu o twórczość człowieka dla człowieka, a tylko o obrządek pełniony przed ołtarzem. A na dziesięć wierszy, co najmniej jeden poświęcony będzie wielbieniu Potęgi Słowa Poetyckiego lub gloryfikacji powołania Poety.

Zgódźmy się iż te chorobliwe przypadłości nie są jedynie właściwe poetom. W prozie również ta religijna postawa poczyniła wielkie spustoszenia i jeśli weźmiemy utwory takie, jak np. «Śmierć Wirgiliusza» Brocha, lub «Ulissesa», albo dzieła Kafki,

do doznamy tego samego wrażenia — iż «wybitność», «wielkość» tych utworów urzeczywistnia się w próżni, że należą one do tych książek, o których wszyscy wiedzą, że są wielkie... które jednakowoż w jakiś sposób są nam odległe, niedostępne i zimne... albowiem zostały napisane na kłęczkach z myślą nie o czytelniku a o Sztuce, lub też o innej abstrakcji. Ta proza zrodziła się z tegoż samego ducha, który przyświeca poetom, to niewątpliwie z istoty swojej «proza poetycka».

Jeżeli, porzucając utwory, zajmiemy się osobami poetów i światkiem, jaki osoby te tworzą wraz ze swymi wyznawcami i akolitami, to jeszcze bardziej stanie się nam i ciasno i duszno. Poeci nie tylko piszą dla poetów, lecz także wychwalają się wzajemnie i wzajemnie oddają sobie cześć. Świat ten, lub raczej światek, nie wiele różni się od innych światków hermetycznych i wyspecjalizowanych: szachiści uważają szachy za szczyt twórczości ludzkiej, mają swoje hierarchie, mówią o Capablance z równym nabożeństwem jak poeci o Mallarmé i jeden drugiego utwierdza w poczuciu własnej doniosłości. Ale szachiści nie mają pretensji do tak uniwersalnej roli i to, co można wybaczyć od biedy szachistom, u poetów staje się nie do wybaczenia. W następstwie takiego odosobnienia wszystko tu puchnie i nawet mierni poeci rozdymają się w sposób apokaliptyczny, a błahe problemy nabierają oszałamiającej wagi. Przypomnijmy sobie chociażby straszliwe polemiki na temat asonansów, ton w jakim dyskutowano tę sprawę — zdawało się wówczas, że losy ludzkości zależą od tego, czy można rymować «mogą» i «głową». Oto co się dzieje, gdy duch gremialny osiąga przewagę nad duchem uniwersalnym.

Inny niemniej kompromitujący fakt, to ilość poetów. Do wzmiankowanych powyżej nadmiarów dochodzi jeszcze nadmiar wieszczów. Te ultra-demokratyczne cyfry rozsadzają od wewnątrz arystokratyczną i dumną twierdzą poetycką — i rzeczywistość dość zabawne jest, gdy się ich widzi wszystkich razem na jakim kongresie: oż za tłum istot wyjątkowych! Ale czyż sztuka świecąca się w próżni nie jest idealnym terenem dla tych właśnie, którzy są niczym, których pusta osobowość z zachwytem wyżywa się w tych formach uszczuplonych? A już prawdziwie są śmieszne te krytyki, te artykułiki, aforyzmy, essaye, które ukazują się w prasie na temat poezji. Oto przelewanie z pustego w próżne — ale zarazem jest to przelewanie bombastyczne i już tak naiwne, tak dziecinne, że wierzyć się nie chce aby ludzie parający się piórem nie wyczuwali całej śmieszności tej publicystyki. Dotąd nie zrozumieli ci styliści, że o poezji nie wolno pisać w tonie poetycznym i ich gazetki pękają od takich poetyzujących elukubracji. Wielka też jest śmieszność, towarzysząca recytalom, konkursom oraz manifestom, ale chyba nie warto już nad tym się rozwodzić.

Sądzę, że wytłumaczyłem mniej więcej dlaczego poezja wierszowana mnie nie bierze. I dlaczego poeci — którzy oddali się całkowicie Poezji — i podporządkowali tej Instytucji bez reszty

własne istoty swoje, zapominając o istnieniu konkretnego człowieka i zamykając oczy na rzeczywistość — znaleźli się (od wieków) w katastrofalnej sytuacji. Wbrew pozorom triumfu. Wbrew całej pompie tego ceremoniału.

Ale muszę jeszcze odeprzeć pewien zarzut.

Tylko dobrowolnym zaślepieniem można wytłumaczyć ten niesłychany symplizm z jakim bronią się poeci (ludzie na ogół nie głupi, ani naiwni) gdy się zaczepia ich sztukę. Wielu z nich szuka ratunku w oświadczeniu, że wiersze piszą dla własnej przyjemności — jak gdyby całe ich postępowanie nie zadawało kłamu temu twierdzeniu. Są i tacy, którzy z powagą utrzymują, że piszą dla ludu i że ich wymyślne szarady stanowią pokarm duchowy prostactków. Wszyscy jednak wierzą niezłomnie w rezonans społeczny poezji i trudno im będzie zrozumieć w jaki sposób można atakować ich od tej strony. Powiedzą: — Jakżeż! Czyż może pan wątpić? Czy nie widzi pan tłumów, które biorą udział w naszych recytalach? Ilości wydań, które osiągają nasze tomiki? Studiów, artykułów, rozpraw, o nas pisanych? Podziwu, jakim otoczeni są sławni poeci? To pan właśnie nie chce widzieć tego co jest...

Cóż im odpowiem? Że wszystko to — iluzje. To prawda, że na recytale chodzą tłumy, ale też prawdą jest, że nawet siuchacz bardzo wykształcony absolutnie nie jest w stanie zrozumieć wiersza, deklamowanego na recytalu. Ileż razy zdarzyło mi się asystować tym beznadziejnym sesjom, na których recytowano wiersz za wierszem — a każdy z nich musiałby być co najmniej trzy razy z najwyższą uwagą przeczytany aby z grubszą dało się odcyfrować jego treść. Co się tyczy wydań, to wiemy że tysiące książek kupuje się aby nie przeczytać ich nigdy. O poezji piszą, jak już powiedzieliśmy, poeci. A podziw? Czy konie na wyścigach nie budzą jeszcze większego zainteresowania — ale cóż ma wspólnego ta żyłka sportowa, z jaką oglądamy wszelką rywalizację, i te wszystkie ambicje — narodowe i inne — które tym wyścigom towarzyszą z istotnym wzruszeniem artystycznym?

Jednakże taka odpowiedź, choć słuszna, nie byłaby wystarczająca. Problem obcowania naszego ze sztuką jest o wiele głębszy i trudniejszy. I jest niewątpliwe — w moim pojęciu przynajmniej — że jeśli w ogóle chcemy coś z tego zrozumieć, musimy całkowicie zerwać z tą zbyt łatwą myślą iż «sztuka zachwyca nas» i że «rozkoszujemy się sztuką». Nie, sztuka tylko do pewnego stopnia nas zachwyca, a rozkosze jakich nam przysparza są wątpliwe... I czyż może być inaczej, jeśli obcowanie z wielką sztuką to męczące, trudne obcowanie z ludźmi dojrzalszymi, o szerszym zasięgu i potężniejszym odczuwaniu. Nie rozkoszujemy się — raczej staramy się rozkoszować... i nie rozumiemy... staramy się zrozumieć...

Jakże powierzchowna jest myśl, dla której to skomplikowane zjawisko sprowadza się do prostej formuły: sztuka zachwyca ponieważ jest piękną. — Ach, tak wielu jest snobów... ale ja nie

jestem snobem, ja szczerze przyznaję się jeśli coś mi się nie podoba — mówi ta prostoduszność i zdaje się jej, że już wszystko załatwione.

Ale przecież wyraźnie dają się odczuć tutaj czynniki, nie mające żadnego związku z estetyką. Czy myślicie, że gdyby nas w szkole nie zmuszano do zachwycania się sztuką, mielibyśmy dla niej, w późniejszym wieku, tyle gotowego już zachwyty? Czy sądzicie, że gdyby cała nasza organizacja kulturalna nie narzucała nam sztuki — mybyśmy się nią tak interesowali? Czy to nie nasza potrzeba mitu, uwielbienia wyżywa się w tym podziwie naszym — i czy, uwielbiając wyższych, sami się nie wywyższamy? Ale przede wszystkim: czy te uczucia podziwu, zachwyty rodzą się «z nas», czy «między nami»? Jeśli na koncercie rozlega się burza oklasków to wcale nie znaczy, aby każdy z tych oklaskujących był zachwycony. Jeden nieśmiały oklask prowokuje drugi — wzajemnie one się podniecają — i w końcu wytwarza się taka sytuacja, iż każdy musi przystosować się wewnętrznie do tego zbiorowego szału. Wszyscy «zachowują się» jak gdyby byli zachwyceni, choć nikt nie jest «naprawdę», w tym stopniu przynajmniej, zachwycony.

Byłoby więc błędem, godną pożałowania naiwnością, gdybyśmy żądali od wierszy, czy też od jakiegokolwiek innej sztuki, aby ona była ot tak, po prostu, źródłem rozkoszy ludzkiej. I jeśli z tego punktu widzenia rozejrzemy się w świecie poetów i ich wielbicieli, to wszystkie jego absurdy i śmieszności wydadzą się usprawiedliwione: gdyż widocznie tak ma być i jest zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy aby sztuka, podobnie jak zachwyty, który budzi, były raczej dziełem ducha zbiorowego niż bezpośrednią reakcją jednostki.

A jednak — nie. A jednak i takie ujęcie nie zdoła uratować poetów, ani przysporzyć rumieńców życia i rzeczywistości ich poezji. Jeżeli bowiem taka właśnie jest rzeczywistość, to w każdym razie oni nie zdają sobie z niej sprawy. Dla nich wszystko odbywa się po prostu: *śpiewak śpiewa, a słuchacz, zachwycony, słucha*. Rzecz pewna, że gdyby byli zdolni uznać te prawdy i wyprowadzić z nich wszystkie konsekwencje, to musiałyby się radykalnie zmienić sam ich stosunek do śpiewu. Bądźcie spokojni jednak: nic nigdy nie zmieni się u poetów. I nie oddawajcie się złudzeniom, że w obliczu tych zbiorowych mocy, które fałszują nam nasze indywidualne odczuwanie, okażą oni jakąś wolę oporu — gwoli chociażby temu aby sztuka nie była fikcją i ceremoniałem, a tylko prawdziwym obcowaniem człowieka z człowiekiem. Nie, te mnichy wolą się korzyć!

Mnichy? To nie znaczy abym był przeciwnikiem Pana Boga, lub jego rozlicznych zakonów. Ale nawet religia umiera z chwilą, gdy przeobraża się w obrządek. Zbyt łatwo zaiste poświęcamy na tych oltarzach autentyczność i wagę naszego istnienia.

Rocznice Gandhiego (II.)

IV.

PRAKTYKA A RELIGIA.

W praktyce zmagania i walki, czy to w formie bojkotu czy to strajków przeprowadzanych nieraz według ścisłych a praktycznych dyspozycji Gandhiego, czy to w odmowie podatków, słowem w całej akcji non-cooperation z władzami, nie tylko Gandhi i jego przyjaciele narażali się na liczne prześladowania, ale nawet rzesze indyjskie i to coraz liczniejsze, jak te kobiety w Guajarati, które nie ustąpiły przed napaściami, jak tyśiące ludzi w Peszawar, którzy wytrzymali grad kul, nie reagując gwałtem na gwałt. Lecz Satya-graha nie od razu urosła do wyżyn himalajskich. Sam Gandhi ze smętną autoironią opowiada o swym przeliczeniu się i o iluzji iście "himalajskiej", kiedy pierwsza liczbowa pokaźniejsza próba Satya-grahy, od której wiele spodziewał się, doprowadziła do krwawych gwałtów i ekscesów ze strony tłumy i krwawej reakcji władz.

Spróbował bowiem ruchu masowego bez ludzi dostatecznie oczyszczonych. Zaczął ją za pomocą takich, którzy widocznie oczekiwali cudów z zewnątrz, a nie od siebie samych. Widząc że rzesze wcale nie są przygotowane, Gandhi zawiesił wówczas akcję oporu. Największą bowiem trudnością dla mas było połączenie oporu bez lęku z uprzejmością i życzliwością wobec przeciwników. Toteż na przyszłość przed akcją oporu, przed każdym wystąpieniem nakazał Hartal czyli post dla oczyszczenia. Godne uwagi, że pomysł ten przyszedł mu we śnie.

Gandhi wyśmiewa sam siebie za pochopność i ostrzega innych przed taką bufonadą, która rzuca hasła bez przygotowania człowieka. A jesteśmy przecież nie od dziś świadkami, że ideologie europejskie stały się środkami transportowymi w szczęśliwą przyszłość, prawdziwą maszyną czasu, dla przyspieszenia historii na falach postępu, nie tylko bez przemiany człowieka, nawet bez usiłowań w tym kierunku. Oczekiwano wszystkiego od zmiany warunków, które przecież, tak jak atmosfera, są nie tylko na zewnątrz nas, ale także w nas samych. Stąd gwałtowne napięcie i katastrofy, rzec by można, wynikię z różnic ciśnienia. Gandhi nie myśli oczywiście o jakiejś nagłej przemianie takiej jaką zaleca np. Dostojewski w "Śnie zabójcy zwycięża po raz ostatni. Służył rozszerzeniu oaz czo-

śmiesznego człowieka". Na taką trzeba by bardzo długo czekać i sprowadziłaby chyba także zgubną różnicę ciśnień. Uważa, że panowanie nad sobą i "bez-gwałt" osiągnąć można przez stopniowe doświadczenie i długotrwały, mozolny i uporczywy trud, zaczynając przede wszystkim od siebie i najbliższego otoczenia.

Wszelako opór i "non-cooperation" należy stosować tylko tam, gdzie inne środki zawodzą. Aby zrozumieć co znaczy "wprowadzenie religii do polityki" należało by śledzić pilnie i mieć w pamięci wszystkie drobne fakty i zmagania Gandhiego w życiu codziennym, także przede wszystkim w wykonywaniu zawodu lub obowiązków społecznych. Już jako młody adwokat w pierwszym procesie, a raczej w likwidacji nieskończenie długiego i zawiłego procesu, w którym pozory prawne kłóciły się wciąż z faktami, dzięki iście nadludzkiej pracowitości jak świadczący zainteresowani, przebrnął przez góry aktów i przemienił proces w sąd polubowny, uzyskując od wierzyciela takie warunki spłaty, które uratowały dłużnika od ruiny. W innym znów procesie ku osłupieniu sędziego, nawet natrafiając na nieporozumienia, dostarczył argumentów stronie przeciwnej, a zakończył spór ku zadowoleniu obu stron.

Podczas dłuższego pobytu w Afryce gdzie panoszył się rasizm a gazety angielskie powitały go jako niepożądanego gościa, gdzie trzeba było walczyć o prawo do miejsca w przedziałach dla białych i o prawo jedzenia we wspólnej sali, gdzie wielkim zagadnieniem było zatwierdzenie Gandhiego jako pierwszego "czarnego" adwokata, na każdym kroku osiąga porozumienie i respekt dla siebie i dla swoich. Ziszcza tym, jak powiada "piękno kompromisu", potrafi dostrzec ukryte dzieżdziny wspólnoty.

Podobnie w sprawie podówczas tak trudnej jak obrona tzw. "indentured labour", tj. robotników indyjskich, zakontraktowanych na długie lata, co równało się niewoli — i w walce o krzyżące do nieba ich opodatkowanie. I dalej, w coraz większej miary "procesach" między Indusami a władzami brytyjskimi stwarza coraz nowe i coraz szersze oazy ludzkości, a nawet przyjaźni. Budzi przyjaźń i respekt u żołnierzy brytyjskich dla sanitariuszów ambulansu, złożonego z dotąd pogardzanych Hindusów. Łączy jako synów jednej ojczyzny emigrantów indyjskich w Afryce, ponad różnice kast, wiar i języków, ludzi, którzy bez niego nie tylko nie zbliżyliby się, ale nawet może by nie spotykali się nigdy.

Poprzez tysiące małych czynów, przez tysiąckrotne zajmowanie postawy, zaczynając od najdrobniejszych spraw jak kartki chlebowe, święci wreszcie triumf, że pariasów przyjmuje się w dniu uroczyste do świątyni i źródeł bramińskich, że im więcej napina dążenie Indii do niepodległości, tym skuteczniej opanowuje odruchy buntu i gwałtu, czy oporu szkodliwego, w końcu powstrzymuje wojnę w Indiach, a przebacząc swemu



wieczności. Jego celem było, aby choć jeden naród się "przerobił", biorąc na siebie ryzyko wyrzeczenia się gwałtu i tworząc dla świata wielką oazę. Spełniał swe zadanie wszędzie tam, gdzie mógł.

Po tym co wyżej pokrótce powiedzieliśmy nie ma chyba wątpliwości w jakim sensie Gandhi "wprowadza religię do polityki. A przecież, gdyby ktoś — nie wspominając Gandhiego — ogłosił w Europie ankietę, co ma oznaczać "wprowadzenie religii do polityki", w najlepszym razie odpowiedzi kulminowałyby się w dwóch sformułowaniach, że jest to: 1) żądanie supremacji wyznań i kościołów w sprawach politycznych, 2) przeniesienie religijnego fanatyzmu do spraw państwowych i politycznych, podobne temu, jakie sobie przyswoiły nowoczesne totalizmy. Zrozumiałe, że w takich twierdzeniach przejawia się podejrliwość wobec wszystkich prądów i dążeń, które sądzą, że są w posiadaniu absolutnej, nieomyłnej prawdy.

Nie należy chyba lekceważyć takich głosów. Wszak u wrót nowoczesnych dziejów Europy słyszymy ostrzeżenia tragicznego tułacza i banity, bezsilnego wobec ówczesnych praktyk politycznych, Dantego, który na stromych i trudnych tablicach swej rozprawy "De Monarchia universalis" odkrywa, jak się wyraża prawdy, o które nikt się dotąd nie pokusił, po to, aby czuwały nad światem. Największy poeta chrześcijański jest w swych politycznych rozważaniach dziedzicem starożytnego racjonalizmu, dla którego ani rozum nie może być bezsilny, ani czyny nie powinny być bezrozumne. W swej koncepcji państwa uniwersalnego uważa, że polityka winna zdążać do pełnego rozwoju duchowych sił człowieka, który jest celem istnienia człowieka na ziemi, poprzez powszechny pokój, wolność i ugruntowanie prawa. Nie dopuszcza, aby państwo miało być środkiem dla religii.

Można by przypuszczać, że Dante przeląkł się poczynań papieża Bonifacego VIII, a w szczególności jego słynnej bulli "Ecclesiam unam sanctam". Wszelako rozprawa Dantego wykracza znacznie poza ówczesne actualia. Zwraca uwagę, że nie wszyscy ludzie uznają prymat duchowy Rzymu i wiary chrześcijańskiej, a wszyscy, jeśli chodzi o życie ziemskie, mają ten sam cel, czyli to samo naturalne prawo, bo fundamentem państwa jest prawo natury, płynącej wprost z Boga, tj. prawo ludzkie. Żadna władza na ziemi nie może mieć władzy widzialnej nad sumieniem, tylko sumienie samo. A kościołowi należy się jedynie przewodnictwo duchowe. Monarcha uniwersalny — który jest niejako projekcją samego Dantego — jest gwarantem powszechnego pokoju, wolności i prawa, tak jak sędzia związany prawodawstwem. To wyklucza zupełnie ingerencję kościoła, mającego inne zadanie, w sprawy państwowe. Niewątpliwie, praktyka kościoła rzymskiego nie była zawsze taka jak za czasów Dantego, a tym mniej taka, jak dwa wieki później za Aleksandra Borgii. Lecz Dante zasadniczo

chce usunąć przedstawicieli wiary, tych którym dane jest namiestnictwo praw absolutnych, niezbędnych dla zbawienia, od pokus i praktyk, przeciw którym grzmiały wysokie sfery jego Raju.

Także Gandhiewi nie były chyba nieznanne uroszczenia braminizmu zrosłe w tej epoce, którą z dozą przesady nazywa się czasem kontrreformacją, a która właściwie była receptą, wieźni, unifikacją społeczną i wyznaniową Indii. Między innymi, istnieje w Indiach stary bramiński podręcznik politycznej "techniki" zwany Artha-śastra (obok technicznych podręczników praktyki prawnej i ars amandii), wywodzący się rzekomo z początku trzeciego wieku naszej ery, a niepozabawiony interpretacji filozoficzno-teokratycznych, dla których cel zawsze uświeca środki. Jego autora nazwano Macchiavelim indyjskim. Podręcznik ten zawiera swoje rady "wprowadzenia religii do polityki". Oto radzi braminom rozpowszechniać wieści o wszechwładzy króla, udzielonej mu dzięki szczególnej łasce opatrności i to nie tylko dla dokładnego wybierania podatków i dla zapobiegania buntom, lecz także na zewnątrz na wypadek wojny. Agenci króla mają dostarczać materiałów dla tej wszechwładzy, a wędrując do miejsc świętych, także w obcych państwach, oprócz nadawania religijnej glorii władzy swego króla, za pomocą tego co my nazywamy propagandą, winni szpiegować i niszczyć umocnienia strategiczne potencjalnych wrogów, a także ukrywać się w świętych statuach dla ogłaszania wyroków bóstwa. Mogą także wyzywać przeciwnych królówi władców na sąd boży, do wstąpienia do ognia, a w niektórych wypadkach zachęcać obcego króla do odmłodzenia przez ogień, oczywiście przy sankcji braminów.

Wszelako Gandhi, mimo że przywiązany jest do religii hinduizmu, i mimo że zastrzega się przeciw niszczeniu pod płaszczykiem postępu, dla mody i po prostu dla małpiarstwa, tego co cenne w tysiącletnim dziedzictwie, nie waha się oświadczyć, że należy zniszczyć wszystko co przeciwne etyce, choćby było nie wiadomo jak starożytne i uznane tradycjami. Także w odwrotnym wypadku, nawet jeśli Śastry, tj. traktaty religijne, rzekomo szły na spotkanie postępu, zwalniając od surowych ślubów, także od jedzenia mięsa, Gandhi nie daje się zachwiać w swoich ślubach, tak jak w młodości nie uląkł się wykluczenia go z kasty i kłątwy, którą nań rzucono, gdy postanowił wyjechać na studia do Anglii. W jego zamiarach autonomia środków i protest przeciw wszelkiej przemocy kładzie tamę wszelkiej ingerencji zewnętrznej w imieniu prawdy absolutnej.

Wśród licznych możliwych zarzutów przeciw doktrynie Ahimsy można by oczekiwać także takiego, że mimo negatywizmu jest ona absolutna, a umotywowana, a czy inaczej, religijnie, toruje drogę swoistemu fanatyzmowi w kierunku religijnego samobójstwa grup, może także świętoszkowatej tolerancji gwałtu i w końcu że zachęca do gwałtu. W każdym razie, że może mieć

fatalne skutki w razie potrzeby ochrony życia, także szczególnie cennego, przed indywidualną czy zbiorową zbrodnią. W samej rzeczy Gandhi przyznaje, że nie zabiły nawet krowy w obronie życia ludzkiego, nawet gdyby było mu szczególnie cenne. Przyznajmy to: chyba nam wszystkim, o ile wnikniemy w te słowa, robi się słabo, nawet jeśli przyznamy się równocześnie do pewnego stopienia, nie mówię już w odniesieniu do życia zwierząt lecz także jeśli chodzi o oszczędzanie życia ludzkiego. W jednym wypadku Gandhi omija absolutność Ahimsy, mówiąc, że fatalizm ma granice i podobnie jak zezwolił w swym osiedlu szkolnym zabić zwierzę nieuleczalnie chore i cierpiące, skróciłby życie własnemu dziecku, gdyby po wyczerpaniu wszelkich możliwości leczenia nie dało się nic więcej pomóc, dla skrócenia męczarni. Nazywa to zabiegiem chirurgicznym, wolnym od przemocy, bo bezinteresownym.

Poza tym jak wiadomo, Gandhi wciąż podkreśla, że woli przemoc niż pogrążenie całego narodu w moczarze zniewieścienia i że przekłada przemoc ponad tchórzostwo. Zdawało by się prawie, że już otwiera się ważna choć mała furteczka dla różnych chirurgów, i nie na ostatnim miejscu dla posiadaczy takiej czy innej superbombi i wreszcie dla rehabilitacji tych, którzy chcieli hartować narody. Lecz Gandhi nie daje się uwieść "chirurgii", a jeśli chodzi o twardość to Satya-graha jest z najtwardszego kruszca. Pewnemu Szwajcarowi, który wywodził, że jego ojczyzna jako kraj neutralny nie może obejść się bez armii, gdyż to kusiliby wrogów i ułatwiałoby zniszczenie Szwajcarii, odpowiedział Gandhi, że neutralność może być także tchórzostwem, o ile pozwoli na zaatakowanie sąsiedniego kraju, zamiast odciąć napastnikowi wszelki dowóz, a w razie najazdu Szwajcarii mogłaby zagrozić wrogowi drogę żyjącym murem nieuzbrojonych mężczyzn, kobiet i dzieci. To byłyby Termopile szwajcarskie, gdyż na wypadek, gdyby najeźdźca zniszczył obrońców brutalnie, nigdy już nie odważy się powtórzyć takiej zbrodni. Gandhi przyznaje równocześnie, że może to być uważane za fantastykę, naiwność czy szaleństwo z jego strony, ale nikt mu nie zaprzeczy, że do takiego uporu potrzeba by odwagi największej i najtrudniejszej.

Na "usprawiedliwienie" Gandhiego można by przytoczyć jeszcze powiedzenie wiele ryzykowne, powtarzane przezeń w różnych wariantach: "Wolałbym o wiele, aby Indie zginęły, niż aby uzyskały wolność przez porzucenie prawdy". Czyż nie jest to — w okresie nacjonalizmu i gorączki — odstawianie piersi zamachowi, który w końcu nie omieszkął się zgłosić?! Lecz z drugiej strony taka skrajność jest tylko ostatecznym posterunkiem — chociaż wcale nie próżną groźbą ani próbą wymuszenia — a jak w każdej walce ostateczny posterunek musi być najsilniejszy i broniony najzawzięciej. Bo Gandhi ufa, że najtwardsze serca zmiękną i najgrubsza ciemnota rozproszy się przed wstającym słońcem cierpienia, wolnego od gniewu i zło-

liwości. Doktryna Ahimsy nie jest, koniec końcem, rytualnym przepisem, ani jakąś nową czystością rytualną umywającą ręce od spraw świata, nie zwalnia od czujnej odpowiedzialności i wielkiej oględności, jak świadczy działalność Gandhiego. Z nie-małą wyobraźnią szukał on nieustannie porozumienia. Ahimsa zatem na pewno wolna jest od samobójczego skoku w przepaść, którego pokusie ulegają znacznie łatwiej śmiałkowie, a nawet bohaterzy spośród zwolenników przemocy. Ahimsa, wierzy Gandhi, jest dość zaraźliwa. Może zbudzić sprzymierzeńców wśród sumień świata. "Pustynia rośnie, biada w kim się zjawia" — ostrzega Nietzsche. Zapewne Gandhi zgodziłby się na następujące odwrócenie: "Oazy rosną, nie grożą nikomu, zapraszają wszystkich".

Lecz mógłby jeszcze powiedzieć nam np. ktoś ze zwolenników Augusta Comte'a, który zesłał religię do przeszłości: nie upierajmy się przy słowie, przecież to, co proponuje Gandhi wcale nie jest religią w tradycyjnym sensie. Przeciw temu Gandhi zastrzegłby się stanowczo, zwłaszcza, że pochodzi z kraju, gdzie religia żyje i jeszcze coś znaczy, służąc, przynajmniej w zasadzie, także dla ochrony sedna spraw ludzkich przed ostateczną degradacją. Gandhi nie zrywa ciągłości znaczenia tego słowa i chociaż nie identyfikuje hinduizmu z żadną z poszczególnych sekt, jest doń przywiązany. Ceni go wyżej od innych religii, w szczególności dla tego, że wśród jego wyznawców więcej jest ludzi zdolnych do bezinteresownej i trwałej ofiary, niż w innych wyznaniach. Dla wyjaśnienia wymienimy krótko dwie najogólniejsze zasady hinduizmu: 1) Przyczynowość etyczna (Karman), 2) Jedność wszystkiego co żyje, pojęta zarówno co do pochodzenia i pokrewieństwa życia — zgodnie z opinią nowszej biologii, że wszelkie życie powstało z jednego pnia — jakoteż w sensie współodpowiedzialności. Dodajmy, że doktryna Karman wcale nie implikuje fatalizmu, jako że łączy się w niej obie powyższe zasady, akcentowanie odpowiedzialności etycznej wiąże się z poczuciem solidarności wszelkiego życia. Łącząc się, powiedzmy nawiasem, w sposób całkiem nie "egzystencjalistyczny".

Lecz według wyznania Gandhiego jego religia, chociaż nie posiada widzialnej postaci, działa tym pewniej, mimo, że jest *poza* hinduizmem, *poza* islamem, *poza* chrześcijaństwem i innymi. Nie uważa on mimo to, że należy usunąć lub wyłączyć którąś z tych religii, ceni je, stara się je godzić i dać rzeczywistości ich dążeniu. Nie uważa, aby kiedyś na ziemi mogła zapanować jedna, jedyna religia, i to wcale nie z indyferentyzmu, raczej z pokory wobec dróg Boga ku człowiekowi. Tym bardziej stara się wyszukać co wspólne, a przede wszystkim żąda wzajemnego poszanowania i tolerancji. Od swego narodu wymaga stale, aby zrozumiał stanowiska religijne innych. Dla niego samego Bagawadgita i Kazanie na górze mają jedyną wartość. Gdyby nie miał Bagawadgity albo gdyby ją

zapomniał, Kazanie na górze dałoby mu tę samą radość. "Moja religia nie jest więzieniem, nie ma ciasnego serca jest w niej miejsce dla najmniejszej istoty na ziemi". Religia — sądzi Gandhi — przesuwając środek ciężkości człowieka nadaje mu powagę sumienia, jaką nadaje bliskość śmierci, a ogranicza domenę dogmatów do sfery symbolicznej. Wprowadzenie religii do polityki jest czuwaniem nieustannym, nieustrudzonym, jest staraniem aby także w polityce zdobyć królestwo niebiańskie, przez to, że Bóg opanuje w praktyce każdy oddech człowieka.

Mamy sporo dowodów, że tolerancja Gandhiego nie jest ogólnikiem ani mglistym rojeniem, że gdzie ma czas i możliwość, nie zbywa żadnej postawy religijnej byle czym. Rozumie on swoistość religii, konkretne formy ich życia, obce wierzenia przyjmuje wyrozumiale i ze szczerą sympatią, do rodzimych odnosi się z miłością chociaż nieraz z żalem. Jako przykład podajemy wspomnienie z pobytu w Paryżu, gdzie na przekór opinii o rozwiążności czy frywolności tego miasta, zachwyciły go tamtejsze kościoły i piękno skupionych modlitw w kościele Notre Dame. "Starożytne kościoły Paryża dotąd są w mej pamięci, ich wzniosłość i spokój są niezapomniane. Wspinała konstrukcja Notre Dame i wnętrza kościołów pełne przepięknych rzeźb nigdy nie dadzą się zapomnieć. Czujęm że ci, którzy wydawali miliony na tak boskie budowle, musieli mieć miłość Boga w sercu. Kto wszedł do jednej z nich, zapomniał o hałasie i zgiełku panującym na zewnątrz. Jego postawa zmieniła się, musiał zachwycić się godnie i z respektem, gdy przechodził obok kogoś klęczącego przed posągami Dziewicy. Od tego czasu roso we mnie przeświadczenie, że to klęczenie i te modły nie mogą być jedynie zabobonem, a pobożni, klęczący przed Dziewicą, nie marmurowi tylko cześć oddawali. Rozpaleni rzetelnym uwielbieniem nie kamień czcili lecz Bóstwo. Odniosłem wrażenie, że ich uwielbienie nie umniejszało chwały Boga lecz zwiększało".

I jakby dla kontrastu, mimo synowskie przywiązanie do zasad hinduizmu, mimo że tak ceni i przeżywa teksty, symbole i śluby jego, odczuł obrzydzenie i przerażenie moralne na widok bezmyślnych rzezi zwierząt na ofiarę groźnej bogini Kali, na widok strumieni krwi zwierzęcej, w samym centrum najinteligentniejszej z prowincji Indii, Bengalu. Nie zapomniał tego wrażenia nigdy i modlił się, aby na ziemi pojawił się duch o potęgze Buddy, który by ocalił ludzkość od takich ofiar, od zaślepienia czy obojętności dla bezsilnych istot, w imię religii. Także ze smętną ironią wspomina pielgrzymkę do tzw. "Źródła wiedzy", świątyni brudnej a służącej do wyciskania pieniędzy z pielgrzymów, jak z nim się zdarzyło, gdy bramin tam urzędujący groził mu piekłem za zbyt mały datek. Kto wątpi o bezgranicznej litości Boga, który znosi tyle hipokryzji w imię religii, niechaj obejrzy te miejsca, powiada Gandhi.

Przemówienia i pisma Gandhiego czerpiąc, jak gdyby w poszukiwaniu tonów aktywności czy praktyczności, więcej nawet ze źródeł chrześcijańskich niż z hinduskich, odświeżyły i wskrzesiły niejedną sentencję o miłości bliźniego i o przebaczeniu, "którego nigdy nie może być dość". Zasady, którymi nas karmiono od dzieciństwa, ale tak jakoś wyszło, że skłonni jesteśmy uważać je za coś w rodzaju nieobowiązujących pozdrowień, jak "padam do nóg" i "całuję rączki". Także niejedną maksymę tolerancji i rozsądnego solidaryzmu, którą znamy ze szkoły i z lektury, które jak gdyby z zemsty, że wyczytane głazki nie działy cudów, ostatnie dziesięciolecie lubią wyszydzać, co najmniej nie znajdują dla nich zastosowania. Może skłonni będziemy pozbyć się Gandhiego, objaśniając sobie niezaprzeczną świeżość jego nakazów i zaleceń i reakcję Indii na nie, podług analogii, z najprostszymi środkami aptecznymi, jak aspiryna czy waleriana działającymi bardzo silnie i skutecznie na ludzi prymitywnych, którzy nie używali dotąd żadnych lekarstw. Lecz Indie, najbardziej "konserwatywny" kontynent świata — mimo że istotnie posiadają także relikty i wyspy archaicznych cywilizacji — zachowały w wielu pokładach i na każdym kroku nie dzisiejsze tradycje kultury moralnej, bardziej nieprzerwane niż gdziekolwiek indziej. Nie mogą rozwodzić się nad tym szerzej dla przykładu zakończmy starym wątkiem epickim, którego popularność charakteryzuje Indie, tło działalności Gandhiego.

Rozsądni badacze europejscy w drodze żmudnej synchronizacji przypisują eposom indyjskim datę powstania nie sięgającą dalej niż V wiek przed naszą erą, lecz o tyle uznają pretensje do częściowo większej starożytności tych dzieł, że w ich skład weszły wątki bardziej starożytne, jak wynika także z samych tematów. Z kolei eposy, arystokratyczne w swej ostatecznej formie, podobnie jak poematy Homera, a mimo to w swoim czasie zrozumiałe dla szerszych mas, zyskały wielką popularność, a nawet później, gdy język mówiony uległ przemianom, a poematy przestały być dostępne, wiele z ich wątków przeszło na własność ogółu.

Jeden z bohaterów Mahabarathy nazwany Judhi-Sztira stał się szczególnym ulubieńcem Indii. Zaskrynął nie jako wojownik, lecz jako pokojowy władca i kierownik ludu, mimo że w zasadzie Mahabaratha, podobnie jak Iliada, jest poematem wojennym. Był zgodliwy do krańcowości, narażając siebie i swoich najbliższych na cierpienia dla zgody i pojednania z przeciwnikami. Po wielu przygodach udaje się wraz z swoimi braćmi na wędrowkę do nieba, w Himalaje, na górę Meru, odpowiadającą Olimpowi. Po drodze odpadają wszyscy bracia i żona. Każdego więzi i znieruchamia w tej wędrowce jakiś błąd. Jeden z braci padł dlatego, że nie uważał nikogo za równego sobie, drugi dlatego iż miał się za najpiękniejszego ze wszystkich, trzeci, znany z Bagawadgity, szlachetny Arjuna chwalił się, że

mógłby w jednym dniu zniszczyć wszystkich przyjaciół. Najpotężniejszy ze wszystkich Bhima podobny nieco krwawym nordyckim herosom, miał takie spojrzenie, że samym wzrokiem i oddechem przeklinał wrogów i zabijał. I oni padli. Tylko pokorny i zgodliwy Judhi-Stira doszedł do bramy niebiańskiej razem z wiernym psem. Bóg Indra zaprasza wędrowca, lecz nie chce wpuścić do nieba psa. Tłumaczy to bohaterowi, lecz ten odpowiada: niechaj spadnie na mnie cokolwiek, zło czy dobro, nie opuszczę wiernego psa. Po wielu targach bohater dostaje się do nieba wraz z psem-przyjacielem. Lecz oto nowa próba. Zamiast przyjaciół i braci zastaje w niebie przewrotnych i złych wrogów. W takim niebie nie chce przebywać. A oto z daleka ukazują mu w głębiach paszczę piekła. Stojąc nad nią wzdyga się bohater przed straszliwym obrazem przepaści i mąk piekielnych. Waha się. Lecz z głębi, z piekła dochodzą go jęki, błagania przyjaciół, aby ukoł ich męki. Judhi-Stira triumfuje, decyduje się zstąpić do piekła. I oto jest jego zwycięstwo, w tej ostatniej próbie. Wszystko to było złudzeniem, "maya", dla sprawdzenia czy Judhi-Stira godzien nieba. Mgły złudzeń opadają i bohater widzi w niebie swych najbliższych. — Podobne motywy, w sposób jeszcze jaskrawszy, przejawiają się w tekstach północnego buddyzmu, w których wyzwoleni mnisi wyrzekają się Nirwany, a pragnienie ratowania braci na ziemi, zwyciężając hierarchię teologiczną, skłania ich do powrotu między ludzi ze współczucia i dla ratowania.

W ostatnich liniach swej autobiografii powiada Gandhi zwiąże: "Powiem bez najmniejszego wahania chociaż w całej pokorze, że ci, którzy mówią, że religia nie ma nic do czynienia z polityką, nie wiedzą co znaczy religia".

V. WIELKIE SPOTKANIE

Tuż przed ostatnią wojną pewien wybitny Bengalczyk z otoczenia poety Rabindranath Tagore'a, poza tym zapalony zwolennik Ligi Narodów, przywiózł dla niej w darze całą bibliotekę indyjską, wybór najprzedniejszych dzieł indyjskiego piśmiennictwa, jak gdyby wyprzedzając dążenia inwentaryzacji i wymiany, które później postawiło sobie UNESCO. Zbyteczne dodawać, że jeśli chodzi o zabezpieczenie inwentarza, Europa nie jest miejscem stosownym, — jeśli zaś o to chodzi, aby inwentarz kulturalny, taki czy inny, nie pozostał martwy, należało by raczej przewozić europejskie inwentarze do Indii.

W swoim czasie Schopenhauer dał niejedną pobudkę do studium indyjskiej filozofii, a biorąc analogię z Renesansu przepowiedział, że zapoznanie się Europy z Indiami wywoła podobne odrodzenie a nawet przełom. Lecz mimo filozoficznego pesymizmu nie przewidział niespodzianek europejskich, chociaż w sposób godny mizantropa dał wyraz obawie przed rewolucją i przewrotem, zapisując swój majątek w spadku rodzinom tych

obrońców ładu, tj. policjantów, którzy padli w walce z rewolucją w roku 1848. Oczywiście nie można się w tym geście Schopenhauera doszukiwać wpływu doktryny Ahimsa, gdyż władza państwowa wcale gwałtownie zgniotła rewolucję. Poza tym doktryna ta, jako ruch społeczny, zrodziła się i rozszerzyła się znacznie później, dzięki Gandhiemu.

Postać Gandhiego, jego działalność, jego otoczenie, wykazuje, że wielkie spotkanie Indii z Europą — podobne zetknięciu Judei ze światem kultury greckiej i rzymskiego prawa — ma raczej znaczenie dla Indii niż dla Europy. Bo poza erudycją i niezmiernie cennymi pracami uczonych europejskich jako to, wydaniem, komentowaniem, i przekładami tekstów sanskryckich, palijskich czy innych, które oczywiście mają znaczenie powszechne i trwałe dla całego świata, wpływ Indii na Europę jak na razie, jeśli pominiemy nieśmiałe grupy religijnego humanizmu angloindyjskiego, nazwane teozofią, nie odpowiada ani w części przepowiedniom Schopenhauera, tym mniej nie można go porównać z wpływem Europy na Indie. "Wpływy" Indii przejawiały się chyba, podobnie jak innych kolonii, w korzyściach kapitalistycznych, dzięki którym zapewne narody europejskie uzyskały wyższą stopę życiową, za którą zresztą rachunek nie jest jeszcze wyrównany.

Jeśli mówimy o "spotkaniu", nie mamy na myśli ani okupacji ani kolonialnej polityki, ani wysokich czy niższych komisarzy, lecz te wszystkie, jeśli nie całkiem pozytywne to co najmniej dające okazję do zmian pozytywnych czynniki, które za panowania brytyjskiego dotarły do Indii, zwłaszcza od czasu wzmocnienia komunikacji morskiej i zacząwszy od reform szkolnych Macaulaya. Oświatę europejską, import towarów i maszyn, prawo i praktykę prawną, ustrój państwowy, organizację techniczną i sanitarną, powstawanie przemysłu maszynowego w Indiach i wreszcie naukę, prądy duchowe i idee polityczne.

Może jeszcze nie czas na obiektywną ocenę brytyjskiego wkładu cywilizacyjnego w Indiach. Jeszcze trudniej wiedzieć czy i o ile wpływ ten i jego świadomość, dotarły do szerszych warstw. W każdym razie w swoim czasie zbudowanie w trudnych warunkach klimatycznych nader solidnej i rozgałęzionej sieci kolei żelaznych na całym kontynencie indyjskim było dziełem imponującym. Podobnie też zaradność Anglików w zwalczaniu głodu w Indiach przez pewien czas trwała w pamięci tamtejszego ogółu. O materiałach dla bilansu mogliby nas poinformować jedynie długoletni, bezpośredni a bezstronni obserwatorzy życia Indii.

Jeśli chodzi o warstwy reprezentacyjne Indii, spotkanie to, na pierwszy rzut oka niemal jakby zetknięcie się dwu cywilizacji z dwu planet, było wstrząsem i w rezultacie stworzyło dane do narodzin nowych Indii. Naprzód odsłoniły się straszne braki Indii, a z nimi konieczność rewizji własnej niejednokrotnie zaśniedziałej tradycji, przez uczenie się i dostosowanie.

Później zbudziła się w umysłowości Indii reakcja, zdążająca do zachowania tego co trwałe i cenne w tradycji. Bez tego żaden naród, tym bardziej kontynent o tak starej cywilizacji, nie mógłby zachować szacunku dla siebie. Walka o ten szacunek u siebie i u innych są podstawą zmagania się Indii czy to we współpracy z Anglią, i jeszcze więcej w oporze wobec niej. Te zmagania nie są jeszcze zakończone.

Gandhi jest kulminacyjną postacią tego zmagania, przyjmowania, przetwarzania lub odrzucania elementów obcej kultury. Chociaż, — jak powiedzieliśmy powyżej, o czym świadczą zresztą zasięg i siła jego wpływów, — jest on głęboko indyjski, przecież może nikt z wybitnych Indów nie wchłonął, nie zasymilował tylu wpływów europejskich, nikt jeszcze nie zareagował na tyle pobudek co Gandhi. Podkreślamy to dlatego, że powierzchowne informacje prasowe i popularyzacyjne utrwaliły nam postać Gandhiego z ostatnich lat w postaci jakiegoś kiczu, ascety pół nagiego, z kożą, z postem i z podobnymi sensacyjnymi akcesoriami. Zatem wezwania i alternatywy Gandhiego, mimo pewną sympatię, odstępujemy chętnie Indiom, uchylając się od ich wpływu a może nawet rozważania sumiennego, bo tylko tam, w Indiach, jest — w naszym mniemaniu — na miejscu taki polityk i kierownik, "fakir zupełnie nagi" jak nazwał go, chyba w przystępie złego humoru, europejski mąż stanu, Winston Churchill.

Nie zapomnijmy przede wszystkim, że Gandhi nie zjawiał się na widowni swych wpływów w żadnej z tradycyjnych form: ani jako bramin, ani jako nauczyciel religijny, ani jako książę panujący. Tylko w wielu formach europejskich: jako adwokat i obrońca prawny, jako organizator, także finansowy, ruchu wśród emigrantów indyjskich w Afryce, jako dziennikarz i redaktor, jako kierownik oddziału sanitarnego w wojnie boerskiej, jako pielęgniarz zadżumionych, nawet jako bankier, który skłonił robotników do składania pieniędzy zamiast jak dotąd do zakopywania w ziemi. I już taki obrazek, że w czasie przeniesienia Indusów z zadżumionego ghetta do zdrowotnego obozu, — co wszystko sam zainicjował, — odwiedzał swych rodaków na rowerze, odbiega od szablonu pokutnika indyjskiego jaki sobie wyrobiliśmy. Inna rzecz jaką treścią napełniał wszystkie zadania i zawody i formy swobodnej samopomocy, pokazał wszakże, że mogą być zdrowe i społecznie zbawienne.

Po studiach prawnych w Londynie użył swych gruntownych wiadomości w praktyce prawnej obrońcy, która wkrótce rozszerzyła się w prawdziwą obronę, czy to niewolniczo związanych długoletnimi kontraktami robotników (indentured labour), czy to osadników których nieprawnie wysiedlano. W obronie tych ostatnich na 70 spraw przegrał tylko jedną. Połowę skromnego wynagrodzenia uzyskiwanego za swą praktykę od razu przeznaczal na budowę szpitali. Nauczył się wtedy w szczególności, że naturalną misją adwokata jest jednoczyć lu-

dzi. Te możliwości angielskiego prawa i stosunków prawnych jak wynikająca z nich postawa, że w owym czasie, jak się wyraża, "popierał imperium", potwierdziły w młodym adwokacie, jedynym w swoim rodzaju, wiarę w skuteczność otwartej lojalnej walki o prawo. Zrozumiał znaczenie opinii i prasy, chociaż dość szybko dojrzał jej złe strony. Przecież nie dopuszcza myśli o ograniczeniu prasy, gdyż jak to podkreśla w takim wypadku będzie jeszcze gorsza. Raczej przyswoił sobie jak gdyby stanowisko amerykańskiego prezydenta Jeffersona,*) który sam atakowany jadowicie przez prasę i dziennikarzy oświadczył: "Będę ich bronił w ich prawach do kłamstwa i kalumnii". Gandhi uważa, że jedyna dopuszczalna "kontrola" prasy, to kontrola własnych sumień przez dziennikarzy i wydawców.

Ważne były osobiste spotkania się z ludźmi. Pociągał widocznie pokrewnych mu poglądami i upodobaniami Anglików, zwłaszcza że — podobnie jak Sokrates — nie przestawał z wieloma, tylko z każdym. Toteż zdania jego o Anglikach i o Anglii były nawet w okresach walki oględne i sprawiedliwe. I tutaj robi podobne doświadczenie jak Jefferson, który przeciwstawiał jednostki angielskie wierne obowiązkom i zobowiązaniom, uczciwe i cenne, polityce angielskiej, która "nigdy nie dopuściła żadnego rozdziału moralności do swego politycznego kodeksu", nieustannie opierając się na prawie siły i na władzy pieniądza. Jak mówi w dalszym ciągu Jefferson: "It is well known, she has been the least faithful to her alliances of any nation of Europe"***).

Także swą znajomość Indii rozszerzał Gandhi i umacniał poprzez Anglików, poprzez książki angielskie, między innymi przez obcowanie z kołami angielskich teozofów. W Londynie czytywał z przyjaciółmi Bagawadgitę w angielskim przekładzie poety Edwina Arnolda. A także jego poemat o Buddzie "Światło Azji". Już wówczas w młodzieńczych rojeniach świeciło mu połączenie tych trzech czynników Ewangelii, Bagawadgity i Światła Azji w jedną koncepcję. Wszelako i do Bagawadgity, którą uważa stale za bramę do prawdy, znajduje dostęp przez studium angielskiego prawa. Pyta sam siebie, jak możliwe jest stosować doktrynę równości tj. równego traktowania ludzi, z jednej strony wobec bezczelnych krzywdzicieli, skorumpowanych i niekompetentnych urzędników a z drugiej strony mając do czynienia z przyjaciółmi i dobroczyńcami, którym jest winien dogonną wdzięczność. I znajduje odpowiedź na zalecenia Bagawadgity w studium prawa angielskiego. "Mój respekt dla jurisprudencki wzrósł, odkryłem w niej religię". Teksty religijne i prawo uzupełniają się wzajemnie. Nawet spełnienie jednego ze swych ślubów wstrzemięźliwości urzeczywistnił z pomocą

*) Thomas Jefferson, *On Democracy* — Selected and Arranged With an Introduction by Saul K. Padover.

**) Wiadome jest, że spośród wszystkich krajów Europy była ona najmniej wierna swoim soюзom.

angielskich przyjaciół już w Londynie: jako student jest sekretarzem stowarzyszenia wegetarian, złożonego z samych Anglików.

Ale szczególnie pobyt w Afryce południowej, w Pretorii, był najcenniejszym okresem jego młodości. Z praktyką prawną i prawami publicznymi wiązały się liczne spotkania i dyskusje z chrześcijanami innego pokroju, niż ci których widział w Indiach. Szczególnie wpłynęła nań lektura. Gandhi był czytelnikiem gruntownym lecz powolnym i nie lubił czytać książek, których nie mógł przetrwać. Oprócz Ewangelii i ponad wszystkie inne dzieła, których dostarczali mu przyjaciele spośród chrześcijan bez porównania największe wrażenie sprawiło na nim Tołstoja "Królestwo Boże w nas", a dzieło John'a Ruskin'a "Unto the last", odkrywając cenność wszelkiej pracy i znaczenie pracy kooperatywnej, spowodowało, według zapewnienia Gandhiego, decydującą zmianę w jego życiu. W owym czasie zbliża się coraz bardziej do bezpośrednich wpływów indyjskich przez korespondencję z poetą Raychandbhai, który ujawnia mu wielkość hinduizmu i przysyła mu indyjskie książki religijne. Gandhi nie znalazł wprawdzie wśród żyjących, ani w Indiach ani w Europie, "Guru" tj. nauczyciela religijnego, którego by mógł postawić na wakującym tronie przewodnictwa duchowego, lecz na ogół bezpośrednio wpływy i pobudki umysłowości europejskiej wykazują w jego rozwoju nadwyżkę. Wszak nie zdołał nigdy zabrać się gruntownie do studium Yogi tj. dyscypliny duchowej indyjskiej. Czerpał całkowicie z praktyki i z eksperymentu środki wiodące do celu.

W rezultacie pokrewieństwo z Zachodem w praktyce i w doktrynach przejawiało się w rozległej i wielostronnej działalności, szczególnie w rozwiązywaniu wciąż żywych więc nierwanych, bo zmieniających się, zagadnień demokracji. Gandhi nie tylko jest demokratą, także liberałem, chociaż liberałem dosłownym, religijnym. W konsekwencji, dla zniszczenia wolności i utrzymania godności człowieka podąża nieraz drogą odmienną od praktyk zachodnich.

Prawdziwie demokratyczny jest ten naród który skutecznie i bez starć rozwiązuje swe zadania, nie odwołując się do ingerencji państwa, sądzi Gandhi. Tam gdzie tego brak, demokracja istnieje tylko z imienia. Reguła większości jest pożyteczna lecz tylko w ograniczonym zasięgu. Byłoby niewolą zapisać na zawsze duszę większości, bez względu na to jakie będą jej rozstrzygnięcia. Demokracja nie może zachowywać się jak stado baranów, o ile chroni wolność myśli i działań. Prawo mniejszości jest także ochroną moralności, bo prawdziwa moralność nie podąża drogą wszystkich, lecz znajduje ścieżkę dla siebie i podąża nią bez lęku.

Tym mniej demokracja da się połączyć z zastosowaniem przemocy cielesnej chociażby pośredniej; wszelka monopolizacja produkcji i rozdziału dóbr życiowych godzi w demo-

krację. Gandhi nie pragnie zniszczyć kapitalistów, tylko kapitalizm. I kapitalizm państwowy jako najbardziej potężny i bezapelacyjny uważałby za najgroźniejszy. Walka z kapitalizmem jako z uciskiem za pomocą odmówienia współpracy ma równie wielkie szanse jak wszelki opór wobec przemocy. Komunizm, sądzi Gandhi, słusznie słaui ideał bezklasowy, ale nikt nie przeprowadzi tego bagnetami, gdyż niemożliwe jest wyrwać bagnetem zło z serca człowieka. Równość jest pożądana, ale bardzo trudna, dążmy przynajmniej do sprawiedliwości, jako do najbliższego i piekącego celu. Bez niej wszelka własność staje się kradzieżą. Jak prawdziwy "chłop" nie zniósłby Gandhi "wieku administracyjnego", w który powoli wkraczamy, w którym wolność, zwłaszcza gospodarza, grup i obywateli jest coraz mniej, a obywatel nauczył się już oglądać się nieustannie za opieką i pomocą państwa, osiągając niejedną wygodę, a rezygnując jeszcze nie wiadomo nawet z czego.

W sprawie wyborów Gandhi nie ma zaufania do liczby głosów ani do liczby deputatów, tylko do ich jakości. Zgodziłby się zapewne z zdaniem Schillera, że zamiast liczyć należy ważyć głosy. Toteż już w początkach swej akcji w organizacji protestów przeciw niesprawiedliwemu wobec Indusów billowi w Afryce południowej, przestrzegał aby ci, którzy podpisali petycje i protesty dokładnie wiedzieli o co chodzi. Nie uszło jego uwagi, że podnoszenie rąk i podpisywanie na ślepo, to szyderstwo z demokracji. Chciałby widzieć na stanowiskach przedstawicieli ludu, osoby absolutnie rzetelne, dobre, a wybierane środkami rzetelnymi. Inne sposoby i praktyki nie mogą wzbudzić respektu ani dla wyborców ani dla ich przedstawicieli. Autorytet nie może być narzucony, musi przyjść bez starania się o niego. Korrupcja i hipokryzja wyborczych praktyk jest mu wstrętna. Prawdziwa demokracja nie wyraża się w wielkiej liczbie reprezentantów, raczej w niewielu wypróbowanych i oddanych sprawie choć nieustannie kontrolowanych. Można by powiedzieć, że Gandhi zachęcony sukcesami własnymi i jego towarzyszy, wymaga od przedstawicieli ludu, jak gdyby wzorem Sokratesa, aby mieli duszę ze złota a nie zapchaną pakulami i kartkami wyborczymi.

To już chyba nie zachodnia demokracja? Gandhi zda się łąduje w innym środowisku niż to z którego wypłynął, bo dla niego nie ma demokracji bez religii. Istotnie, sprawa "trustees" tj. powierników ludu, wydaje się nieraz bardziej utopijna niż mit o Termopliach szwajcarskich, o którym wspomnieliśmy powyżej, gdyż wojna a z nią ofiarność czy oburzenie może sfalować ludzi rozmaicie i nieoczekiwanie. Lecz jak wyobrazić sobie, jak wynikłby religijny wybór i namaszczenie powierników i reprezentantów ludu? A przecież, nie zapominajmy, mówi Gandhi, że polityka oplata nas jak wąż. Propaganda wyborcza, praktyka odurzania i ściągania wyborców, (nie mówiąc o zakupstwie) wobec której najprzystwoitsi politycy przymykają

oczy z niesmakiem czy z pobłażaniem, pozwalając igrać rozmaicie swym agitatorom i przez kilka tygodni harować bezkarne, nie pogardzając gromami przeciw przeciwnikom jako przekupionym zdrajcom czy obcym agentom, zazwyczaj po obliczeniu głosów ucicha, zwłaszcza, że wyborcy zapominają przeważnie szczęśliwie o swych wybrańcach. Mówi się zazwyczaj: to tylko środki, nic więcej jak środki, a jeśli nawet złe, to są złem najmniejszym. Ale gdy zdarzy się, że komuś braknie figlarności i weźmie te środki na serio, a po osiągnięciu większości pociągnie przeciwników przed trybunał stanu, jako zdrajców, a wobec zbyt wielkiej ilości zdrajców stworzy dla nich obozy koncentracyjne, zobaczymy wówczas co jest zawarte w tych środkach. Już Plato wykazywał jak z demokracji wyrasta tyrania. A cóż dopiero w okresie centralizacji państwa.

Gandhi nalega ciągle, że podstawą *swaradž*, niepodległości i demokracji, jest obudzenie narodu do tego stopnia, aby był zdolny nieustannie kontrolować władzę i opierać się jej, gdyby zawiodła. Opór jest prawem i obowiązkiem obywatela i żadna władza demokratyczna nie może być narzuconą ni utrzymana przemocą wbrew obywatelom. Trudna praktyka rozbudzania ludu i jego czujności przypomina nam demokrację ateńską, tak czujną, że powoli wszyscy obywatele stawali się płatnymi urzędnikami, radzili i czuwali od rana do nocy, a przy sposobności skazali Sokratesa, a później jeszcze w brzydszy sposób Fokiona. Lecz w Atenach istniał w swoim czasie areopag, sąd przysłowlowo surowy, nieposzlakowany, który dopiero w miarę ograniczenia go do spraw o zabójstwa, stopniowo wycofał swój autorytet, odziedziczony po władzy królewskiej, z życia publicznego. Nie jest wykluczone, że w inwestyturze, a także w zawieszaniu wybrańców Indii, w konsekwencji ich wielkiej odpowiedzialności, Indie mogą wybrać formy namaszczenia religijnego, które zachowały, na przykład na wyspie Bali, swą wagę dla prac rolniczych.

Zwracano uwagę, że teoretycznie biorąc Gandhi zbliża się w pewien sposób do "elitaryzmu" podobnego teoriom i słynnym praktykom sowieckiej władzy Politbiura. Między innymi Nehru porusza tę sprawę. Podobieństwo, powiada, nieznaczące różnice o wiele większe. Wprawdzie komuniści rosyjscy nie są obcy metafizyce, gdyż "masy" (i dzieje) stały się dla nich koncepcją metafizyczną, a kierownicy jako wyraziciele tej istoty są reprezentantami potrzeb i pragnień masy, chociaż ona sama nie o tym nie wie. Lecz przede wszystkim różnią Gandhiego od komunistów spod tego znaku metody i środki. Nade wszystko diametralnie przeciwny stosunek do przemocy. Do wywodów Nehru można dorzucić, że kontrola ze strony tej masy nie jest właściwie w praktyce ani nawet w teorii dopuszczalna, skoro kierownicy zawsze i wszystko lepiej wiedzą. Zbyteczne wywodzić, że dla Gandhiego "masa" nie jest ani bożkiem ani stadem pędzonym ślepo. "Masa" nie istnieje właściwie dla tego,

dla kogo istnieje każdy człowiek. Nie jest kategorią dla wszystkich czasów, bywa funkcją zbiednienia, degradacji i wojny, a sama nie chce pozostać na zawsze masą. Kategoria masy, a z nią liczby, zastosowana despotycznie dla spraw życia i duszy ludzkiej, przyniosła już liczne klęski a jest brzemienią w dalsze. Protest przeciw niej podnosi się od podstaw ludzkości. Filozof James wyraził się, że nawet każdy rak wrzucany kolejno do koszyka i liczony, gdyby umiał powiedzieć, zaprotestowałby: nie jestem piątym ani szóstym rakiem, jestem sobą. Numeracja ludzi święci swój triumf w obozach koncentracyjnych. Masa i mit czy raczej apokryf masy, bywa substytutem i falsyfikacją ogromu ludzkich istnień, zaśłania raczej niż unifikuje. A w ustach Gandhiego oznacza, aby nikogo, nawet najmniejszego nie zdeptać i nie wyłączyć, nie zapomnieć, bo nastrojenie na wspólny ton w czasie walki, nie uprawnia do tyranii ani nie zwalnia od widzenia człowieka. Gandhi nawet postem nie chciał zmuszać przeciwników tj. fabrykantów, właścicieli przedsiębiorstw przeciw którym prowadził strajk. Także postem apelował tylko do swoich, do bliskich. Sam Gandhi stwierdza stanowczo, gdy mówi o nowoczesnych komunistach: nie ma wspólnej podstawy między mną a szkołą gwałtu.

W praktyce politycznej rozstrzygała osobistość Gandhiego, jak w wypadku gdy Bose — według przedstawienia Sir Stanley'a Reed'a*) — uzyskał podstępem prezydenturę kongresu, wbrew silnemu oporowi Gandhiego, a jeden post Gandhiego, z powodu mniej ważnej sprawy, zwrócił ku niemu oczy wszystkich, tak, że całe posiedzenie kongresu "było klapą". W tym leży wielka trudność dla wszystkich dalej stojących, którzy chcieliby jakoś usystematyzować akcję czy doktrynę Gandhiego, podczas gdy dla bliskich wydawały się one organiczne i wychowankowie jego szkoły "politycznej" — jakże odmiennej od wszystkich szkół, także elitarnych Zachodu — nie widzieli trudności ani wątpliwości.

Zarzuca się nieraz Gandhiemu, że nie daje definicji, gdyż definicje rodzą różnice, ale nikt nie zaprzeczy, że konkretne akcje przeprowadzał systematycznie i koordynował konsekwentnie. Bądź co bądź negacja jego zawsze niedwuznaczna, jest jak gdyby wskazówką dla definicji i odsuwa nieporozumienia. Co najmniej dwie wytyczne Gandhiego, także w walce z władzami brytyjskimi, pozostają w granicach pojęć zachodnich. Jedna — prawna: "Fakty oznaczają prawdę. Gdy trzymamy się faktów, prawo samo przyjdzie nam z pomocą w sposób naturalny". Druga — polityczna: "Nie ma wolności na raty. Wolność to poród, każdy poród odbywa się w jednej chwili. Dopóki nie jesteśmy całkiem wolni, jesteśmy niewolnikami". — Dodajmy jeszcze gwarancję niezbędnego minimum, prawo *habeas corpus*, na którym, przy całym ryzyku opierał się Gandhi podczas swej walki. Dlatego, — czy mimo to, — słyszy się ze strony Brytyjczy-

*) Observer, luty, 1948.

ków czy innych Europejczyków, takie zarzuty: to nie sztuka, — mówią, — walczyć z władzami brytyjskimi, gdy ma się Habeas Corpus, sądy niezależne, wolność wyznań, zebrań i prasy. Niechby pan Gandhi spróbował tego samego z Niemcami, z Rosją albo choćby z Japonią. Przecież nawet zniesienie tzw. indentured labour (tj. pół-niewolnictwa zakontraktowanych robotników-emigrantów), nie mógłby przeprowadzić gdzie indziej, jak to uczynił w Indiach przy pomocy wielu zebrań, adresów, protestów, prasy i opinii publicznej, zarówno indyjskiej jak i angielskiej. Może pod inną władzą nie zdołaby nawet wykonać zadań tak skromnych, jak zawzięte niepokojenie władz kolejowych skargami na okropne stosunki w wagonach trzeciej klasy w Indiach, gdzie pasażerów traktowano jak owoce.

Nie wiadomo wprawdzie co by "pokazał" Gandhi w innych warunkach, wszelako nawet w sprawie indentured labour, system reżimowy, (mimo rzekomą życzliwość dla sprawy ówczesnego wice-króla Hardinge'a) zrobił co mógł, detektywi ścigali Gandhiego, i następowali wciąż na pięty, czego by prawdopodobnie nie robili w Anglii. Po powrocie Gandhiego do Afryki zdecydowana próba zliczowania go przez tłum białych pod wpływem sfalszowanych wieści o jego występach w Indiach, udaremniła zresztą wnikliwie przez policję brytyjską, poza tym ekskluzywność większości białych, pogarda dla "czarnego" adwokata, scysy i trudności na każdym kroku, to wszystko ma swoją wymowę. Ostatecznie Gandhi wysiedział się w więzieniu nie mało, — co nie tak często przydarza się zachodnim politykom. Takie, co najmniej, mogły być kontrargumenty ze strony Indii.

Przeto jeśli brytyjski Commonwealth ma jeszcze jakieś znaczenie, to tacy krytycy Gandhiego muszą się wydać zaściankowi, chyba by mimo obecną socjalizację Anglii, zdążyli do izolacji. A może to nasza opinia jest rodem z takiego zaścianka, w którym wciąż roją sobie jeszcze, że co jest prawdą w Anglii, to także gdzie indziej? Lecz tylko rezydenci takich prowincji, dla których "honesty is the best policy" przyznają Anglii prawo do dumnego udziału w zwycięstwie Gandhiego i prawo do sławy z racji tych wpływów, które na przyszłość także dla Anglii mogą być trwalsze, niż "wpływy" dla Manchesteru. Należy jednak podnieść, że Gandhi zyskał sobie w Anglii wielu przyjaciół i niemałą sympatię, co prawda dzięki swym ujmującym właściwościom, ale także dlatego, że było z kim mówić. Nie łatwo wykażać, by w jakim innym wypadku długa i uporczywa walka zakończyła się w ten sposób. Pamiętniki Gandhiego pełne są uznania, nawet wdzięczności nie tylko dla przyjaciół angielskich, ale także dla urzędników takich jak gubernator prowincji Bihar, Sir Edward Gait, który na przedstawienie Gandhiego usunął przedmiot uciążliwego dla chłopów serwitutu i przepowiedział zwycięstwo.

Wśród brytyjskich przyjaciół Gandhiego nie brakło takich, jak owa młodzianka Szkotka, sekretarka w Afryce, która zastrzegłszy sobie z góry minimalną zapłatę, była według słów

Gandhiego ucieleśnioną sumiennością i w czasie kiedy wszystkich członków Satya-grahy wyaresztowano, sama prowadziła dalej akcję. Widocznie spotkanie Anglii z Indiami nie było całkiem jednostronne. A warto by się było dowiedzieć, od kogoś kompetentnego, jak Gandhi, — który przemawiał do Indów nie tylko w swoim języku, ale także, na przykład do mahometan, w obcym mu języku Urdu, — wyraził w tym czy innym języku drogę mu słowo angielskie "piękno kompromisu". Chwała Indii będzie, — sądzi Gandhi — nie wypędzić Anglików przy pierwszej lepszej okazji, tylko pozostać z nimi w przyjaźni, w światowym związku, który zajmie miejsce imperium.

Za podstawę wolności angielskiej i tych krajów, które bądź wchodziły w skład imperium, bądź wyłoniły się zeń, uważa się Habeas Corpus, prawo z 1679, ustanawiające, że nikogo nie wolno więzić bez sądu. Amerykański prezydent Jefferson, — niezależnie od wszystkich swych wypadów przeciw Wielkiej Brytanii, — nieustannie podkreślał fundamentalne znaczenie tego prawa. Ugruntowało się ono nie tylko w Ameryce, która się zbuntowała, ale także w Indiach, choć te na dobrą sprawę nigdy nie uznały władzy brytyjskiej. Dla uwydatnienia punktu, w którym rozchodzą się drogi Gandhiego i Zachodu, jakoteż dla zyskania perspektywy na przyszłość spuścizny Gandhiego, pozytywne byłoby zastanowić się nad podobieństwami różnicami między Jeffersonem a Gandhim. Studium obszerne może być tylko rzeczą powołanych do tego historyków, tutaj zwrócimy uwagę na kilka punktów dostatecznie ewidentnych i popularnych. Przede wszystkim należałoby uwzględnić analogię międzynarodowej sytuacji w chwili powstania niepodległości.

Tomasz Jefferson, autor deklaracji niepodległości Ameryki i założyciel partii demokratycznej, był kolejno sekretarzem stanu, dyplomatą, wiceprezydentem i prezydentem Stanów Zjednoczonych w okresie, gdy kontynent europejski był szarpany konfliktami i wojnami, później deptany przez Napoleona, a morza płańdrowane przez Brytyjczyków. Gandhi, jak gdyby skupiając w sobie rolę Waszyngtona, Jeffersona i innych, a nawet zastępując w swym oporze "siły zbrojne Indii", partii politycznych nie zakładał i nie piastował urzędów politycznych ani państwowych. W działalności wewnętrznej wspomnijmy tylko sprawy najjaskrawsze: Jefferson biedził się rzetelnie lecz bezskutecznie, nawet w teorii nieco bezradnie, nad sprawą niewolników-murzynów, Gandhi podkopuje zupełnie "instytucję" pariasów w Indiach. Podobnie jak Gandhi, Jefferson był osobiście nieśmiały i w rezultacie nie występował publicznie, a atakowany przez prasę, z zasady nic nie publikował. Choćbyby maksymy Jeffersona dawały dziś podkład do retoryki, nie ma on chyba w sobie nic z retora. Jedynymi jego "dziełami" (oprócz "Notatek o Virginii", jego rodzimym Stanie) były papiery urzędowe. Jego dzieła wydane w dwudziestu tomach w r. 1907 składają się przeważnie z listów pisanych do niezliczonej ilości ludzi, wśród nich do Humbolta, Kościuszki, Lafayette'a, Monroe'go, Adamsa,

pani De Staël i wielu innych. Mimo pochłaniającą pracę urzędową i zajęcia na własnej fermie, do których on, fermer z fermów, był szczególnie przywiązany, napisał około dwudziestu pięciu tysięcy listów. Według późniejszego prezydenta Lincolna maksymy Jeffersona stały się podstawą Ameryki. Do nich należy także izolacyjna doktryna Monroego, jego ucznia i późniejszego prezydenta Stanów. Mimo, że sam Jefferson pokreśla przyjaźń dla wszystkich narodów, — w szczególności dla Francji — i że żywo interesuje się szczególnie losami wolności w każdym kraju, w owym czasie doktryna izolacyjna miała służyć do uniknięcia wwikłania się w konflikty chaosu, tyranii i wojen w Europie. A oto jak wyraża się w jednym z listów z racji złożenia przysięgi prezydenckiej: "Zaprzysięgiem na ołtarzu Boga wieczną nieprzyjaźń wszelkiej formy tyranii nad duszą człowieka". O roli państwa jest zdania, że im mniej państwa, tym lepiej i że nieustanna kontrola państwa, jego prawo do ciągłej służby obywateli mogłaby zniszczyć dobrodziejstwo istnienia, tak, że dla ludzi w takiej sytuacji byłoby lepiej, aby się nigdy nie urodzili. W alternatywie między anarchią a despotyzmem wybiera raczej anarchię. Spośród dwóch sytuacji społecznych, w których z jednej strony nie ma żadnych praw, tylko zwyczaj i opinia, jak u czerwonoskórych Indian, a z drugiej strony nadmiar praw jak w Europie, wybiera Indian. A gdyby miał do wyboru nie inaczej wejść do nieba jak tylko wraz z partią polityczną, nie wszedłby tam wcale. Współczesny nam wydawca "Sentencji o demokracji", Saul Padover, charakteryzuje Tomasza Jeffersona entuzjastycznie: "Był on prorokiem biblijnym, który ziszcł swe marzenia. Mężem ze stali owiniętej w przędzę domową".

Wspomniany wydawca wraz z innymi Amerykanami, uskarża się, że o twórcy konstytucji Jeffersonie, wie się w Ameryce nie wiele. Rzekomo nie tylko szersza publiczność, także intelektualiści amerykańscy, zawodowi historycy, naukowcy polityczni, wiedzący wiele lub niemal wszystko o marksizmie i faszyzmie, o Rosji i o Niemczech, a za nimi nauczyciele, szkoły znają Jeffersona jedynie z imienia. Padover nie szczędzi nagany tym wszystkim, którzy, — jak sądzi, — zapominają, że konstytucja amerykańska nie spadła z chmur, lecz została zdobyta w zmaganiu i w nieustannym czuwaniu.

A przecież nawet odległego i powierzchownego obserwatora musi uderzyć, że czające się nad współczesną Ameryką napięcie i groźba choćby nazywano je tylko "uneasiness", wymagają nowych zmagania i czuwania w nowej sytuacji. Zatem Jefferson, gloryfikowany podczas obchodów, apeluje zapewne do sentymentów lecz nie elektryzuje, nie rozwiązuje wątpliwości, nie zaspakaja potrzeb nowych. Postulat a nawet ideał prawdziwy można zdewaluować przez krasomówstwo, niezastosowane do rzeczywistości. Co niegdyś było wskaźnikiem czynu lub skrótem codziennego działania, co nawet było pomyślane jako testament dla Ameryki, może się wydać pustą retoryką, jak

się wyraża Burnham o ideologii Jeffersona we współczesnym zastosowaniu. Pozostawmy to zresztą kompetentnym. Nie należy jednak przeoczyć, skoro o tym mowa, że wśród maksym Jeffersona i to na naczelnym miejscu znajdujemy twierdzenia, które się muszą wydać dziś anachronizmem lub zabytkiem, chociaż przez to nie muszą tracić głębszej ważności. Wybrany narodem, mówi Jefferson, jedynym społeczeństwem niezepsutym i niezależnym są rolnicy. Rolnictwo jest podstawą wolności Ameryki, zaś wielkie miasta, urbanizacja i centralizacja, zniszczą wolność. Zostawmy warsztaty i fabryki Europy, bo z nimi przyjdą do nas zasady i umysłowość właściwe tłumowi wielkich miast! Jefferson sławi oświatę i nauczanie, spodziewa się od nich "powszechnego szczęścia", lecz w razie oporu rodziców sprzeciwia się przymusowi szkolnemu, jest też przeciwnikiem posyłania młodzieży na studia do Europy. Szczególnie wrogi jest wielkim bankom, manii bankowej i spekulacyjnej, gdyż przez machinacje z zagranicą i powodując na wewnątrz powszechne zadłużenie obywateli, staną się kiedyś groźbą dla republiki.

Co nowsze i późniejsze nie musi być lepsze. Wszak wiemy, z Pausaniasza, że nawet starożytna Hellada pozwoliła, aby jej Nero podarował i przywrócił wolność, a później by Hadrian ją odebrał jako że "odwykła od wolności". W postępie czasów powstały przeciw państwa, w których uważa się wolność za przestarzałą przesadę. Lecz Ameryka, czego nie trzeba chyba przypominać, od czasów Jeffersona zmieniła kierunek polityczny do reszty świata, a teraz odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni od tamtych czasów. "Pokażcie mi takiego, który by wrócił z Ameryki do Europy!" — wołał Jefferson z dumą. I przez sto lat z górą po Jeffersonie biedacy i uciśnieni z różnych krajów Europy, — a w ostatnim dziesięcioleciu nie tylko biedacy, — zbliżali się do brzegów Ameryki z westchnieniem: Oto jest kraj prawdziwie boży, kraj wolności i równości! Otwierali ramiona i serca i stawali się bez trudności Amerykanami. Tak dobrze i tak łatwo było, dopóki Ameryka sama była izolowana, dopóki przyciągała, jak się wyraził amerykański filozof Emerson, wszystko co było amerykańskie w Europie.

Wiemy jak jest teraz. Ameryka izoluje się stopniowo od nadmiernego napływu immigrantów, za to sama wkracza potężnie w losy świata. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, trudno nawet uwierzyć, że dawna izolacja się skończyła. Najsilniej odczułem to, czytając w czasie wojny książkę Wendel Willkie'go "Jeden świat". Ameryka zajmie się światem, byleby świat stał się jednolity, to jest amerykański. Bo jeśli nie — to środki do ujednostajnienia świata mogą się stać radykalne, nawet gwałtowne. Już na wewnątrz, ani w stosunku do czerwonoskórych ani nawet do Murzynów, Ameryka nie wykazała zrozumienia dla różnic. Zakładanie rezerwatów, na które mogą sobie pozwolić społeczeństwa bogate jako dowód bogactwa, nie jest rozumieniem ani uczeniem się na równej stopie. Analitycy i „studiosi”, sto-

jący z daleka, jako że nie wszyscy mogą jeździć do Ameryki, o ile są szczerzy, skłonni tłumaczyć sobie izolacjonizm Ameryki zaczynający się od wspomnianych doktryn, jej bezradnością w rozumieniu różnic i różnicowania świata. Wydaje się im, że zakłopotanie w tym względzie nadal nie opuszcza nawet wybitnych Amerykan a argumenty jakoby spuściznę fundamentalną Jeffersona można było bez szkody odłożyć ad acta nie są wcale przekonujące. Ponadto tacy spośród nas, którzy — oprócz bomb i paczek z Ameryki — nie doświadczyli bezpośrednio przejawów porywającego tempa amerykańskiego, ale mają pewne doświadczenie umysłowe i wiedzą cokolwiek o zasadniczych różnicach między Ameryką a Europą, pytają skromnie przedstawicieli narodu patrzącego wciąż naprzód i który tak wiele dobrej woli okazał dla stworzenia wolności świata: czy wskazane jest złożenie do aktów wspomnianej spuścizny, czym ją należy zastąpić, a także czy wszystkie obawy Jeffersona są przestarzałe i pienne? Mówi się nam ciągle: co najmniej na wewnątrz demokratyczny system Ameryki nie jest podatny dla zamachu stanu. "It cannot happen here". Twierdzenie to ma przypuszczalnie ważność, dopóki świat stoi otworem dla automatycznej ekspansji w przestrzeń jak dotąd stały otworem przestworza amerykańskiego kontynentu. A potem? Módlmy się i czuwajmy.

Po cóż ta cała dygresja? Już samo porównanie Ameryki z Indiami może wywołać uśmiech pobłażliwej pogardy. Porównywać najbogatszy i najwydajniejszy kraj z najbiedniejszym, z takim co z trudem dźwiga się z nędzy! Nie ulegajmy wszakże nowoczesnemu "prowincjonalizmowi w czasie". Niech brak pamięci nie upodabnia nas do bandarlogów z Kiplinga, a braku wyobraźni nie zastępujemy wciąż rosnącą trwingą. Kto pamięta Niemcy wilhelmowskie, kraj uregulowany do ostatniej śrubki, siedlisko najpotężniejszej nauki, centrum przemysłu i kraj najbogatszych organizacji robotniczych, a potem zobaczył Niemcy w r. 1945 ten miał okazję zadumać się nad losem potęg ziemskich. Największe potęgi, zwłaszcza oparte na rozwoju przemysłowym, prowokują największe zniszczenia. Któżby się zakładał lekkomyślnie gdzie będzie gorzej za 25 lat, w Ameryce czy w Indiach! A jeśli wierzyć, że Ameryka jest młoda i nie powiedziała swego ostatniego słowa, nie zapominajmy, że najoryginalniejsi twórcy Ameryki — żeby tylko wymienić Walta Whitmana i H. Thoreau — wiele zawdzięczali Indiom. Nic to, że chwilowo taka uwaga będzie uchodzić za ciasny horyzont widziany z jakiejś kapliczki literackiej.

To tło pozwala przypuszczać, że los spuścizny Gandhiego w Indiach jest trwały, trwalszy może niż los maksym idealizmu demokratycznego. Gandhi nie związał się żadną formułą ani maksymą, nie był politykiem zawodowym, nie pozostawił po sobie żadnych ustaw, tylko przez potężną negację, jedyną w swoim rodzaju i takąż afirmację jednoczenia nadal stanowi kierunek potęgowany żywą pamięcią o tym, że rozwiązywał wiele

zadań konkretnych niezmiernie trudnych wbrew wszelkim konwenansom politycznym. Można się odwrócić zupełnie od Gandhiego, wspomnienie o nim może stać się snem i mitem, ale nie nadaje się on do żadnej retoryki. W Ameryce sporządza się świetne ankiety, a byłoby pojętne aby kompetentni Amerykanie zdolni do ugruntowanych uogólnień, także na podstawie takich ankiet, powiedzieli nam co głównie trzyma Amerykę i w jakim stopniu demokracja amerykańska opiera się także na irracjonalnych podstawach i zasobach jakiegoś mitu. Czy będzie to mit w postaci "ojców-piegrzymów", czy tradycja pionierów i walk na dalekich kresach, czy walka o niepodległość? I to pragnęlibyśmy wiedzieć czy dewaluacja czy może nawet banalizacja wskazań Jeffersona nie podkopuje podstaw tego mitu. Bo chyba ani same praktyki wyborcze tak zależne od stanu posiadania i od dobrych zarobków wyborców, w przeciwnym razie wykazujące tyle abstynencji i nawet apatii, opanowane przez technikę wyborczą, zaprawioną figlarnym sprytem i optymizmem, ani też na zewnątrz poczucie wyższości technicznej nad światem nie zapewnią na dalszą metę demokracji.

W ostatnich dziesięcioleciach nadawano różnym na prędce skleconym i "pragmatycznym" doktrynom nazwę mitu, do której nie miały żadnego uprawnienia. Jak wiadomo mit nie da się sklecić i sfabrykować w retorcje, a potem eksportować za pomocą seryjnej produkcji czyli propagandy. Jedynie Gandhi wskrzesił uspięne siły mitu, szepcząc na nich co dobre i zdrowe dla Indii. Eksperyment wielki i śmiały, co z niego dla Indii wyniknie nie wiadomo lecz przykład przemawia do świata.

(dok. nastąpi)

Stanisław VINCENZ.

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W RARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",
"Wiadomości".

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Powstanie Warszawskie i problem odpowiedzialności

Trudno sądzić w jakim stopniu wspomnienia powstań, w które tak bogate są dzieje Polski, ważyły na politycznym myśleniu późniejszych pokoleń. Wydaje się, że — w tym jak i w innych wypadkach — zmysł polityczny inteligencji kształtował się mniej pod wpływem rozumowej analizy politycznego sensu i skutków powstań, (choć trudno wyobrazić sobie kogoś kto by nigdy nie stawiał sobie pytania jakie były szanse powstania listopadowego, i czy powstanie styczniowe miało w ogóle widoki powodzenia) niż pod wpływem tradycji rodzinnych, opromieniających legendą dziadków-powstańców. Gdyby było inaczej, kłęski zbrojnych powstań nie powtarzałyby się zapewne w dziejach z siłą fatum, którego nikt odwrócić nie może.

Oczywiście każde powstanie miało własną problematykę i ci co je wywoływali nie widzieli nawet może pewnych analogii z poprzednimi zrywami, ani nie sądzili, że potomni, a może nawet uczestnicy wydarzeń ochrzczą działania nazwą powstania.

Powstanie Warszawskie nie przestało być od dnia 1 sierpnia 1944 po dzień dzisiejszy zagadnieniem żywym i gorąco dyskutowanym. Jest to rzeczą zrozumiałą, bo o ile winę za stan w jakim znalazła się Polska po wojnie przypisuje się czynnikiem zagranicznym, o tyle decyzja powstania warszawskiego była aktem samodzielną woli i odpowiedzialność za nią ponoszą polskie czynniki polityczne. Dlatego też dyskusja nad przyczyną, przebiegiem i skutkami powstania ma inną wartość — oczywiście o ile wierzy się, że narody wyciągają wnioski z doświadczeń — niż np. rozpatrywanie przez polską publicystykę błędów Roosevelta lub Churchilla.

Dyskusja na temat powstania jest tym utrudniona, że jest to wydarzenie współczesne, wyjątkowo silnie naładowane uczuciem. Nie mówiąc już o tych, dla których powstanie było osobistym doświadczeniem; jak mało jest osób, które nie są z nim związane uczuciowo. Szereg wypowiedzi uczestników powstania wskazuje jednak, że sentyment dla legendy, która je od pierwszej chwili opromienia, da się pogodzić z rozumową oceną jego politycznego sensu. Większe znacznie niebezpieczeństwo dla obiektywizmu leży w próbach wyzyskiwania roli odgrywanej

przez pewne osoby w czasie powstania dla celów bieżącej polityki.

Rok 1950 przyniósł dwie pozycje wydawnicze dające punkt wyjścia do poważnej dyskusji. Obie poświęcone są Armii Krajowej i siłą rzeczy traktują głównie o powstaniu.

Pierwszą jest wydawnictwo Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego w Londynie "Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej", tom III, "Armia Krajowa". Drugą pracą na ten sam temat są wydane po angielsku i po polsku wspomnienia gen. Bora Komorowskiego.*)

Wydawnictwo "Armia Krajowa" jest programowo, co zaznacza przedmowa, "zwięzłe do faktów i zachodzących między nimi związków przyczynowych — bez podawania oceny". Na podstawie tego wydawnictwa można ustalić w sposób ostateczny pewne ważne fakty, będące dotychczas przedmiotem sporów i dyskusji. Nie znaczy to, aby książka dawała odpowiedź na wszystkie pytania jakie od siedmiu lat sobie stawiamy. Przeciwnie, szereg z nich narzuca się po jej przeczytaniu z jeszcze większą siłą niż przedtem. Opracowanie sztabu oparte jest na dokumentach, znajdujących się w Londynie i na relacjach uczestników wydarzeń. Gen. T. Pełczyński, Szef Sztabu A.K., jest — jak to wyjaśnia przedmowa — autorem szeregu rozdziałów, a całość opracowana została przez zespół żołnierzy A.K. przy udziale pracowników cywilnych Polski Podziemnej. Jeżeli opracowywanie historii przez jej dramatis personae przedstawia niebezpieczeństwo dla obiektywizmu to z drugiej strony posiada tę zaletę, że w sposób autorytatywny wyjaśnia motywy decyzji. O ile czytając pracę historyczną możemy mieć wątpliwości czy z motywacją autora zgodziłby się uczestnik wydarzeń o tyle w tym wypadku dzieło nabiera w pewnym sensie, charakteru relacji pamiętnikarskiej.

Książka gen. Bora Komorowskiego ma charakter wspomnień osobistych. Napisana już dawno (obszerne wyjątki drukowane były w "Reader's Digest" bodaj w 1948) doczekała się wydania angielskiego dopiero z końcem 1950. Przyjęta b. dobrze przez poważną prasę angielską i amerykańską powinna mieć powodzenie wśród czytelników anglosaskich. Atrakcyjny tytuł — zwraca uwagę, forma wspomnień osobistych — odpowiada gustom, a temat zaciekaży chyba i tych, którzy literatury wojenno-politycznej unikają. Odpowiednio rozreklamowana mogłaby książka ta pójść w ślady bestsellera amerykańskiego sprzed kilku laty — "The Story of the Secret State" Jana Karskiego. Książka gen. Bora Komorowskiego stanowi znacznie lepszą lekturę w porównaniu z wydawnictwem Kom. Historycznej

*) Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej. T. III. — Armia Krajowa. Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego, Londyn, 1950. The Secret Army by T. Bór-Komorowski, wyd. Victor Gollancz, Ltd., Londyn, 1950. (Tadeusz Bór-Komorowski, Armia Podziemna, Nakładem Katolickiego Ośr. Wyd. Veritas, Londyn, 1951, cena 18 sh.).

Sztabu, którą uzupełnia paroma szczegółami no i mimowolną charakterystyką dowódcy A.K.

Władze wojskowe podziemia opracowywały plany powstania nieledwie od samego początku okupacji. Już w ciągu 1940 opracowany został w Komendzie Z.W.Z. obszerny dokument, wysłany do Londynu w lutym 1941 jako meldunek 54 gen. Grota Roweckiego, dowódcy Z.W.Z., który oddzielnie rozpatruje sprawę powstania przeciwniemieckiego, a oddzielnie obrony przeciw Sowietaom, związanym wówczas z Rzeszą. Oceniając trzeźwo, że: "Wszelkie próby podjęcia akcji przeciw pełnowartościowemu wojsku — bez względu na jego liczebność — nawet wówczas, gdyby wewnątrz Niemiec szerzyło się już wrzenie rewolucyjne, byłyby niezawodnie utopione we krwi zarówno przez akcję naziemną jak i powietrzną" (str. 174 A.K.) raport uważa za warunek istotny łączące pojawienie się rozstroju wewnętrznego w Niemczech i upadku dyscypliny armii niemieckiej. Niezbędne dla powodzenia powstania uważa dowództwo Z.W.Z. wsparcie działaniami lotniczymi, desantem powietrznym wojsk i zdobyciem przez siły alianckie bazy na wybrzeżu Bałtyku. Na uwagę zasługuje, że władze wojskowe uważały wtedy, że: "W samej Warszawie istnieją takie ośrodki nieprzyjacielskie, których opanowanie zwykłym sposobem bojowym będzie bardzo ciężkie lub zgoła niemożliwe. Do nich należą: kompleks gmachów GISZ i Min. Oświaty — siedziba Gestapo i SS, dom Akademicki na pl. Narutowicza — siedziba baonu policji, lotnisko na Okęciu z bardzo silną załogą, koszary lotnicze na Pułaskiej i Rakowieckiej." (op. cit., p. 179). Rozpatrując, jako jedną z hipotez, wojnę niemiecko-sowiecką, w której sukcesy będą po stronie bolszewików raport uważa, że "Rzecz prosta byłoby wówczas szaleństwem przeciwstawiać się zbrojnie wkraczającemu przeciwnikowi, który okazał się tak potężny, że zdołał pobić armię niemiecką. Rola nasza polegałaby na utrzymaniu nadal w konspiracji całego aparatu z przedstawieniem się na przygotowania powstańcze na moment, kiedy z kolei ustrój i państwo sowieckie zaczną się załamywać".

W chwili, kiedy dokument ten w całości został rozszyfrowany w Londynie, wojna niemiecko-sowiecka była już faktem. Wkrótce potem ustępuje z rządu, a równocześnie ze stanowiska Kierownika Spraw Krajowych i Zast. Nacz. Wodza dla spraw Kraju gen. Sosnkowski. Przez następne dwa lata wymiana korespondencji na temat powstania toczy się pomiędzy gen. Sikorskim, który podporządkował sobie Siły Zbrojne w kraju, a ich dowódcą — gen. Roweckim.

Z chwilą gdy Sowiety znalazły się w obozie aliantów, zagadnienie powstania rozszczepiło się na dwa aspekty: techniczno-wojskowy zryw zbrojnego przeciw Niemcom, oraz polityczny tj. stosunku wojska i władz cywilnych Polski Podziemnej do wkraczających wojsk czerwonych. W miarę upływu czasu stawało się coraz bardziej pewne, że rozkład armii niemieckiej na wschodzie nastąpić może tylko w wyniku zwycięstwa sowieckie-

go a zatem, że warunki dla powstania przeciwniemieckiego związane są nierozdzielnie z sytuacją, w której armia czerwona wkracza na ziemię polskie.

O ile w zapatrywaniach na techniczno-wojskowe warunki powstania poglądy Londynu i Warszawy były prawie identyczne, o tyle sprawa stosunku do Sowietaom była trudniejsza do uzgodnienia. Pochodziło to stąd, że gen. Sikorski zmieniał instrukcje zależnie od swoich poglądów na możliwość ułożenia współpracy ze Sowietaami, a gen. Rowecki zajmował konsekwentnie nieufny stosunek do Rosji.

I tak odpowiedź na meldunek 54 zawarta w piśmie gen. T. Klimeckiego z końca listopada 1941 zawiera rozkaz gen. Sikorskiego stawiania zbrojnego oporu armii czerwonej na granicy ryskiej (op. cit. p. 185). Natomiast instrukcja gen. Sikorskiego z marca 1942, pisana po pobycie w Rosji, zakazuje przeciwstawiania się wkraczającym w pościgu za Niemcami wojskom rosyjskim. Na taki wypadek instrukcja przewiduje wystąpienie zbrojne w celu rozbrojenia Niemcowa i zorganizowanie się przed przyjsciem bolszewikowa. W odpowiedzi swej z 22 czerwca 1942 gen. Rowecki tak przedstawił swoje zasadnicze poglądy na linie, której należy przestrzegać w razie gdy Rosjanie będą czynnikiem decydującym pod wzgledem siły na Wschodzie Europy: "W tych warunkach nie mamy możliwości ani celu podejmowania walki zbrojnej przeciw Niemcom. Zamieniamy okupację niemiecką na sowiecką. Staramy się uchwycić administrację kraju przez Delegata Rządu, który ujawnia się wraz z aparatem administracyjnym i organami bezpieczeństwa (policja). Wojsko z emigracji nie przybywa do kraju. Wojsko konspiracyjne nie ujawnia się" (op. cit., p. 192).

Na meldunek ten odpowiedział Naczelnny Wódz depeszą z 28 listopada 1942, w której daje wyraz nadziejom, że układ sił w końcowej fazie wojny będzie dla Polski korzystny. Rozpatrując hipotezę wkroczenia armii czerwonej w pościgu za wrogiem, gen. Sikorski zakazuje podejmowania z nią walki orężnej a równocześnie, wbrew stanowisku gen. Roweckiego, rozkazuje: "Polecam zatem przygotować ujawnienie w tym wypadku Armii Krajowej oraz przystąpić do jej mobilizacji."

Rozkaz ten przyjął gen. Rowecki z dużym oporem. Stanowisko gen. Sikorskiego było diametralnie różne ze stanowiskiem Warszawy, wyrażonym w obszernym meldunku 154, przewidującym konspirowanie Sił Zbrojnych w kraju. Meldunek ten minął się z rozkazem Naczelnego Wodza, na który gen. Rowecki odpowiedział w styczniu 1943. W meldunku swym wyraził swoje wątpliwości, ale kładąc nacisk na wsparcie desantem sił emigracyjnych i anglo-saskich, potwierdził, że: "Na odcinku wojskowym zarządę i wykonam powstanie przeciw Niemcom przy każdym możliwym rozwoju wydarzeń w wypadku wkraczania Rosjan na ziemię polskie, chociażby Niemcy nie dojrżeli do dotychczas przewidywanej akcji powstańczej". (op. cit., p. 546). Depesza gen. Roweckiego z końca lutego 1943 wyrażała podobną myśl w

słowach następujących: "moment wybuchu związany byłby z faktem wkraczania Rosjan, a nie stanem rozkładu Niemców". (op. cit., p. 547).

Widzimy tutaj jak pod wpływem rozkazów z Londynu, zmienił gen. Rowecki plany. Tymczasem gen. Sikorski poddał częściowej rewizji swoje poprzednie rozkazy i depešował 26 marca 1943: "W związku z możliwym pogorszeniem się naszych stosunków z Sowietami, zastrzegam sobie decyzję uruchomienia częściowego powstania na kresach wschodnich. Gdyby bowiem stosunek Sowietów do nas okazał się wyraźnie wrogi, wówczas wskazane byłoby ujawnić tylko administrację cywilną, a siły Armii Krajowej wycofać w głąb kraju, by uchronić je przed zniszczeniem przez Rosjan" (op. cit., p. 548).

W kwietniu 1943 zerwała Rosja stosunki dyplomatyczne z rządem polskim. Pod wpływem tego wydarzenia gen. Rowecki zaproponował Nacz. Wodzowi rewizję nakazanego krajowi traktowania wkraczających Rosjan jako sprzymierzeńców. Szkoda, że depešy tej nie przytacza książka choćby w wyjątkach tak jak poprzednie. Dałaby ona pełniejsze pojęcie o koncepcjach politycznych gen. Roweckiego, którego dobra opinia z czasów konspiracji znajduje potwierdzenie w świetle ogłoszonych dokumentów. Ukazują nam one Grota-Roweckiego jako człowieka o zmyśle politycznym, rozumiejącego ducha czasów a przy tym zręcznego negocjatora w bardzo trudnych warunkach. Jego meldunki wykazują na ogół nie tylko trafność przewidywań co do przyszłych wydarzeń ale także podają trafne sposoby ich rozwiązania. Poza poglądami jego na sprawę powstania i zagadnienie rosyjskie podkreślonymi poprzednio, na uwagę zasługuje wzywianie rządu w Londynie do ogłoszenia wyraźnej deklaracji gwarantującej mniejszościom narodowym ukraińskiej i białoruskiej pełnej możności korzystania z praw obywatelskich i kulturalnych oraz szybkiego ogłoszenia bardzo radykalnego i postępowego programu reform społecznych i gospodarczych. Gen. Rowecki widział w styczniu 1943 konieczność takich deklaracji dla przeciwdziałania akcji sowieckiej. Rada Jedności Narodowej zdobyła się na ogłoszenie deklaracji dopiero na wiosnę 1944, kiedy w Chełmie urzędowali już bolszewicy. Swoje talenty wykazał Grot również w rokowaniach zmierzających do podporządkowania A.K. licznych organizacji wojskowych. Zagadnienie to łączyło się ze specjalnie trudną sprawą oddziałów zorganizowanych przez partie polityczne, a zatem ze stosunkiem wojska do czynników cywilnych i politycznych, czyli zagadnieniem wyjątkowo delikatnym. Z wyjątkiem sprawy Narodowych Sił Zbrojnych, czy też ich części, udało się gen. Roweckiemu rozwiązać wszystkie trudniejsze zagadnienia i ułożyć stosunki z Delegatem Rządu i stronnictwami. Aresztowanie przez Gestapo gen. Roweckiego w końcu czerwca 1943 było niewątpliwie ciężką stratą, choć oczywiście nie można przewidzieć jakim by okazał się on dowódcą w momencie podejmowania najważniejszych decyzji.

W parę dni po aresztowaniu Grota tonie pod Gibraltarem samolot wiozący gen. Sikorskiego.

Po zmianie na najwyższych stanowiskach, Premierem zostaje Mikołajczyk, Naczelnym Wodzem gen. Sosnkowski a dowódcą A. K. gen. Komorowski, korespondencję na temat powstania i stosunku do Rosji podejmuje nowa instrukcja dla kraju, opracowana przez Rząd i Nacz. Wodza, a wysłana 1 listopada 1943. Zawiera ona zasadniczy zwrot w stanowisku Londynu i przewiduje powstanie jedynie po uzgodnieniu z aliantami zachodnimi i w razie wsparcia go lotnictwem, desantami powietrznymi i materiałem przez anglosaskich sprzymierzeńców, którzy wejdą głęboko na kontynent Europy. Przy braku zgody aliantów na taki plan, a w razie załamania się niemieckiego frontu bez oznak rozkładu "Rząd wzywa kraj do wzmoczonej akcji sabotażowo-dywerysyjnej przeciw Niemcom. Akcja ta jednak ma wtedy tylko charakter polityczno-demonstracyjny i ochronny" (op. cit., p. 553). Jeżeli w momencie tym stosunki polsko-sowieckie nie są nawiązane instrukcja przewidywała, że po założeniu przez rząd protestu u Narodów Zjednoczonych przeciw naruszeniu suwerenności, "Władze krajowe i Siły Zbrojne w Kraju pozostają nadal w konspiracji i oczekują dalszych decyzji Rządu polskiego. W wypadku aresztowań i represji wystąpienia czynne należy ograniczyć do niezbędnych aktów samoobrony".

Ta nowa instrukcja pokrywa się prawie zupełnie z przytoczonymi poprzednio poglądami rozwijanymi przez gen. Roweckiego w meldunku 54 z 1940 i znacznie późniejszej jego depešy z 22 czerwca 1942. Można by oczekiwać, że poglądy poprzedniego dowódcy były podzielane przez sztab A.K., który z zadowaniem przyjmie rozkazy idące po tej linii. Tymczasem instrukcja ta doznała jak najgorszego przyjęcia w Warszawie, gdzie, jak stwierdza książka, dowództwo A.K. uważało, że w momencie wycofywania się Niemców i nadejścia nowego wroga "nie można zadowolić się paroma demonstracyjnymi strzałami w kraju i paroma dyplomatycznymi akcjami w Londynie... że żołnierz polski ma obowiązek walczyć o uwolnienie swej ziemi od najeźdźcy niemieckiego i o prawa Polski do udziału w ostatecznym zwycięstwie... Uważano, że lepiej będzie, jeśli Rosjanie będą musieli po wkroczeniu dać jawny wyraz swemu wrogiemu stosunkowi do reprezentacji Rzeczypospolitej, niż gdyby mieli wyciągać po cichu z ukrycia żołnierzy A.K.... Rozumiano, że skoro tragiczny bieg wypadków jest nieodwracalny, należy przynajmniej postępować w sposób, któremu by przyszłe pokolenia nie mogły uczynić zarzutu małoduszności". (op. cit., pp. 555 i 556). Powyższe wywody polityczne, a w części historiozoficzne, cenne dla zrozumienia dalszych wypadków w niczem nie wyjaśniają kompletnej zmiany poglądów dowództwa A.K. na zagadnienie powstania i zachowania się w stosunku do wkraczającej armii czerwonej. Nowe poglądy dowództwa A.K. przypominają dawne koncepcje londyńskie z czasów gen. Sikorskiego tj. walki z Niem-

cami bez względu na sytuację oraz ujawnianie armii i administracji wobec Sowietów.

Instrukcja rządu została po naradach z Delegatem Rządu i przedstawicielami Rady Politycznej kompletnie zmieniona w kraju. Dawne rozkazy do powstania zostały utrzymane w mocy a nowe rozkazy dotyczące "Burzy" tylko pozornie odpowiadały wzmożonej akcji sabotażowo-dywerysyjnej przewidzianej instrukcją Londynu. Trudno bowiem mówić o charakterze "polityczno-demonstracyjnym i ochronnym" tam gdzie rozkaz A.K. nakazywał użycia całości sił na danym terenie, czyli lokalne powstanie, a nie sabotaż czy demonstrację. Wreszcie, wbrew instrukcji, nowe rozkazy przewidywały ujawnianie się wobec Rosjan oddziałów, które wezmą udział w zwalczaniu uchodzących Niemców. Był to już logiczny skutek zasady walki z Niemcami toczonej w obliczu nadchodzących wojsk sowieckich.

Kryptonim "Burza" prowadzi często do nieporozumień w dyskusjach nad powstaniem. W kraju i na emigracji rozumiano zawsze jako powstanie powszechne zryw obejmujący teren "bazy" czyli całość tzw. Gubernii Generalnej z wyjątkiem Lwowa. W odróżnieniu od tego, częściowe powstanie miało obejmować poszczególne części kraju podrywane do akcji zależnie od lokalnej sytuacji wojskowej i planów politycznych. Cel i zadania "Burzy" zostały ujęte w rozkazie Dowódcy A. K. jak następuje: "podkreślenie naszej woli bicia Niemców, i to nawet w wypadku niekorzystnego dla nas stosunku sił, czyli wśród okoliczności niezawalających na podjęcie powstania powszechnego, oraz samoobrona przed wyniszczeniem nas przez wycofujących się Niemców" (str. 558 op. cit.). Wobec tego, że w "Burzy" brać miały udział wszystkie siły danego terenu nie różniła się ona od powstania regionalnego, a od powstania powszechnego jedynie brakiem synchronizacji pomiędzy poszczególnymi rejonami. Jedyna istotna różnica pomiędzy powstaniem i "Burzą", polegająca na wykluczeniu miast jako terenu walk, została wkrótce usunięta. W rezultacie "Burza" była powstaniem lokalnym. Fakt, że dowództwo A. K. przygotowywało powstanie powszechne równocześnie z "Burzą" i że pod tym kryptonimem rozpoczęły się walki nie może przyskonić tego, że "prawdziwe" powstanie rozgrywało się na terenie stolicy.

Raport o zmianach w instrukcji rządu został odebrany w Londynie z początkiem 1944. Zasada współdziałania z wkraczającymi wojskami sowieckimi znalazła uznanie u premiera Mikołajczyka, który wierzył w możliwość ułożenia stosunków z Rosją; gen. Sosnkowski, choć był zdania, że współpraca z wojskami sowieckimi może mieć miejsce jedynie w wypadku przywrócenia stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich, przyjął do wiadomości decyzję zapadłą w kraju. W wyniku narad odbytych w lutym 1944 rząd oficjalnie przyjął do wiadomości stanowisko Warszawy zastrzegając jednak, że "W wypadku jeśliby ujawnieni przedstawiciele polscy zostali aresztowani, władze

krajowe wydadzą na dalszych terenach zakaz ujawniania się władz administracyjnych i Sił Zbrojnych".

Tymczasem rozwijała się ofensywa sowiecka a na terenach wschodnich rozpoczęła się "Burza" dostarczając przykładów jak w praktyce przy walce z Niemcami układają się stosunki z Rosjanami.

Całość "Burzy" na Wołyniu skończyła się klęską. W lipcu, po okresie współpracy, władze sowieckie aresztowały podstępnie sztab A.K. okręgu Wilno i Nowogródek. Pomimo tego, i wielu innych faktów, dowództwo A.K. w dalszym ciągu kontynuowało "Burzę" na innych terenach i przygotowywało powstanie powszechne mimo, że instrukcja rządu wyraźnie zakazywała ujawniania się władz administracyjnych i Sił Zbrojnych w razie takiego stanowiska Rosjan.

14 lipca depezuje gen. Bór-Komorowski: "Mimo, że nie zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne z Sowietami, A. K. nie może zostać bezczynna w wypadku cofania się Niemców, a wkraczania Sowietów lub w wypadku rozkładu sił niemieckich i zagrożenia okupacją sowiecką. A. K. musi stoczyć ostateczną walkę z Niemcami, która może przyjąć formę "Burzy", powstania lub obie formy w wypadku gdyby w trakcie prowadzenia "Burzy" we wschodniej części kraju nastąpił rozkład sił niemieckich, wówczas w pozostałych częściach byłoby prowadzone powstanie". (op. cit. p. 579).

W tydzień potem (21 lipca) melduje dowódca A. K., że nie wstrzymując "Burzy" wydaje rozkaz czujności do powstania z dniem 25 lipca godzina 00.1. W tych samych dniach narada pomiędzy generałami Borem-Komorowskim, Pełczyńskim szefem sztabu i Okulickim zast. szefa sztabu wykazała zgodność poglądu na to, że "Warszawa powinna być uwolniona spod jarzma niemieckiego wysiłkiem żołnierza polskiego" a wojska sowieckie powinny spotkać się z polskimi władzami cywilnymi i wojskowymi w stolicy (op. cit. p. 657). To stanowisko władz wojskowych zostało zaaprobowane przez Delegata Rządu i przez Komisję Główną Rady Jedności Narodowej, która po wysłuchaniu referatu dowódcy A. K. na temat sytuacji na froncie niemiecko-sowieckim zdecydowała jednomyślnie, że wkroczenie armii czerwonej powinno być poprzedzone opanowaniem stolicy przez A. K. Na pytanie generała Komorowskiego jaki minimalny czas potrzebny jest aby administracja cywilna objęła swoje funkcje, Komisja R. J. N. ustaliła, że co najmniej 12 godzin. Ta oto uchwała, powzięta w nastroju zbliżającej się armii sowieckiej i bliskiej klęski Niemiec, w której działania A. K. nie będą długie skoro 12 godzin wystarczy aby objąć administrację, stała się podstawą decyzji do walk w stolicy.

Motywy tej decyzji dzieli wydawnictwo Sztabu Głównego na ideowe, polityczne i wojskowe. Do pierwszej kategorii zalicza argument, że Warszawa jako stolica oporu konspiracyjnego nie mogła pozostać bierna. Motywy polityczne są wymienione następująco: obowiązek walki z Niemcami dla nabycia moralnego

prawa do korzystania z owoców zwycięstwa oraz złożenia dowodu, że Polska zachowała do końca czynną postawę w walce z Niemcami. Można by zauważyć, że moralnych tytułów i dowodów złożono dosyć od 1939 i składano je nie tylko w kraju ale w czasie i po powstaniu także na innych frontach przy boku aliantów zachodnich. Walka Warszawy miała także zadać kłam propagandzie sowieckiej, że kraj wyzwalany jest tylko przez armię czerwoną, miała odbić się głośnym echem w świecie podczas gdy walki oddziałów A. K. na wschodzie przechodziły prawie niepostrzeżenie. Na końcu przytoczony jest motyw chęci opanowania Warszawy przez A. K. i władze cywilne reprezentujące niepodległą Polskę zanim zajmą ją oddziały sowieckie i jej agenci. Należy sądzić, że w hierarchii motywów zajmował on pierwsze miejsce. W ogóle w lipcu 1944 nie było politycznego problemu polsko-niemieckiego istniał tylko problem polsko-sowiecki. Szkoda, że książka nie stawia tego jasno, że decyzja powstania była akcją wojskową skierowaną przeciw Niemcom, ale politycznie stanowiła posunięcie w rozgrywce z Sowietami. Tylko na tej płaszczyźnie można rozpatrywać sens powstania i wyłuskać koncepcje polityczne stojące do wyboru. Jedną była zasada występowania wobec nadchodzących oddziałów sowieckich jako gospodarz współdziałający w walce z Niemcami. Drugą — konspiracja wobec Sowietów, które mają przemożny głos w sprawach Wschodniej Europy i unikanie przelewu krwi w walce z Niemcami. Trzeba zaznaczyć, że kombinacja tych dwóch koncepcji nie była możliwa i zejście w cień konspiracji po otwartej walce z Niemcami było w praktyce niewykonalne. Tylko te dwie możliwości były zatem do wyboru, poza nimi pozostawała tylko kapitulacja wobec Rosji.

Pierwsza koncepcja miała tę zaletę praktyczną, że pozwalała w otwartej walce wyładować pokłady nienawiści, na którą zasłużyli Niemcy. Druga alternatywa zakładała istnienie dużej dyscypliny społecznej i szanując siły nie dawała pola do wyżycia się w walce. Żadna ewentualność, przyjmując nawet ich bezbłędne praktyczne wykonanie, nie mogła dać świetnych wyników. Polityka jest jednak sztuką wyboru i w każdej sytuacji, nawet tak ciężkiej jak omawiana, istnieje lepsza i gorsza ewentualność.

Przemyślana do logicznego końca pierwsza alternatywa doprowadzić musiała, i w praktyce prowadziła, do aresztowania ujawnionych władz cywilnych i wojskowych. Nie widzieli tego tylko ci co, jak premier Mikołajczyk, wierzyli, że stosunki z Sowietami dadzą się ułożyć. Ci, którzy złudzeń co do Rosji nie mieli, a koncepcję tę wybrali, ulegali innym złudzeniom, a mianowicie, że alianci zachodni nie pozwolą na ujarzmienie Polski, a zatem, że okupacja sowiecka będzie czymś krótkotrwałym.

O tym jakie były w tym czasie poglądy czynników politycznych daje pojęcie następujący ustęp depechy Krajowej Rady Ministrów z 29 sierpnia 1944: "Zwracamy w związku z tym uwagę Rządu na fakt, że szala polityczna przechyla się wyraź-

nie na stronę aliantów-Anglosasów, na niekorzyść Sowietów. Proces ten będzie się szybko pogłębiać. Zwrot radykalny nadejdzie. Nie przesądzając terminu, w jakim to nastąpi, musimy stwierdzić, że nasze miejsce w tym czasie nie powinno być w obozie wschodnim, lecz w obozie zachodnim" (op. cit. p. 854). Jest zdumiewające, że w dziewięć miesięcy po Teheranie, a pół roku po wystąpieniach Churchilla mogły panować przekonania, że "szala polityczna przechyla się na stronę Anglosasów", kiedy w siedem lat później, gdy appeasement przestał oficjalnie obowiązywać trudno to stwierdzić. Ze tego rodzaju przekonania mogły mieć w ogóle kurs wśród poważnych ludzi można wytłumaczyć w części tym, że kraj był stale niedostatecznie informowany przez rząd w Londynie o sytuacji, która była przedstawiana w kolorach różowszych niż rzeczywistość. Gen. Bór-Komorowski pisze, że on i czynnik polityczne były wskutek tego zaskoczone w lutym 1944 żadaniami sowieckimi przekazanymi rządowi przez Churchilla. 28 sierpnia Rada Jedności Narodowej, wypowiadając się na temat projektów ułożenia stosunków z Rosją przekazanych przez rząd pisze, że powzięła: "decyzję tę w warunkach zupełnego braku informacji o podstawowych elementach polityki międzynarodowej, mimo stałych domagań się ze strony Rady i Delegata — wyczerpującego i bieżącego informowania nas". Warto przypomnieć, że kraj skazany był na wiadomości przesyłane z Londynu nie mając możliwości, w odróżnieniu od emigracji, wyrabiać sobie opinii na podstawie źródeł niezależnych np. prasy cudzoziemskiej. Cóż innego mu pozostawało? Wiadomości ze źródeł — niemieckich odrzucał, choć — jak się okazuje — były one dobrze poinformowane o decyzjach teherańskich. Nieliczne głosy krytyczne w stosunku do rządu były podejrzane, jako pochodzące od opozycji. Jedynie kontakty z niektórymi emisariuszami pozwalały na wyrobienie sobie bardziej obiektywnej oceny sytuacji. W rezultacie prawo do decyzji o zasadniczym znaczeniu delegował rząd czynnikom krajowym, które były niedostatecznie zorientowane w sytuacji. Chyba przypadkiem decyzje oparte o mylne przesłanki mogą być trafne.

Kraj odrzucił drugą koncepcję. Postawa konspiracyjna była konsekwencją nieufności do Sowietów i niewiary w szybką interwencję Zachodu w sprawie polskiej. Wykazywała zatem realizm w ocenie sytuacji międzynarodowej, i równocześnie kładła nacisk na konieczność oszczędzania krwi w walkach. Korespondencja gen. Sosnkowskiego pełna jest ostrzeżeń i trafnych przewidywań, ale Naczelny Wódz przyjął do wiadomości, a rząd później zatwierdził, decyzje podwładnych władz krajowych, które przesądzały o dalszym kierunku wydarzeń. Gdy Warszawa, najpierw faktycznie a potem i formalnie, zaczęła decydować o najważniejszych sprawach i gdy ważyły się losy — gen. Sosnkowski przebywał w II Korpusie we Włoszech. Równocześnie rząd, przed wyjazdem do Moskwy premiera Mikołajczyka, upoważnił Delegata Rządu do ogłoszenia powstania w momencie

przez niego obranym. Depesze gen. Sosnkowskiego wysyłane z Włoch do Londynu a stamtąd do Warszawy, gdzie niektóre dotarły już po 1 sierpnia, nie miały wpływu na tok wydarzeń. Naczelnym Wódz wzywał Londyn i Warszawę do wyciągnięcia wniosków z eksperymentu ujawniania się i współpracy z armią czerwoną w formie powrotu do dawnej instrukcji z października 1943, wskazywał na utworzenie Komitetu Wyzwolenia Narodowego i polecał konspirować się, a wszelką myśl o powstaniu zbrojnym nazywał "nieuzasadnionym odruchem pozbawionym sensu politycznego, mogącym spowodować tragiczne, niepotrzebne ofiary" (op. cit. p. 664). Ta, i inne, depesze świadczą o tym, że gen. Sosnkowski przeciwny był przelewowi krwi w ówczesnych warunkach choć uważał, że "Burza" powinna być kontynuowana. W świetle ogłoszonych dokumentów nie widać podstaw do przypuszczenia, które stara się sugerować książka, że depesze sprzeciwiały się jedynie powstaniu powszechnemu.

Plany polityczne oparte na zajęciu Warszawy i ujawnieniu się wobec Sowietów naczelnym władz krajowych nie zostały wypróbowane w życiu. Poniosły one klęskę w samym zarodku, w pierwszej fazie rozgrywki. Dlatego też sprawa powstania jest nie tylko, a dla wielu — nie tyle, zagadnieniem ścierających się koncepcji politycznych ale — bodaj w wyższym stopniu — sprawą praktycznego wykonania obranego planu.

A. K. przystępowała do gry bardzo trudnej. Za zadanie postawiła sobie zdobycie Warszawy własnymi słabymi siłami i utrzymanie jej do wkroczenia armii czerwonej. Rosjanie byli jednak przeciwnikami politycznymi i nie tylko współpracy, ale nawet łączności z nimi nie było. Moment powstania musiał być zatem zdecydowany samodzielnie. Powodzenie zależało od wyboru chwili takiej, w której Niemcy albo będą wycofywali się bez walki albo też będą związani w końcowej fazie zmagania, w której szybkie wkroczenie armii czerwonej do stolicy stanie się nieuniknione. Zresztą A. K. nie była przygotowana do długotrwałych walk, a za ich skróceniem do minimum przemawiała poza tym względy na ludność cywilną i obawy zniszczenia stolicy, co przecież przyświecało dawnym planom unikania walk w mieście. Innymi słowy zadanie jakie stało przed dowództwem A. K. sprowadzało się do rozpoczęcia walki w momencie najpóźniejszym na jaki pozwalał stan organizacyjny tj. czas potrzebny w warunkach konspiracyjnych dla dotarcia rozkazów do oddziałów. Wymagania postawione przez czynniki polityczne były — jak wiemy — bardzo skromne. Dwanaście godzin czasu wystarczyło do objęcia administracji cywilnej w mieście, co pozwalało odsuwać wybuch do ostatniej chwili. Operacja musiała być tym krótsza, że powstanie podejmowano w sytuacji, w której nie było można liczyć na pomoc aliantów zachodnich. Jednym słowem było ono akcją obliczoną na zaskoczenie obu przeciwników: militarne — Niemców i polityczne — Sowietów. Powodzenie zależało wyłącznie od wyboru odpowiedniego momentu przez dowództwo A. K.

Z drugiej strony niebezpieczeństwo nie udania się powstania przekraczało "normalne" ryzyko jakie podejmują dowódcy w toku działań wojennych. Dowództwo A. K. musiało liczyć się z możliwością odmiany fortuny wojennej na froncie i choćby chwilowych sukcesów niemieckich. Również volta ze strony armii czerwonej wycofującej się z akcji i skazującej Armię Krajową na nierówną walkę z przeważającymi siłami niemieckimi, nie należała w lipcu 1944 do rzeczy niemożliwych do przewidzenia. Wręcz przeciwnie, zarówno z doświadczeń dywizji wołyńskiej jak i z meldunków z innych terenów dowództwo A. K. dobrze znało możliwości sowieckie w tym względzie. Andrzej Pomian-Dowmuntt w pracy swej (Powstanie Warszawskie, Zarys problematyki, Londyn 1946) pisze na str. 41, że "w Komendzie Głównej A. K. nie brak było głosów, że z chwilą wybuchu walk w Warszawie Armia Czerwona rozmyślnie wstrzyma swe działania i pozwoli Niemcom utopić miasto we krwi". Wreszcie, o ile w razie udania się planu, tj. opanowania Warszawy przed wkroczeniem wojsk sowieckich dalszy szczęśliwy obrót wypadków politycznych był wątpliwy, o tyle w razie stłumienia powstania przez Niemców los stolicy i ludności nie mógł być inny. Co do tego ci co widzieli likwidację ghetta nie mogli mieć złudzeń.

Gra szła o stawkę ogromnie wysoką, dwaj gracze posiadali w ręku wszystkie atuty, szanse trzeciego polegały tylko na chytrności i zaskoczeniu. W tych warunkach wszystko opierało się na posiadaniu dobrych wiadomości o stanie frontu niemiecko-sowieckiego, na trzeźwej ocenie sytuacji i na dobrych nerwach dowództwa. Przez cały czas wojny wywiad A. K. działał ogromnie sprawnie obejmując swoim zasięgiem nie tylko front wschodni ale także obszary Rzeszy. Należało zatem przypuszczać, że dowództwo A. K. musiało być dobrze poinformowane o sytuacji frontowej pod Warszawą, która w drugiej połowie lipca nabrała zasadniczego znaczenia dla jego decyzji.

Pod wpływem szybkich postępów ofensywy sowieckiej dowództwo A.K., które 14 lipca liczyło się z szybkim cofaniem, nie widząc jednak wyraźnych objawów rozkładu armii niemieckiej, zarządziło 21 lipca stan czujności do powstania powszechnego. W depeszy z tegoż dnia dowódca A. K. przewidywał, że ruch sowiecki dojdzie bez większych skutecznych przeciwdziałań niemieckich do Wisły i przejdzie Wisłę w dalszym ruchu na zachód. Niewątpliwie zarządzenia do powstania powzięte zostały w dużym stopniu pod wpływem wiadomości o zamachu na Hitlera z dnia poprzedniego. Następnym parę dni wyraźnie krytycznych dla sytuacji Niemców na tym odcinku frontu było okresem, w którym czynniki polityczne i wojskowe powzięły zasadniczą decyzję walk w Warszawie. Od 23 do 25 lipca widać było nie tylko wycofujące się ze wschodu oddziały armii ale także ewakuację ludności i cywilnych władz niemieckich.

Sytuacja uległa wyraźnej zmianie od 26 lipca. Okazało się, że zamach na Hitlera nie wywołał najmniejszych objawów roz-

przeżenia, a w Warszawie część urzędów niemieckich powróciła i zaczęła urzędowanie. Następnego dnia władze niemieckie ogłosiły, że będą broniły miasta wzywając ludność do prac fortyfikacyjnych. Równocześnie po okresie odwrotu nastąpił od 26 lipca ruch oddziałów niemieckich w kierunku wschodnim. Nie mówiąc o powracających do miasta oddziałach policji i SS na wschód przechodzić zaczęły oddziały czołowej dywizji pancerniej SS Herman Goering, a pod Skierniewicami wyładowywała się dywizja pancerna SS "Wiking", nie licząc dywizji węgierskich.

W obawie, że niemieckie wezwanie do robót fortyfikacyjnych może doprowadzić do rozbitcia oddziałów lub aktów samoobrony Komendant okręgu warszawskiego pułk. Monter-Chruściel wydał rozkaz nakazujący ostre pogotowie oddziałów na 28 lipca. Skoro się okazało, że administracja niemiecka nie zastosowała represji za niestawiennictwo do robót fortyfikacyjnych pogotowie odwołano i 29 lipca rano żołnierze z lokali konspiracyjnych porzucali się do domów. Obalała to twierdzenie, spotykane niekiedy, że powstanie zostało wywołane przedwcześnie nie tylko dlatego aby ubiec akcję niemiecką w stosunku do ludności (coś jakby wspomnienie branki styczniowej). Co więcej potwierdza się, że dowództwo A. K. nie widziało 28 lipca warunków do powstania skoro zdecydowało się odwołać koncentrację, rzecz w warunkach konspiracyjnych nie tylko trudną, ale niebezpieczną. Ta zmiana rozkazów przyjęta została jako coś zrozumiałego wobec widocznego dla wszystkich wzmocnienia pozycji Niemców na odcinku warszawskim. Z tym większym zdziwieniem w dwa dni później przyjęty był rozkaz nakazujący zaatakowanie Niemców 1 sierpnia o godzinie 5 popołudniu. Niejeden uczestnik wydarzeń przypomni sobie, że pisząc o zdziwieniu nie dorabiam ex post nastrojów. W braku wiadomości lub wskazówek o niepowodzeniach Niemców oczekiwano w wielu oddziałach odwołania rozkazu, tak jak przed dwoma dniami odwołano koncentrację. Gdy odwołanie nie nadeszło przypuszczano, że dowództwo posiada informacje frontowe dostatecznie poważne aby walkę rozpoczynać.

Co skłoniło dowództwo A. K. do wydania rozkazu do rozpoczęcia walk 1 sierpnia było przedmiotem dociekań poczynając od nocnych rozmów w czasie powstania, gdy po kilku dniach zamiast oczekiwanego nadejścia armii czerwonej, zaczęła zarysowywać się klęska. Niepokój ten bynajmniej nie najsilniej występował w sferach politycznych i wśród członków Rady Jedności Narodowej zupełnie zaskoczonych nieoczekiwaną dla nich decyzją. Podzielali go często nawet młodzi żołnierze A. K., którzy niekiedy bardzo trzeźwo potrafili oceniać sytuację. Z największym wzruszeniem myślę o tych, którzy zginęli dokonując cudów odwagi choć wiarę w zwycięstwo dawno stracili.

Oto co o tej decyzji, która zadecydowała o klęsce powstania pisze książka (op. cit. p. 710): "W ciągu 29, 30 i 31 lipca styczność bojowa między przednimi strażami sowieckimi a obroną

niemiecką na przyczółku warszawskim ożywiła się. Pancerne jednostki sowieckie, które przekroczyły linię umocnień przyczółka w rejonie Otwocka poruszały się swobodnie w południowej części przyczółka. Patrole pancerne docierały pod Anin i Miłosnę. Dowódca niemieckiej 73 dywizji piechoty dostał się na terenie przyczółka ze sztabem do niewoli. Sowieckie lotnictwo myśliwskie i bombardujące pojawiało się nad Warszawą codziennie. 31 lipca 1944 r. po stwierdzeniu, że niemiecki przyczółek obronny został przez sowieckie jednostki pancerne przełamany a obrona jego została zdezorganizowana, po stwierdzeniu, że wojska sowieckie zajmują Radość, Miłosnę, Okuniew, Wołomin i Radzymin, dowódca A. K. wydał dowódcy okręgu Warszawa o godzinie 17,45 w domu przy ulicy Pańskiej Nr 67 w obecności Delegata Rządu i za jego zgodą, rozkaz zaatakowania Niemców nazajutrz, to jest 1 sierpnia o godzinie 17". Jak się okazuje rozkaz został wydany na podstawie meldunków o zbliżaniu się oddziałów sowieckich. O jakimkolwiek związaniu w boju większych sił czy też zachowaniu się oddziałów niemieckich świeżo przybyłych na odcinek warszawski nie ma w nich mowy.

W parę dni potem 2 armia niemiecka, na której zachowaną zdolność bojową zwracał uwagę — jak pisze książka — szef Oddziału Informacyjnego dowództwa A. K., stojąca na prawym brzegu Wisły na północ od Warszawy uderzyła z tego rejonu na przednie oddziały rosyjskie i zepchnęła je w kierunku Siedlec. Ten lokalny sukces, jakich pełna jest każda wojna ruchoma, wystarczył aby powstanie skazane zostało na nieuchronną klęskę. Bez niego, można było żywić nadzieję, że Rosjanie zajmą Warszawę nie orientując się, że "grają w ręce polskie". Wywołując powstanie w momencie "ożywienia styczności bojowej pomiędzy przednimi strażami sowieckimi a obroną niemiecką" dowództwo A. K. pozbawiło się w rozgrywce z Rosjanami jedynego atutu jakim dysponowało tj. zaskoczenia w momencie związania sił. Gdy go straciło, wynik nie mógł być inny.

Z chwilą gdy losy powstania zależały tylko od dobrej woli Sowietów, do klęski politycznej dołączyła się klęska militarna z ręki Niemców. Ze względu na ogromne straty jakie każdy dzień walk przynosił dużego znaczenia nabiera pytanie czy nie można było ich skrócić przez wcześniejszą kapitulację. Wprawdzie już 18 sierpnia zaproponowali Niemcy po raz pierwszy kapitulację i obiecali uszanowanie praw kombatantkich oddziałów powstańczych, ale zachowanie ich w stosunku do jeńców i do ludności cywilnej było przez cały sierpień takie, że kapitulacja nie mogła niczego uratować. W początkach września sytuacja pod tym względem zmieniła się o tyle, że za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża zorganizowano wychodzenie z miasta ludności cywilnej, i że Niemcy zaczęli zachowywać się mniej dziko. 7-go września wysunęli oni ponownie propozycję kapitulacji. W przekonaniu o beznadziejności dalszego oporu i pragnąc ratować to co można z żyć ludzkich Rada Jedności

Narodowej powzięła uchwałę o natychmiastowym podjęciu przez dowódcę A. K. rozmów kapitulacyjnych z dowództwem niemieckim. Gen. Bór-Komorowski, który sprzeciwiał się tej uchwale, zdołał przy pomocy Delegata Rządu uzyskać dodatkową uchwałę upoważniającą ich obu do wyboru terminu rozpoczęcia rozmów i zaprzestania walk. Stosując różne wybiegi wobec Niemców udało się dowództwu A. K. odwlec rozmowy parę dni, aby zerwać je 19 września na odgłos rozpoczęcia walk sowiecko-niemieckich na Pradze. Gdy po zajęciu Pragi przez armię czerwoną zapanowała ponowna cisza na froncie niemiecko-sowieckim i rachuby na pomoc rosyjską straciły rację bytu "nowego bodźca do wytrwania dała tym razem amerykańska wyprawa lotnicza nad Warszawę, która odbyła się 18 września". Potrzeba było jeszcze dziesięciu dni i groźby, że pozostałe ogniska walki padną w ciągu paru dni aby władze zdecydowały się na rozpoczęcie rozmów kapitulacyjnych.

Było od lat ustalonym aksjomatem, że powstanie wymaga znacznej pomocy lotniczej z Zachodu. Od samego początku meldunki podkreślały, że bez wsparcia lotnictwa bombardującego nie uda się zdobyć niektórych obiektów w stolicy (rzeczywiście żaden z nich nie został zajęty w czasie powstania). Kraj stawiał żądanie co do zrzutów broni i dużych operacji desantowych. W długiej korespondencji było wyjaśnione, że warunki techniczne dla takiej pomocy mogą nastąpić wtedy, gdy alianci przejdą Ren i odpowiednio przybliżą bazy lotnicze. Dowództwo A.K. wiedziało ponadto o trudności na jakie natrafiają operacje zrzutowe nad Polską i że Warszawa znajduje się z początkiem sierpnia poza zasięgiem ciężkiego lotnictwa bombardującego startującego do lotów nocnych z Anglii czy Włoch. Pisze o tym książka w następującej formie: "Pobierając decyzję dowództwo A. K. świadome więc było faktu, że pomoc lotnictwa z Zachodu jest niepewna, i może nastąpić jedynie przy wielkim wysiłku lotników. dokonanym pod presją położenia wojskowego w Warszawie". (Op. cit. p. 661). Na tydzień przed powstaniem dowódzca A. K. wysłał do Londynu następującą depezę: "Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę. Przybycie do tej walki brygady spadochronowej będzie miało olbrzymie znaczenie polityczne i taktyczne. Przygotujcie możliwość bombardowania na nasze żądanie lotnisk pod Warszawą. Moment rozpoczęcia walki zamelduję" (op. cit. p. 662). Żądania te wysunięte za pięć dwunasta przedłożone zostały ministrowi Edenowi 27 lipca, który z miejsca wyraził powątpiewanie czy ze względów technicznych będą one mogły być wykonane. Następnego dnia odpowiedź odmowna brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych z podaniem obszernych motywów została zakomunikowana na piśmie. Brak w książce jakichkolwiek wskazówek, aby ta odpowiedź wywołała jakąkolwiek próbę rewizji planów powstaniowych. Widocznie, albo takiej odpowiedzi oczekiwano albo też pomoc lotniczą uważano za mało ważną. Wydaje się, że znaczenie pomocy lotniczej było

przeceniane w czasie powstania i jest do tej pory. Wydaje mi się, że nawet największa na skalę gigantyczną i na początku sierpnia powzięta pomoc nie mogła przedłużyć walk wiele ponad dwa miesiące choćby ze względu na sytuację żywnościową. Natomiast Rosjanie mieli swobodę w regulowaniu swego tempa osiągnięcia brzegu praskiego i nawiązywania ewentualnego kontaktu z A. K. Twierdzić inaczej to znaczy przyjąć, że powstanie tylko dlatego się nie udało, że nie potrafiło utrzymać dostatecznie długo Powiśla i Czerniakowa. Oczywiście w czasie walk żołnierze i ludność cywilna przywiązywali olbrzymie znaczenie do zrzutów, które nie tylko podtrzymywały ducha, ale pozwalały przedłużać walkę. Trudniej już zrozumieć czego spodziewało się dowództwo A. K. po amerykańskiej operacji zrzutowej 18 września tj. gdy powstanie dogorywało, kiedy przestało nawet myśleć o kapitulacji na jej wiadomość. Po latach gen. Bór-Komorowski opisując tę akcję powiada: "Gdyby tych 1.800 zasobników było zrzuconych w pierwszych dniach powstania kiedy dwie trzecie miasta znajdowało się w naszych rękach, to na pewno wszystkie zostałyby przez nas podniesione i mogłyby zdecydować o wyniku bitwy. Z tak poważnym zapasem broni i amunicji w ręku powstańców cała Warszawa byłaby na pewno uwolniona od nieprzyjaciela". ("The Secret Army" p. 330). Jak prosto przedstawia się cała sprawa sprowadzona do bitwy polsko-niemieckiej o Warszawę z pominięciem roli odegranej w niej przez Rosję Sowiecką! Nawet w takim ujęciu nie będą fachowym wojskowym wolno mieć poważne wątpliwości czy 1.800 zasobników bez wsparcia bombardowców i spadochroniarzy mogło pozwolić nawet na czas krótki zdobyć i utrzymać Warszawę.

W sprawie pomocy lotniczej, tak jak w sprawie samej zasadniczej decyzji powstania, jego zasięgu, warunków i koniecznego wsparcia widzimy na podstawie dokumentów, ogłoszonych przez Komisję Historyczną Sztabu Głównego, że wszystko co nastąpiło, nastąpiło wbrew od dawna ustalonym planom i przy pełnej znajomości podejmowanego ryzyka. Analizując klęskę powstania nie trzeba bynajmniej uprawiać krytyki na podstawie znanego ex post przebiegu wypadków tylko wystarczy powołać się na mnóstwo ostrzeżeń wcześniejszych, zawartych w dokumentach i dawnych planach powstania. Dużo jeszcze potrzeba będzie dokumentów i książek aby móc wyrobić sobie ostateczną opinię. Wrażenia z lektury obu omawianych książek można streścić następująco: *Decyzję powstania podjęli w kraju i Londynie ludzie karmiący się złudzeniami, nie mającymi żadnego pokrycia w ówczesnej sytuacji międzynarodowej. Wykonano ją w momencie, który przesądził z góry o klęsce planu, któremu powstanie miało służyć.*

Tadeusz SOŁOWIJ

Ewolucja systemu agrarnego w Sowietach

Historia przemian agrarnych w Rosji stanowi jeden z najważniejszych i najbardziej aktualnych tematów, zarówno z punktu widzenia ekonomicznego, jak i politycznego. Właściwy ustrój agrarny na wschodzie Europy będzie jednym z głównych czynników, decydujących o dobrobycie i rozwoju kultury materialnej mas społecznych. Z tego punktu widzenia nasuwa się pytanie, czy przyszły, po-sowiecki ustrój agrarny ma być oparty na niczym nieskrępowanej indywidualnej gospodarce chłopskiej, czy też powinna być przyjęta jakaś forma racjonalnego kompromisu pomiędzy gospodarką indywidualną a gospodarką zespołową. Jest rzeczą charakterystyczną, że emigracja rosyjska, która poświęca dziś wiele uwagi problemom przyszłego ustroju agrarnego w Rosji, jest raczej skłonna do szukania kompromisu. Wydaje mi się, że tylko odłam Narodników chciałby — wbrew swemu tradycyjnemu stanowisku — oprzeć przyszły ustrój rolny na zasadach gospodarki indywidualnej bez kompromisu z kolektywizmem. Natomiast inne ugrupowania, nie wyłączając monarchistów, nie chcą ostro zrywać z obecnym stanem rzeczy i gotowe są szukać ewolucyjnych dróg indywidualizacji gospodarki chłopskiej.

Problematyka ta posiada bardzo wiele interesujących aspektów teoretycznych, związanych z racją bytu i żywotnością gospodarki chłopskiej w nowoczesnych warunkach gospodarczych w ogóle. Jest to problematyka stara. Racja bytu indywidualnej gospodarki chłopskiej jest właściwie kwestionowana od czasów rewolucji przemysłowej i reform agrarnych w Anglii w drugiej połowie XVIII wieku. Trzeba szczerze powiedzieć, że od tego czasu nie dano zdecydowanego rozwiązania pogodzenia współistnienia gospodarki chłopskiej z systemem kapitalistycznym. Formy spółdzielcze, czy też takich lub innych subsydiów państwowych, gwarantowanych cen, ulg kredytowych itp., nie są rozwiązaniami trwałymi. Z drugiej strony, jedyną kompletną, ale także tragiczną, koncepcją rozwiązania jest koncepcja bolszewicka.

Rosja jest tym polem doświadczalnym, na którym zostały wypróbowane różne warianty rozwiązania problemu organizacji

gospodarki chłopskiej. Przesowieckie doświadczenia rosyjskie stały się podstawą historyczną, na której został oparty sowiecki program ustroju agrarnego. Przesowieckie i sowieckie doświadczenia niewątpliwie będą podstawą historyczną, na której zostanie oparta doktryna przyszłej gospodarki chłopskiej, a mianowicie doktryna, która potrafi pogodzić zasadę indywidualizmu i swobodę przedsiębiorcy-chłopa z zasadą utrwalonej współpracy gospodarstw chłopskich. Jestem przekonany, że w tych właśnie ramach będą odnalezione rozwiązania takich np. zagadnień, jak pogodzenie nieocenionej inicjatywy chłopa w gospodarce z potrzebą maksymalnego wyzyskania nakładów, czemu z natury swojej nie sprzyja ściśle indywidualna gospodarka chłopska.

Zniesienie poddaństwa w 1861 r. wcale nie przyniosło całkowitej wolności chłopom, a ponadto stało się początkiem bardzo ostrych procesów pauperyzacji mas chłopskich. Emancypacja zniósła zależność chłopów od ziemian, ale pozostała zależność od gromady wiejskiej, tzw. Miru. Mir stał się odpowiedzialny za zobowiązania chłopów zarówno te, które wynikały z uwłaszczenia, jak i za świadczenia podatkowe. W praktyce emancypacja chłopów nie przyniosła ani swobody poruszania się chłopa (tak cenił jako czynnik rozwoju ekonomicznego na zachodzie Europy), ani też indywidualizacji gospodarki chłopskiej. Chłop musiał otrzymać pozwolenie Miru na opuszczenie gromady, nie otrzymywał zaś z reguły takiego pozwolenia, gdy nie wywiązał się ze swoich zobowiązań. Ponieważ w większości wypadków stale był obciążony spłatami za ziemię i płatnościami podatkowymi, swoboda zmiany miejsca zamieszkania i pracy była fikcją. Następnie, ziemia nie stanowiła indywidualnej własności chłopa, dopóki nie spłacił on należności, związanych z uwłaszczeniem. Dysponentem ziemi był Mir. Przydzielał on grunty chłopom na użytkowanie, a przydział odbywał się w ten sposób, że chłop otrzymywał parę działek w różnych częściach pól gromadzkich i to co roku inne działki. System ten był podobny do znanego w Anglii systemu "open field", który był pochodzenia saskiego. System Miru i jemu podobne miały na celu zapewnienie sprawiedliwości przydziałów, a mianowicie tego, by jedni chłopci nie otrzymywali lepszych gruntów od innych. Ponieważ chłopci nie mogli wybrnąć z obciążeń, które powstały w związku z akcją wywłaszczeniową, system gospodarki kolektywnej trwał dopóty, dopóki w 1906 r. nie zniesiono wspomnianych obciążeń i nie przystąpiono do tzw. reform stołypinowskich. Od uwłaszczenia do czasu reform stołypinowskich gospodarka chłopska była w stanie coraz większego upadku, a masy chłopskie w stanie coraz większej pauperyzacji. Pomijam sprawę zbyt małych gospodarstw i zbyt dużych obciążeń, które powstały w wyniku akcji uwłaszczenia. Zmiany terenów gospodarowania w ramach obszaru gruntów gromadzkich i brak tytułów własności nie zachęcały chłopów do wysiłku i nakładów, nawet w granicach tych możliwości, jakie faktycznie istniały.

Reformy stołypinowskie, rozpoczęte w 1906 r., zmierzały do likwidacji kolektywnej organizacji Miru i do stworzenia mocnej indywidualnej gospodarki chłopskiej. Stołypin był człowiekiem, który po raz pierwszy w sposób zdecydowany postawił problem stworzenia mocnej i żywotnej indywidualnej gospodarki chłopskiej. Reforma stołypinowska objęła około 12 milionów gospodarstw chłopskich i około 120 milionów hektarów ziemi. Program Stołypina był wielkim, fachowo pomyślanym i fachowo zrealizowanym programem. Warto wspomnieć, że dla jego realizacji powołano szereg fachowców z zagranicy, głównie duńskich, ze względu na renomę, jaką posiadali w świecie duńskie gospodarstwa chłopskie. Do 1916 r. wykonano 1/5 programu reformy Stołypina. W tym roku dalsza realizacja reform została zawieszona. Chodziło o to, aby nie dysponować ziemią w czasie nieobecności zmobilizowanych chłopów.

Rząd Tymczasowy, który powstał po Rewolucji Marcowej w 1917 r., był nastawiony negatywnie w stosunku do reform stołypinowskich. Narodnicy i Socjaliści Rewolucjoniści mieli określone sentymenty do gospodarki, reprezentowanej przez Mir. Nie wyciągali wniosków ze smutnych doświadczeń gospodarki kolektywnej w ramach systemu Miru. Nie wysunęli żadnego realnego programu naprawy systemu gospodarki kolektywnej. Ograniczyli się do awersji w stosunku do idei stołypinowskiej — mocnej indywidualnej gospodarki chłopskiej. Akty prawne, na których opierała się reforma stołypinowska, zostały zniesione, a Bank Włościański przestał funkcjonować. W wielu punktach Rosji uruchomiono ponownie system Miru, co nie odbyło się bez gwałtów, i nawet włączano do Miru grunty, które zagarnęli chłopci od ziemian.

Definitywne uregulowanie problemu agrarnego miało być dokonane przez Konstytuante.

Bolszewicy w okresie komunizmu wojennego nie mieli czasu na zajęcie się uregulowaniem spraw agrarnych. Ważniejszym aktem z tego okresu był akt z lutego 1918 r. o upaństwowieniu ziemi. Nie wprowadził on jednak praktycznych zmian w istniejącym stanie rzeczy. Chłopi gospodarowali jak dotychczas. Należy jednak zaznaczyć, że bolszewicy już od momentu przyścia do władzy mieli na widoku organizację kołchozów i sowchozów. Pewna ilość kołchozów i sowchozów została powołana do życia w okresie 1918-1921. Istnieją dane, że ówczesne kołchozy i sowchozy obejmowały 4 % ogólnego obszaru ziemi użytkowanej rolniczo.

Warto wspomnieć, że prototypy organizacji gospodarki kolektywnej występują już w bolszewickim kodeksie agrarnym z r. 1922, który przewidywał trzy typy gospodarstw kolektywnych: komunę, artiel i tzw. T. O. Z. (towarzystwo obrótki ziemi). W ramach komuny nie ma miejsca na własność prywatną, nawet o ile chodzi o domy mieszkalne. Do tego typu organizacji gospodarki kolektywnej zmierza obecnie system sowiecki. Stalin już bardzo dawno zapowiedział, że typ komuny a nie artie-

li, która dominowała dotychczas, jest celem, do którego zdąża sowiecka organizacja rolnictwa. Drugi typ, tzn. artiel, który był typem powszechnie obowiązującym aż do ostatnich czasów, opiera się na zasadzie gospodarki kolektywnej z pewnymi wyjątkami na rzecz własności prywatnej. Mianowicie, domy mieszkalne, małe działki ziemi przy domach (tzw. priusadiebnyj uczastok), niewielka ilość inwentarza żywego mogły być własnością prywatną. Upaństwowiona ziemia była oddana artielowi, czyli kołchozom na wieczne użytkowanie. Trzeci typ gospodarstw kolektywnych, a mianowicie T. O. Z., nigdy nie był rozpowszechniony. Był to typ przejściowy, opierający się na zasadzie łączenia wysiłków i inwentarza gospodarstw chłopskich dla wspólnej pracy w polu.

Okres NEP'u, zainaugurowany w marcu 1921 r., był jedynym okresem pomyślnym na tle wieków ponurej historii chłopstwa rosyjskiego. Pomijam niezrealizowane możliwości poprawy bytu chłopów w Rosji, podjęte przez reformy stołypinowskie.

W marcu 1921 r. zastąpiono system rekwizycji artykułów rolniczych systemem podatków w naturze. Nadwyżki produktów rolniczych chłop mógł swobodnie sprzedawać na wolnym rynku. Rząd przyszedł chłopom ze skromną pomocą w zaopatrywaniu w środki produkcji. Przywiązanie ziemi, należącej przedtem do obszarników, poważnie zwiększyło ogólny obszar gospodarki chłopskiej. Inicjatywa chłopów - przedsiębiorcy wyzyskała te sprzyjające warunki i niewątpliwie indywidualna gospodarka chłopska zdała w tym okresie swój egzamin. Produkcja zbożowa, która wynosiła przeciętnie 53 miliony ton w okresie 1922-1924 wzrosła przeciętnie do 74 milionów ton w latach 1925-1927. Nie ulega wątpliwości, że okres ten powinien stanowić temat wnikliwej analizy, gdy rozważane są argumenty za i przeciw indywidualnej gospodarce chłopskiej.

Na XV-tym Kongresie W. K. P. (b) w grudniu 1927 r. została zdecydowana sprawa kolektywizacji rolnictwa rosyjskiego. W ciągu dwóch pierwszych lat pierwszego Planu Pięcioletniego tzw. w latach 1928-1929, kolektywizacja była zrealizowana przy pomocy środków względnie łagodnych w porównaniu do środków, które zastosowano później. Metody kolektywizacji, zastosowane w Rosji w latach 1928-1929, są ściśle podobne do tych metod, które obecnie praktykowane są w Polsce i w innych krajach satelickich. Gdy metody "dobrowolnej kolektywizacji" nie wydały rezultatu, a zwłaszcza, gdy zawiodła współpraca średnio zamożnych chłopów, przystąpiono do krwawej kolektywizacji. W marcu 1930 r. gospodarka kolektywna obejmowała już 60 % gospodarstw chłopskich.

Był to jeden z najkrwawszych okresów w dziejach permanentnej rewolucji bolszewickiej. Z analizy statystyki rosyjskiej wynika, że liczba rodzin na wsi spadła w ciągu paru miesięcy z 26 do 21 milionów. Zmniejszyła się więc o 5 milionów, względnie o 24 miliony jednostek. Wiadomo, że w tymże czasie liczba ludności w miastach wzrosła o 12 milionów. Pozostałe 12 milio-

nów zniknęło bez śladu. W najlepszym razie część ich zasiliła obozy koncentracyjne. Niewątpliwie jednak większość została wymordowana.

Po przeprowadzeniu krwawej kolektywizacji Stalin w marcu 1930 r. ogłosił w "Prawdzie" swój słynny artykuł pt. "Zawrót głowy od powodzeń", w którym pochwałą zapała realizatorów kolektywizacji, a równocześnie strofował za zbyt surowość w traktowaniu chłopów. Następstwem tego artykułu było wydanie pozwolenia występowania chłopów z kolchozów. Koczując z tego pozwolenia, dwie trzecie liczby członków opuściło kolchozy. Były to jednak tylko pozory swobodnej decyzji chłopów w sprawie należenia do kolchozów. Występującym zostały przydzielone najgorsze grunty bez budynków oraz inwentarza martwego i żywego. Nie zwrócono im ich dawnych gruntów, ich dawnych budynków, ich dawnego inwentarza. W konsekwencji prawie wszyscy chłopci wrócili do kolchozów.

Kolektywizacja rolnictwa, podjęta w początku lat trzydziestych, pociągnęła za sobą, jak wiadomo, wielki spadek produkcji rolniczej. Zwłaszcza wielki był spadek pogłowia:

	1929	1933
	w milionach sztuk	
konie	34.0	16.6
bydło	68.1	38.6
owce	147.2	50.6
trzoda	20.9	12.2

Do końca okresu pierwszego Planu Pięcioletniego przekształcenie gospodarki indywidualnej w gospodarke kolektywną zostało już prawie dokonane. W ciągu drugiego okresu Planu Pięcioletniego (1933-1937) powszechność gospodarki kolektywnej została definitywnie utrwalona.

Istnieją dwa główne motywy kolektywizacji rolnictwa. Pierwszym jest motyw wychowawczy, drugim — motyw ekonomiczny.

Motyw wychowawczy polega na tym, że organizacja kolektywna ma wyeliminować elementy prywatno-gospodarcze, względnie elementy egoizmu kapitalistycznego z psychiki chłopca. Organizacja kolektywna jest namiastką fabrycznych form produkcji. Ma ona zatopić w anonimowości indywidualną rolę chłopca w procesach produkcji. Można by powiedzieć, że chodzi tu o depersonifikację procesów produkcji. Łatwo zauważyć, że system kolektywny zmierza do wykorzenia tego, co właśnie jest bardzo cenne z punktu widzenia dynamiki produkcji rolniczej, a mianowicie do zlikwidowania roli chłopca-przedsiębiorcy. Nie wystarczy fakt, że w gospodarce kolektywnej nie ma miejsca na tę rolę. Muszą zniknąć predyspozycje psychiczne chłopca w tym kierunku. Psychika jego musi ulec całkowitej transformacji, musi stać się psychiką proletariacką, względnie psychiką człowieka komunistycznego.

Motyw ekonomiczny polega na tym, że organizacja kolektywna może zapewnić większy rozwój produkcji rolniczej. Połączenie gospodarstw chłopskich w większe obszary kolchozów pozwala na zastosowanie racjonalnej techniki rolnej, na wprowadzenie lepszego płodozmianu i co najważniejsze — na specjalizację pracy pomiędzy kolchozami i wewnątrz kolchozów oraz na mechanizację rolnictwa. Zasadniczo takie postawienie problemu posiada wiele słuszności. Posiada jednak znacznie więcej błędów.

Problem rozwoju produkcji rolniczej jest zagadnieniem bardzo skomplikowanym, a w organizacji rolnictwa nie można ślepo naśladować wzorów i reguł organizacji przemysłowej. Niewątpliwie, zbyt małe gospodarstwa nie sprzyjają wyzyskaniu nakładu kapitału. Na przykład, wyzyskanie inwestycji w postaci zakupu traktoru wymaga dość znacznego obszaru gruntów, który miałyby być tym traktorem obsługiwany. Nie znaczy to jednak, by problem inwestycji maszynowych lub inwestycji w zakresie budynków gospodarskich, jak na przykład silosów, nie mógłby być rozwiązany na drodze organizacji trwałej współpracy indywidualnych gospodarstw chłopskich. Ponadto, istnieje górna granica optymalnego wyzyskania inwestycji w rolnictwie. Jeśli dla wyzyskania odpowiedniego zespołu maszyn, których istnienie ma gwarantować najwyższy poziom techniczny w produkcji danego warsztatu, jest potrzebny — powiedzmy — obszar 400 hektarów, to przekroczenie tego obszaru otwiera problem nowych inwestycji i nowych rozmiarów gospodarstwa, potrzebnych dla wyzyskania tych inwestycji.

Słowem, dążenie do zwiększenia obszaru warsztatów produkcyjnych w rolnictwie posiada swoją racjonalną granicę z punktu widzenia produktywności i rozwoju produkcji, nawet, jeśli ten problem jest rozpatrywany wyłącznie pod kątem widzenia wyzyskania nakładów inwestycyjnych. Ograniczenie tego dążenia wynika jeszcze z innych powodów. Jeśli nawet staniemy ściśle na gruncie gospodarki kolektywnej i zapomnimy o niezastąpionej roli, jaką odgrywa w produkcji przedsiębiorca-chłop, to i tak musimy wziąć pod uwagę, że zbyt duże warsztaty rolne uniemożliwiają organizację sprawnej administracji tymi warsztatami.

Jednym słowem, ekonomiczne uzasadnienie systemu rosyjskiej gospodarki kolektywnej w rolnictwie jest bardzo jednostronne. Po prostu przyjęto, że problem wydajności i rozwoju produkcji rozwiązuje się najlepiej w rozmiarach jak najbardziej gigantycznych. Tymczasem, całkowicie uznając potrzebę ściślejszej i trwałej współpracy gospodarstw chłopskich w zakresie użytkowania maszyn, zakupów i zbytu, trzeba powiedzieć, że gigantyzm jest takim samym wrogiem wydajności i rozwoju produkcji, a nawet może jeszcze większym, jak rozdrobnione i nie współpracujące ze sobą indywidualne gospodarstwa chłopskie.

Brak jest danych, które pozwalałyby na wszechstronne oświetlenie zagadnienia rozwoju sowieckiej produkcji rolniczej

w stosunku do nakładów w rolnictwie. W oparciu o takie zestawienie można dopiero ocenić wartość ekonomiczną eksperymentu sowieckiego. Na podstawie materiałów, które są dostępne, odnoszę wrażenie, że nakłady materialne, nie mówiąc już o olbrzymim i tragicznym koszcie społecznym, są niewspółmiernie wielkie w stosunku do wyników. Co więcej, istnieją zdania wśród analityków statystyki sowieckiej, że produkcja rolnicza w Rosji w dobie działania systemu kolektywnego stosunkowo nieznacznie przekroczyła poziom produkcji w okresie NEP'u. A trzeba pamiętać, że suma nakładów inwestycyjnych w okresie NEP'u była w gruncie rzeczy znikoma, a wysiłek produkcyjny mas chłopskich w tym okresie nie kosztował wielu milionów istnień ludzkich.

Od momentu krwawej kolektywizacji upłynęło 21 lat. Okres ten był wypełniony stałą walką chłopów z systemem gospodarki kolektywnej. Walka ta posiadała przeważnie charakter ukryty, lecz dochodziło również do jawnych starć. Powtarzające się co parę lat represje przeciwko chłopom, członkom kolchozów i administracji kolchozów świadczą o istnieniu stałych tendencji do paraliżowania systemu gospodarki kolektywnej i opozycji wobec tego systemu.

Na przykład w 1939 r. Komitet Centralny W.K.P. (b) oraz Rada Komisarzy Ludowych wydały nowe zarządzenia, mające na celu ochronę gruntów, będących w użytkowaniu kolchozów. Podjęto kroki przeciwko tym, którzy działali na szkodę gospodarki kolektywnej. Kroki te oznaczały liczne zesłania do obozów koncentracyjnych. Prasa sowiecka wymieniała wiele różnorodnych przestępstw. A więc rodziny członków kolchozów dzieliły pomiędzy siebie w sposób ukryty grunty, należące do kolchozów i prowadziły gospodarke indywidualną, zachowując pozory gospodarki kolektywnej. Inni opuścili kolchozy, udając się do miast do pracy fabrycznej, a opuszczając kolchozy, wydzierżawiali swoje domki i działki innym członkom kolchozów. Działki indywidualne (tzw. priusadiebnyj uczastok) były wyznaczane nie w pobliżu domów mieszkalnych, a wśród pól kolchoznych: ta metoda umożliwiała chłopom pracę na półkach indywidualnych, pozorowaną pracą na polu kolchozu. Poza wymienionymi przestępstwami istniały jeszcze inne. Jest rzeczą interesującą, że w maju 1939 r. stwierdzono, że kosztem gospodarki kolektywnej, powstała nie tylko wielka ilość gospodarstw indywidualnych, ale — co więcej — wielka ilość gospodarstw kuckich o znacznym obszarze gruntów.

W związku z walką z rozstrojem systemu gospodarki kolektywnej, w 1939 r. ustalono minimalną liczbę "trudo-dni", obowiązującą każdego członka kolchozu; postanowiono, że członek, który nie wypełnia tej normy, traci swe prawa w kolchozie, w szczególności prawo do domu i działki indywidualnej; wyeliminowano z kolchozów rodziny chłopskie, które nie posiadały dostatecznej ilości zdolnych do pracy członków; powołano do życia specjalny departament, który zajął się przesiedleniem

"nadmiaru" ludności kolchozów do okręgów Wołgi, Omska, Czełabińska, Kazakstanu, na Daleki Wschód itp.

Bardzo interesujący materiał w sprawie wykroczeń przeciwko systemowi kolchozów publikowała prasa sowiecka przy okazji czystki z końca 1946 r.

Wymieniano przede wszystkim niezmiernie liczne wypadki próżniactwa, ukrywanego za parawanem czynności administracyjnych, względnie też fakt, że czynności administracyjne pochłaniały zbyt wielki odsetek ogólnej ilości obliczeniowych dni pracy, tzw. "trudo-dni". Jeśli ogólny nakład pracy w danym kolchozie w ciągu roku wyrażony w "trudo-dniach" przyjmujemy za 100, to udział czynności administracyjnych w tym nakładzie wyraża się cyfrą od 20-44 %.

Następnie, istniały olbrzymie niedokładności w obliczaniu "trudo-dni", wynagrodzenia w naturze i w gotówce. Należności i wynagrodzenia jednych były nieproporcjonalnie wysokie do wykonanej pracy, innych — nieproporcjonalnie małe.

Istniała marnotrawna gospodarka środkami żywności. Po prostu środki żywności były wydawane osobom do tego nieuprawnionym na podstawie nieuzasadnionego upoważnienia prezesa kolchozu.

Kolchozy utrzymywały personel, którego utrzymywanie nie było dozwolone.

Istniały olbrzymie nadużycia w dziedzinie wydatków na remonty.

Największe jednak wykroczenia dotyczyły powiększania gospodarci indywidualnej kosztem ziemi, należącej do kolchozów, względnie też powstawania gospodarstw indywidualnych na ziemi należącej do kolchozów. W wyniku czystki, podjętej w 1946 r., a kontynuowanej w roku następnym, wróciło do kolchozów około 6 milionów hektarów ziemi, zagarniętej poprzednio na cele gospodarki indywidualnej.

Wreszcie, warto wspomnieć, pomijając inne nadużycia, o przywłaszczeniu inwentarza martwego i żywego, należącego do kolchozów.

Rada dla Spraw Gospodarki Kolektywnej w Rolnictwie, powołana w październiku 1946 r., pod przewodnictwem A. Andrejewa (który później popadł w niełaskę), miała za zadanie uporządkowanie stosunków w kolchozach.

Ostatnim etapem ewolucji rosyjskiego systemu agrarnego jest akcja koncentracji kolchozów, podjęta na wiosnę 1950 r. Do połowy b. roku, liczba kolchozów została zredukowana z 252 tys. do 123 tys. Ta redukcja była specjalnie duża w niektórych okręgach. Na Ukrainie zmniejszono liczbę kolchozów z 20.320 do 7.812; w rejonie Moskwy — z 6.069 do 1.668, a w rejonie Woreneża — z 3.188 do 119!

Koncentracji produkcji towarzyszy dalsze zwiększenie mechanizacji. W ciągu ostatnich dwóch lat rolnictwo rosyjskie otrzymało 330 tys. nowych traktorów, 75 tys. combine'ów, 330 tys. wozów ciężarowych i tp.

Z drugiej strony, koncentracji i mechanizacji produkcji towarzyszą nowe transfery ludności do pracy w przemyśle i innych zawodach. Koncentracja i mechanizacja produkcji wytworzyła bowiem nowe nadwyżki "zbędnych", którzy nie mogą być produktywnie wykorzystani w rolnictwie.

W stosunku do ludności rolniczej, która pozostaje w kołchozach, mają być zastosowane o wiele bardziej skuteczne metody reedukacji. Znana jest idea "agro-grodów". Polega ona na koncentracji ludności rolniczej w większych skupiskach, składających się z wielkich bloków mieszkalnych. Obiecuje się chłopom, że tego rodzaju organizacja osiedli rolniczych pozwoli na zapewnienie im odpowiednich urządzeń, jak wodociągi, kanalizacje, kinematografy itp. Urządzeń takich nie posiadają, ze stosunkowo nielicznymi wyjątkami, ośrodki fabryczne, więc nie można się ludzi, że cel poprawy warunków mieszkaniowych chłopów rzeczywiście wchodzi tu w rachubę. Na podstawie prasy sowieckiej można wnioskować, że cel ten nie tylko nie jest realizowany, lecz, że nawet zapół administracji kołchozów, która niekiedy potraktowała go zbyt serio, wysuwając różne projekty rozbudowy urządzeń użyteczności publicznej, jest surowo poskramiany.

Niewątpliwie, nie chodzi tu o sprawę materialnego bytu chłopów. Koncentracja w koszarach, z których chłop będzie musiał maszerować do pracy niekiedy kilkanaście kilometrów, ma na celu zwiększenie kontroli, wykorzenienie resztek indywidualizmu z warunków bytu, wzmocnienie technicznych możliwości oddziaływania propagandowego. Przejście chłopów z chaty do koszar jest jeszcze tą dodatkową możliwością likwidacji jego indywidualnego odosobnienia, i dodatkową możliwością sowieckiej proletaryzacji psychicznej. Równocześnie propaganda sowiecka zyskuje jeszcze większe możliwości stałego oddziaływania.

W tej nowej reorganizacji gospodarki kolektywnej następuje dalsze zaakcentowanie dwóch wspomnianych powyżej motywów: motywu wychowawczego oraz specyficznie pojętego motywu ekonomicznego. Wydaje się, w związku z tym, co już powiedziałem, że nawet z punktu widzenia ściśle ekonomicznego ten nowy eksperyment sowiecki musi wywoływać bardzo poważne zastrzeżenia. Problem wydajności i rozwoju produkcji jest nadal traktowany po prostu jako funkcja wzmagającej się koncentracji obszarów warsztatów wytwórczych oraz wstrastających nakładów, bez brania pod uwagę zagadnienia optymalnego obszaru i optymalnego wyzyskania nakładów inwestycyjnych, nie mówiąc już o innych aspektach wzrostu wydajności i produkcji w rolnictwie.

St. GRYZIEWICZ

Książka na Kongresie Wiedeńskim

Gdy po pokoju paryskim zdecydowano załatwienie spraw politycznych przedłożyć bardziej wszechstronnemu kongresowi w Wiedniu, nikt nie przypuszczał jeszcze jakiego się podjęto zadania. Likwidacja spraw imperium ponapoleońskiego nie była rzeczą łatwą. Dopiero w toku obrad okazało się jaka mnogość tych spraw była i różnorodność. Jeden ze świadków ówczesnych notuje, że "kongres jako taki wystąpił w całości jedynie przez swój akt końcowy" ¹⁾. Istotnie, formalnie nie było ani otwarcia kongresu, ani też posiedzeń w całym tego słowa znaczeniu. Obserwując dzisiaj widowisko, znane pod nazwą Organizacji Narodów Zjednoczonych, dojść musimy do przekonania, że ówczesni uczestnicy kongresu mieli nie tylko poczucie ważności obrad, ale i świadomość ciążących na nich zadań. Mieli także, pojmując swą rolę poważnie, chęć załatwienia tych spraw. Prócz zainteresowanych suwerenów, królów, książąt i królików; deputacji i petentów — do Wiednia przybyli ludzie, którzy sądzili, że coś zyskają, lub obawiali się coś stracić. Ci prywatni petenci, których dzisiaj nie przyjąłby nawet woźny ONZ, zyskiwali nie tylko posłuch u możnych ówczesnego świata, ale również załatwiali swe sprawy. O jednej z takich spraw, małoznanej i zapomnianej — pragniemy opowiedzieć.

Wśród księgarzy niemieckich od dawna już istniały plany prawnego uregulowania spraw przedruku i wolności słowa. By zrozumieć tę sytuację trzeba sobie uświadomić, że do spraw autorskich odnoszono się wówczas z największą pogardą i lekceważeniem. Każdy posiadacz drukarni mógł i przedrukowywał książki, i sprzedawał je na własny rachunek. Na terenie państw niemieckich sprawy przedruku regulował pewien kodeks, raczej honorowy, cechu księgarzy. Za granicą jednak ta dobrowolna umowa nie obowiązywała. Z drugiej strony wolność słowa zależała od usposobienia władcy. Tak np. książę sasko-we-

1) Gentz Friedrich, von: Tagebücher. F. A. Brockhaus, Leipzig. I Band — XV + 446 str. — 1873; II Band — 491 str. — 1873; III Band — 384 str. — 1874; IV Band — 458 str. — 1874.

marski zabronił w r. 1726 wydawania dzienników, gdyż "nie odczuwał potrzeby urabiania opinii" 2).

W takiej sytuacji kongres wiedeński wydał się księgarzom korzystną sposobnością do próby uregulowania tych spraw. Tym bardziej, że wobec projektu ułożenia konstytucji dla związku państw niemieckich mogła to być jedyna okazja przemycenia paragrafu ustanawiającego wolność słowa i zabraniającego przedruku. Gdy więc we wrześniu 1814 rozpoczął się napływ delegacji i prywatnych interesantów, nie zabrakło i przedstawicieli księgarzy w osobach interesantów, nie zabrakło i przedstawicieli księgarzy w osobach J. F. Cotta'y i C. J. Bertucha. Ten ostatni zasługuje na uwagę jeszcze z innego względu.

Syn szanowanego wydawcy weimarskiego, Fr. Justyna Bertucha, studiuje w Jenie historię sztuki, geografę i nauki przyrodnicze. Bierze czynny udział w pracach Instytutu Geograficznego, prowadzonego przez ojca. Po powrocie z Paryża, gdzie uzupełnia studia, zakłada i redaguje — nowość na owe czasy — żurnal mody męskiej "Paris und London". W r. 1808-10 wydaje "Bemerkungen auf einer Reise aus Thüringen nach Wien", rodzaj dziennika podróży uzupełnionego rysunkami autora. Gdy po bitwie pod Jeną Francuzi zajmują Weimar, grabiąc i niszcząc, Bertuch szablą odiera ataki żołądka, broniąc drukarni i składów przed rabunkiem. Po bitwie lipskiej Bertuch zwiedza pobożowisko, opisując swe wrażenia w "Wanderung nach dem Schlachtfeld von Leipzig im Oktober 1813" — wydane w Weimarze w tymże roku. Samotnemu wędrowcy po dolinie Józefata wrywa się taka uwaga: "Pocieszająca jednak jest myśl, że te tysiące poległych aliantów tym razem oddało swe życia nie dla podboju, ale dla uwolnienia Niemiec"... Obydwa te drobiazgi prawie nie dochowały się do naszych czasów. Inne wydawnictwa oficyny Bertuchów, popularne książki dla dzieci i albumy, znaleźć można dzisiaj nawet w bibliotekach szwajcarskich. Z wyprawy wiedeńskiej Bertucha zachował się również jego pamiętnik oraz korespondencja z ojcem 3), na podstawie których odtworzyć dzisiaj można historię zabiegów księgarzy o wniesienie ustawy gwarantującej wolność słowa i zakazującej przedruku.



Kongres w Wiedniu nie miał zasadniczo ściśle określonych zadań i kompetencji. To — co byśmy dzisiaj nazwali "porządkiem obrad" — właściwie nie istniało. Indeks spraw politycznych był dość obszerny i dopiero podczas pierwszych starć pro-

2) Feldmann M., Dr. Ueber die Entwicklung der Pressefreiheit. Zeitschrift des Bernischen Juristenvereins, Band 73, Heft 1, 1937. Bern 1937. Str. 40.

3) Carl Bertuchs Tagebuch vom Wiener Kongress, herausgegeben von Hermann Freifferrn von Egloffstein. Verlag von Gebr. Paetel, Berlin, 1916, VIII + 287 str. Anhang — Aus Carl Bertuchs Briefen von Wien an seinen Vater.

ceduralnych uprzytomniono sobie mnogość problemów. Dla ułatwienia pracy stworzono z grubsza dziesięć specjalnych komisji. Większość spraw dyskutowano w szeregu spotkań o różnym składzie. Stąd słuszność cytowanej uwagi Gentza, że dopiero aktem końcowym kongres dał dowód swej pracy. W takich warunkach prywatna delegacja księgarzy niemieckich musiała się liczyć również z możliwością wyproszenia za drzwi bez wysłuchania swych postulatów. Fakt, że z nimi rozmawiano, zapisać trzeba na dobro ówczesnych polityków, którzy nie tylko okazali zrozumienie dla tej sprawy, ale i zgodzili się udzielić jej poparcia. W dobie urzędniczych instytucyj kulturalnych i urzędowych kongresów kultury — szczególnie ten zasługuje na podniesienie.

Carl Bertuch otrzymał pełnomocnictwo księgarzy w zastępstwie chorego ojca. Podjęcie takiego zadania wymaga przygotowań, trzeba wiedzieć jak się zabrać do rzeczy, do kogo się najpierw zwrócić. Wspomnienia Bertucha nie dają nam, niestety, wglądu w te sprawy. Wiemy jedynie, że udał się nasamprzód do Goethego, który powagą swego nazwiska pobłogosławił akcję księgarzy i dał list polecający do pruskiego ministra W. Humboldta. Z końcem września 1814 Bertuch opuszcza Weimar konferując po drodze z wydawcami niemieckimi i austriackimi. Do Wiednia obaj pełnomocnicy przybywają z początkiem października i stosownie do wskazówek Goethego meldują się u Humboldta. Humboldt list przeczytał, ale zaznaczył, że osobiście nie wierzy, by udało się włączyć tę sprawę do porządku obrad. Obiecuje ze swej strony pomoc i odsyła Bertucha do swego podwładnego, von Steina. Rozmowa ze Steinem jest krótka. Bertuch notuje w pamiętniku (3. 10. 1814):

- ... „Rano o 8-mej do min. Steina. Zameldowałem się i zostałem przyjęty. Przygotowany na jego szorstki i energiczny ton odpowiadam stosownie krótko i zuchwałe. Memoriał odsunął na bok nie czytając.
- Aha — powiada — budujecie domy i kupujecie majątki i jeszcze wam mało. Dbajcie o to, by druki były dobre i tanie.
 - A tak — mówię — ceny się zmniejszą, gdy się nas zabezpieczy przed przedrukami.
 - Przecież w Niemczech nie ma dużo przedruków...
 - Aha! Prócz Wirtembergii, Badenii i Nassau.
 - No to krzyczcie — mówi Stein.
 - Właśnie to robimy — odpowiadam”.

Później w liście do ojca (z dnia 4. 10. 1814) Bertuch pisze:

... „Stein więc uznaje naszą sprawę i słyszy nas, gdy wielu książąt i hrabiów w ogóle nie przyjmuje...”

W tymże liście wspomina również wizytę u Humboldta:

... „H. przyjął mnie bardzo grzecznie, ale zauważył, że tutaj naszą sprawę można jedynie zapoczątkować, dojrzeje ona gdzie indziej (może miał na myśli Frankfurt?). Gentz jest bardzo uprzejmy, ale nie może przedsięwziąć żadnych kroków zanim nie ruszą sprawy ogólne. Nie zapominać, że chodzi tutaj o los Europy; i że mężowie stanu uczynią wszystko, skoro przyrzekli nam swoje poparcie. I tak

wygraliśmy już dużo, że nas, ludzi prywatnych, potraktowano jako deputację i to w k a ż d y m w y p a d k u. Poznaje się dopiero teren...”

Nie można Bertuchowi odmówić zdolności ujmowania sedna rzeczy. Jego pierwszy sąd wykazuje nawet pewną dozę trzeźwości i poczucie właściwych proporcji. Istotnie, kongres miał więcej i dużo poważnych zagadnień do rozwiązania, niż petycję księgarzy. Z drugiej strony można nawet dojść do przekonania, że ówczesni politycy cieszyli się pewnym zaufaniem, skoro Bertuch pisze, że “uczynią oni wszystko” jeśli “przrzekli swe poparcie”.

Pamiętajmy jednak, że mimo tej pozornej trzeźwości, Bertuch był w gruncie rzeczy dość naiwnym idealistą, wyobrażającym sobie, że meżowie stanu zawsze dotrzymują słowa; i że “sprawa”, którą reprezentuje jest równie ważna dla wszystkich. Obietnice Humboldta i Steina nie dawały jeszcze powodów do takich przypuszczeń. Kilka dni później (8 października) Cotta i Bertuch składają wizytę Metternichowi. Metternich odbiera pełnomocnictwo, czyta uważnie (nawiasem mówiąc to uważne czytanie i rzadkie jak na polityka przyzwyczajenie do zastanawiania się nad przeczytanym o mało nie pozbawiły ich owoców całej misji) i oświadcza, że sprawa księgarzy jest “także jego sprawą”. Ma on wprawdzie inne zdanie o panujących w tej dziedzinie stosunkach na terenie Austrii, ale — nim powźmie ostateczne kroki — musi “zbadać rzecz u źródła”. Zdaniem jego, czas jest właśnie najstosowniejszy na wszczęcie akcji, i można liczyć na jego poparcie. Bertuch, przedstawivszy ogólnie życzenia księgarzy, wręczył Metternichowi dyplom akademii w Erfurcie, mówiąc: “Całe Niemcy pokładają nadzieję w Austrii”. “Zaufanie to — odpowiada skromnie Metternich — nie powinno być zawiedzione”.

Przyjazd delegacji księgarzy i ich “poznawanie terenu” nie mogło ująć pilnej uwagi tajnej policji austriackiej. Zanim jeszcze Bertuch zdołał zorientować się w stosunkach wiedeńskich, agenci policji poczynili już konieczne obserwacje. Rozmowa z Humboldtem miała miejsce 1 października, ze Steinem 3-go, a Metternichem 8-go. W tym dniu prezydent policji, Hager, donosi cesarzowi w dziennym raporcie⁴⁾:

... “Zaufany H⁵⁾” donosi: otrzymałem wiarygodne informacje, że księgarz Cotta ze Stuttgartu, pełnomocnik księgarzy niemieckich, będzie próbował przedłożyć kongresowi wniosek dot. ogólnej wolności słowa. Wniosek ten łączy się z innym o zakazaniu przedruku i jest jego fundamentem. Jeśli to ostatnie będzie w naszym kraju dozwolone, a pierwsze zabronione — tutejszy handel książką zmarnieje, gdyż prócz mało znaczących drobiazgów nie będzie można niczego druko-

4) Raport dzienny prezydenta policji obejmował ekstrakt z raportów policyjnych i dotyczył codziennych wydarzeń w Wiedniu oraz działalności osób mających jakikolwiek związek z kongresem. Sprawy kongresowe referowane było osobno.

5) “H” — pisarz austriacki i agent tajnej policji od spraw “kulturalnych” Hebenstreit.

wać. Tym bardziej, że Cotta dobrze honoruje i nastawi odpowiednio tutejszych pisarzy, by pracowali tylko dla niego. Zdaniu niektórych, że jego obecność tutaj ma na celu zapobieżenie bankructwu, mogę z całą pewnością zaprzeczyć, gdyż Cotta sam dał mi możność wejżenia w sprawę jego Instytutu Literackiego, który zamierza nawet rozwinąć...”⁶⁾

Jak widać, pisarz dba o interesy zawodowe nawet wtedy, gdy jest agentem tajnej policji. Bliższych szczegółów o misji Cotta’y i Bertucha dowiadujemy się jeszcze z raportu z dnia 15 października, również pióra H⁷⁾:

... “Księgarz Cotta ze Stuttgartu i radca Bertuch z Weimaru, jako pełnomocnicy księgarzy niemieckich byli przyjęci przez ks. Metternicha i uzyskali zapewnienie, iż nadszedł najkorzystniejszy moment dla poparcia i przeprowadzenia petycji w sprawie zakazu przedruku i zaprowadzenia ogólnej wolności słowa. Nie występują oni w interesach księgarstwa, lecz literatury i pisarzy. Przy małych nakładach książek, również małe są honoraria wypłacane autorom. Dowolny przedruk zaś, uniemożliwia zbyt nakładu oryginalnego in quanto i albo podnosi koszty druku, albo obniża zarobek pisarzy. Zakazanie więc przedruku usunie z drogi przeszkody do ożywienia literatury. Ogólna wolność słowa jest konieczna, umożliwiała bowiem puszczanie w obieg idei i pobudza konkurencję. Bez tego można będzie drukować tylko śpiewniki i książki do nabożeństwa. Argumenty powyższe znajdują już wszędzie posłuch. Poselstwa dworów niemieckich zainteresowały się tą sprawą i liczy się również na poparcie i współpracę Austrii...”

Dotąd Bertuch prócz szukania pomocy ogranicza się do “poznawania terenu” i kontaktów osobistych. Składa więc wizytę księżnie weimarskiej Marii (12 października), gdzie poznaje również ks. Ferdynanda, brata cesarzowej. Ferdynand i feldmarsz. ks. Wrede, przedstawiciel Bawarii, namawiają Bertucha do złożenia osobnego memoriału na piśmie. Następane dni pochłaniają rozmowy z Pilatem, Gentzem i Hardenbergiem. 25 października Wessenberg proponuje konsultację z delegatami pruskimi i obiecuje informować Bertucha o rozwoju starań. Teraz obaj delegaci przystępują do zredagowania memoriału i po paru dniach, 1 listopada, składają go na ręce ks. Wrede, który zadowolony z treści... przyrzeka wnieść sprawę przedruku na obrady kongresu. Dokument ten⁷⁾ zasługuje na uwagę. Poprzedza go inwokacja do zebranych meżów stanu, w której księgarze stwierdzają, że wprawdzie jest więcej “niezwykle ważnych spraw”, ale przedmiot ich prośby dotyczy w równym stopniu tak przyszości kultury, jak i jednej z gałęzi handlu, tj. księgarstwa. Podpisani ważą się w imieniu uczonej i wydawców

6) Die Geheimpolizei auf dem Wiener Kongress. — Eine Auswahl aus ihren Papieren, von August Fournier. F. Tempsky — Wien, G. Freytag — Leipzig 1913. XV + 510 str.

7) Denkschrift über den Büchernachdruck; zugleich Bittschrift um Bewürkung eines deutschen Reichsgesetzes gegen denselben. Den Erlauchten, bei dem Congress zu Wien versammelten Gesandten deutscher Staaten ehrerbietigst überreicht in Namen deutscher Buchhändler. — ACTEN des Wiener Congresses in den Jahren 1814 und 1815, herausgegeben von D. Johann Ludwig Klüber. Bei J. J. Palm und E. Enke — Erlangen 1815. Vierter Band, 13-16 Heft, str. 549.

prosić o położenie kresu nieprawościom wynikającym z braku przepisów zakazujących przedrukowywania. Dalej następują podpisy sześciu delegowanych księgarzy⁸⁾.

Właściwy memoriał zaczyna druga inwokacja, będąca głębokim pokłonem przed politykami zebranymi w Wiedniu...

„...w chwili, kiedy prawo i humanitaryzm święcą swe najpiękniejsze zwycięstwo; kiedy najszlachetniejsi spośród narodu zebrali się, aby leczyć rany zadane ojczyźnie i sprawiedliwą wagą odmierzać każdemu narodowi i każdemu stanowi — co im należy; w tym uroczystym momencie przed światłym areopagiem z ufnością stają pisarze i księgarze niemieccy, by prosić o uregulowanie spraw przedruku, pozbawiającego uczonych i pisarzy owoców ich pilności...”

W dalszym ciągu autorzy memoriału przeciwstawiają się rozpowszechnionym szeroko poglądom na prawo przedruku. Zwolennicy przedruku podnoszą, że wyłączenie handlu książką, do której dążą księgarze, będzie szkodliwym monopolem. Autorzy memoriału dowodzą, że zachodzi tu konfuzja pojęć prawa nakładowego i prawa handlu książką. Każdemu wolno sprzedawać książki, nie każdy jednak może książki wydawać. Prawo wydawania posiada tylko i wyłącznie autor, który może z niego skorzystać, względnie przelać na kogo innego.

Dalej zwolennicy przedruku argumentują, że każdy nabywca książki staje się jej właścicielem, przeto ma prawo z nią robić, co tylko mu się spodoba. Owszem — odpowiadają księgarze — nabywca staje się właścicielem *książki*, ale nie *prawa nakładu* pozwalającego drukować. Podobnie jak z pieniędzmi, każdy może robić ze swymi, co mu się podoba, nie może ich tylko emitować.

Również i ostatni argument, że zakaz przedruku spowoduje podwyżkę cen książek jest niesłuszny. Przeciwnie — odpowiadają księgarze — dotychczas nie drukuje się wysokich nakładów, gdyż wydawcy nie wiedzą ile książek będą mogli sprzedać. Przedrukujący takich zmartwień nie mają ponieważ drukują te tylko książki, które cieszą się właśnie powodzeniem na rynku. Nie biorąc udziału w ryzyku wydawania, ponoszą oni jedynie koszty druku i papieru. Zakaz przedruku umożliwi wyższe nakłady i pozwoli obniżyć ceny książek. Pozwoli również wydawać staranniej, oraz dzieła uzupełniane i poprawiane.

Memoriał ten spowodował żywą polemikę. Sam Cotta zresztą, wydawca stuttgarckiego „Allgemeine Zeitung” i korespondent z kongresu, umiejętnie dolewał oliwy do ognia, zmuszając agentów policji do dodatkowego zajęcia tj. czytania dzienników, i pisania obszernych raportów. Pisarze niemieccy ogłosili broszurę⁹⁾ potępiającą proceder przedruku pozbawiający ich za-

8) Dr Friedrich Justin Bertuch — Weimar, Dr Johann Georg Cotta — Stuttgart, Johann Friedrich Hartknoch — Lipsk, Paul Gotthelf Kummer — Lipsk, Carl Friedrich Enoch Richter — Lipsk, Friedrich Christian Wilh. Vogel — Lipsk.

9) Die deutschen Schriftsteller. Was sie thaten, was für Unrecht leiden, und was ihnen für Lohn gebührt. — Von A. G. Eberhard, Halle 1814, str. 64.

robków i skazujący na szukanie innych zajęć. W Wiedniu — wówczas głównej siedzibie “dzikich” księgarzy — ukazała się anonimowa broszura, w której podano in extenso treść memoriału księgarzy, wraz z 39-cioma glossami, broniącymi rzemiosła piratów wydawniczych. Anonimowy autor dorzucił jeszcze krótki komentarz, zarzucający deputowanym, że podszyci się pod miano delegacji księgarzy niemieckich, reprezentując w rzeczywistości wyłącznie interesy grupy wydawców lipskich. Wreszcie — niewątpliwie z inspiracji “dzikich” księgarzy — autor wskazał na bilans handlu księgarskiego, niekorzystny dla firm wiedeńskich. Ten ostatni argument nie wytrzymuje krytyki. Skoro Wiedeń był główną siedzibą “dzikich”, którzy przecież drukowali tylko ówczesne “best-sellery”, a cenzura ograniczała wwód druków zagranicznych — dochody ich musiały być znaczne¹⁰⁾.

Trzeba dodać, że jak wynika z licznych głosów za i przeciw przedrukowi, również członkowie komisji dla spraw niemieckich nie bardzo orientowali się w zagadnieniu. Toteż Bertuch i Cotta w ślad za pierwszym memoriałem przedkładają “Propozycję”¹¹⁾, w której wskazują, że zabezpieczenie wolności prasy leży w interesie rządów, o ile pragną one mieć pełny obraz sytuacji w państwie. Wolna prasa pozwoli kształtować opinię publiczną i przyczyni się do ogólnego rozwoju myśli.

Ta “Propozycja”, jak i krótki memoriał opatrzony pełnomocnictwem i podpisami osiemdziesięciu jeden wydawców niemieckich i szwajcarskich¹²⁾ zamykają pierwszą część starań Bertucha i Cotta’y.

Od złożenia petycji do jej przeczytania przez adresatów — droga jest długa. Dotąd wszyscy zapewniają Bertucha o swej pomocy i zrozumieniu zagadnienia; brak jednak było jakichkolwiek widomych znaków tej pomocy. Słusznym instynktem wiedziony, Bertuch postanawia dotrzeć do najwyższej postawionej osobistości austriackich. Z początkiem listopada 1814 udaje się do Pilata,

10) u prof. Zizius’a (Oekonomisch-politische Berachtungen, Wien, 1811), znajdujemy takie zestawienie obrotów handlu księgarskiego:
w r. 1795 wwód na sumę 153.723 fl. — wywód 141.255 fl.
” ” 1805 ” ” ” 205.932 fl. — ” 169.498 fl.
” ” 1807 ” ” ” 128.706 fl. — ” 169.111 fl.

w latach 1814-15 wwód książek był więcej niż skromny produkcja zaś księgarzy wiedeńskich b. znaczna. Gentz np. skarży się w swych pamiętnikach, że nowe książki i czasopisma zagraniczne może oglądać jedynie woźny Staatskanzlei, otwierający przesyłki kurierów dyplomatycznych. Kto chciał czytać wydawnictwa zagraniczne musiał mieć albo przyjaciół na placówkach, albo brać przesyłki z Kancelarii, gdzie nikt się nimi nie interesował. Gentz robił jedno i drugie.

11) Vorschlag der Herren Deputirten deutscher Buchhändler auf dem Congress, in Absicht auf zweckmässige Bestimmungen, betreffend die Pressfreiheit, den Büchernachdruck und den Buchhandel; datirt Wien den 1 November 1814 (Klüber: Acten... IV B. 13 H. str. 26-27).

12) Eingabe der Herren Deputirten deutscher Buchhändler auf dem Congress, worin sie die Angabe widersprechen, dass sie bloss von den Leipziger Buchhändler deputirt seyen; datirt Wien den 27 Januar 1815 (Klüber: Acten... IV B. 13 H. str. 23-36).

który wręcz oświadcza: "tutaj cesarz załatwia wszystko jako wyraz największej łaski. Nie ma mowy o wolności prasy". Ale radzi działanie "per indirectum", tzn. za pośrednictwem różnych osobistości. Ten rodzaj działania odpowiadał Bertuchowi. Prócz spraw księgarzy Bertuch załatwiał również sprawy wydawnicze ojca, zwiedzał muzea i galerie sztuki, słuchał koncertów, oraz odgrywał po trosze — jak z dumą notuje — rolę "chargé d'affaires literackiego" lub naukowego adiutanta" u boku księcia Karola Augusta. W poszukiwaniu odpowiednich kontaktów Bertuch dociera do dra Stifta, przybocznego lekarza cesarskiego. Dr Stift choć sam nastawiony do spraw wolności prasy liberalnie, nie mógł jednak wstawić się u cesarza, mającego na sprawy te swój własny pogląd. Swego czasu, kiedy c.k. Nadworna Komisja Studiów i Cenzury opracowała memoriał o sprawach literatury i wolności prasy, panujący wtedy Józef II załatwił rzecz lakonicznie: "nie zamierzam wydawać mego ludu na pastwę żadnych zysku księgarzy, po to tylko, by być chwalonym przez dziennikarzy i opiewanym przez poetów". Trudno spodziewać się innej odpowiedzi od człowieka, który muzeum królewskie na Hradczynie zamienić kazał na koszarę artylerii, a dzieła sztuki zlicytować (nb. w przeddzień licytacji kazał wyrzucić przez okno). Józef II miał zresztą różne humory. Tak np. wydawca wiedeński Schönfeld zrobił fortunę, dzięki drukowaniu wydawnictw protestanckich. Było to na cztery miesiące przed ukazaniem się edyktu tolerancyjnego i Schönfeld korzystał z tajnego pozwolenia cesarza.

Wiedząc o tych humorach cesarskich i "tradycjach kulturalnych", Bertuch liczył na szczęśliwy przypadek. Z początkiem lutego uzyskuje posłuchanie u prezydenta policji Hagera, który po prostu oświadcza: "Cesarz Franciszek nie jest do tego przyzwyczajony, by mu przedstawiać projekty zmierzające do jakichkolwiek zmian w jego monarchii". W ten sposób upada myśl uzyskania audiencji na dworze. Tymczasem memoriał złożony w sekretariacie kongresu wraca, zaopatrzone ponadto "mętными uwagami". Bertuch w liście do ojca pisze (3. 2. 1815): "...Humboldt zarecza, że nasza petycja została włączona do projektu, ale to jeszcze tajemnica..." 6 lutego notuje zaś w pamiętniku: "...nasze sprawy stoją dobrze".

Członkowie komisji dla spraw niemieckich sądzili, iż uda im się w ciągu lutego uzyskać porozumienie w sprawie saskiej, po czym mieli przystąpić do rozpatrzenia projektu konstytucji dla Niemiec. Bertuch nie mając innego zajęcia, jak oczekiwanie na wynik zabiegów, oddaje się z zapałem wielkomięskim rozrywkom. W diariuszu, prócz spisanych na gorąco wrażeń, znajdujemy pod datą 11-go lutego 1815 taką charakterystykę społeczeństwa austriackiego:

... "Są tutaj trzy klasy. Wysoka arystokracja, ma mało zmysłu dla kultury niemieckiej, nauki i sztuki. Tworzy silną kastę pomiędzy

regentem a ludem. Młodzież myśli tylko o koniach, dziewczętach i zabawach. Chytre, płaskie natury, pół-centaury.

Klasa urzędników sama przez się wyklucza literaturę: a) nie można zwolnić się ze służby i żyć tylko z pisania, b) na służbie nie wolno niczego pisać, gdyż budzi się nieufność przełożonych, iż zaniedbuje się pracę;

Klasa kupców nie ma w ogóle kultury i sprawia sobie tylko przedmioty zbytku i gromadzi wokół siebie ludzi, by błyszczeć w ten sposób fałszywymi pozorami. Zasadniczo kultura jest tłumiona".

Tymczasem prace komisji niemieckiej utykają na martwym punkcie, tym bardziej, że z początkiem marca nadchodzi wiadomość o ucieczce Napoleona. Pod koniec marca Bertuch składa memoriał o przedruku Radzie Książąt. Później, poprzez Danielewskiego (adiutanta ks. Wołkońskiego) i La Harpe'a stara się pozyskać cara Aleksandra.

Dopiero 12 kwietnia następuje pierwsze posiedzenie w sprawie Niemiec. Bertuch przypomina się ks. Wrede, posyła memoriał Metternichowi i pisze list do Pilata z prośbą o przypilnowanie sprawy. Pilat odpisuje, że Metternich "przychylnie ustosunkował się" do petycji. Zaczyna się teraz ożywiona wymiana listów, to z Wessenbergiem, to z Pilatem — ale bez żadnych rezultatów. Pod koniec kwietnia, po czternastokrotnym monitorowaniu Wessenberg odpisuje, że austriacki projekt konstytucji dla Niemiec... nie został jeszcze przedłożony. Deputowani udają się do ks. Hardenberga, który mówi, że sprawę przekażają Metternichowi...

Spróbujmy odwrócić tę urzędową drogę memoriału:

W połowie kwietnia ks. Hardenberg przekazuje go Metternichowi. 30 kwietnia kancelaria potwierdza, że sprawę rozpatruje Metternich. 1 maja Bertuch notuje: "...Od Metternicha nie ma odpowiedzi". 3 maja Wessenberg mówi, że od sześciu dni czeka na podpis Metternicha. W dwa dni później (5 maja) Pilat donosi, że memoriał "zaginął gdzieś u Metternicha", i radzi opracować nowy. Wreszcie 17 maja Floret z Kancelarii wyjawia tajemnicę, że "Metternich pragnie zatwierdzić od dawna koncept znowu przeczytać i przemyśleć".

Tego dnia Bertuch notuje w pamiętniku: "zaczynam całą pracę od początku", po czym wyjeżdża na dwa tygodnie na Węgry.

Wytrwałość z jaką Bertuch idzie do celu jest godna podziwu. Gdy wreszcie wiosną 1815 przystąpiono do opracowania projektu konstytucji dla Niemiec — Bertuch obchodzi wszystkich posłów, książąt i ministrów, wszędzie składając memoriał, lub przemawiając za przyjęciem postulatu księgarzy. Szczególnie obstawiony był Humboldt, który niezmiernie opacznie opracowywał projekt konstytucji. Jego też Bertuch bombardował — równie niezmiernie — prośbami o pamięć. Właściwie zbytecznie, bo Humboldt pamiętał o danym przyrzeczeniu.

Próby pozyskania rządu austriackiego dla sprawy księgarzy "zahamowane zostały przez obojętność człowieka wywierają-

cego duży wpływ na Metternicha: jego zdolnego i zaufanego doradcę Fr. von Gentza”¹³). Także Bertuch w liście do ojca (19. 10. 1814) pisze: “Na G(entza) nie można liczyć, jest za roztargniony”. I później jeszcze (15. 4. 1815): “Złapałem nareszcie Gentza, ale dla naszej sprawy zupełnie obojętny”.

Opinie te krzywdzą znakomitego publicystę. Nasze czasy zachowały wizerunek bądź postnego dyplomaty o romantycznych skłonnościach — jak u Golo Manna; bądź poważnego i nieużytego urzędnika austriackiego w wersji Egloffsteina, Bertucha i innych. Gentz był za mądry, by usiłował wywyższać się ponad swego patrona — Metternicha. Wolał pozostać skromnym architektem owego mauzoleum, jakie za życia stawiał sobie kanclerz. Jego pozycja w Wiedniu nie była do pozazdroszczenia: mimo długiego pobytu w stolicy Gentz ciągle uważany był za cudzoziemca. Schematyczni biurokraci z “Staatskanzlei” odnosili się do przybyszów z Reichu z największą nieufnością. W liście do Pilata (17. 9. 1819) Gentz pisał: “prócz tego, że zostałem hofratem i przyznano mi nadzwyczajną gratyfikację 2000 fl. — nic mnie nie spotkało”. Po szesnastu latach pobytu w Wiedniu, Gentz skarżył się, że wprawdzie korzysta się z jego zdolności, ale okazuje mu się mało zaufania, gdyż jest protestantem i cudzoziemcem. Urzędnicy mieli mu za złe, że nie był “wywiczonym urzędnikiem austriackim”, uznając tym przewagę umysłowości Gentza i swe własne nieuctwo. Suma wiedzy urzędnika kancelarii zamykała się w zasadzie: “mit völlig abgenützten Paraphrasen und der kleinsten Courtoisie auf dem Papiere die spanische Schule reiten zu können”¹⁴). Reszta, dla dobra “des Allerhöchsten Dienstes” wydawała się zbyteczna.

W czasie kongresu Gentz pełnił obowiązki sekretarza i doradcy. Brak entuzjazmu dla sprawy przedruku i wolności słowa tłumaczyć można m. in. lekceważącym stosunkiem Gentza do cenzury i wydawców. Dla kogoś, kto jak on — na emigracji w Pradze — potrafił być wydawcą, redaktorem, głównym publicystą i zarazem urzędowym cenzorem dziennika — brak ustawowej wolności prasy nie stanowił żadnej przeszkody w pisaniu.

Ale powróćmy do Bertucha. Tak Hardenberg jak i Metternich przyrzekli mu swe poparcie. Metternich — jak pamiętamy — zwleka jednak ze złożeniem podpisu. “Baron Wessenberg — pisze Bertuch 7 maja 1815 — robi wszystko, by uzyskać zatwierdzenie. Ogarnia mnie czarna rozpacz na powolność z jaką M(etternich) załatwia wszystkie ważne sprawy.

13) Egloffstein, str. 194.

14) Aus der alten Registratur der Staatskanzlei. Briefe politischen Inhalts von und an Fr. von Gentz aus den Jahren 1799-1827; herausgegeben von Clemens von Klinkowström. W. Braumüller, Wien 1870, VIII + 189 str.

Przecież dalszy bieg rzeczy nie wymaga niczego innego, jak porządku i dobrej woli”.

Zbyt energiczne działanie również nie było wskazane. W liście z 17 maja 1815 Bertuch donosi: “Walkowałem sprawę ustnie i pisemnie tak mocno, że muszę dać spokój na jakiś czas, by panowie z kancelarii nie odwrócili się ode mnie”.

Tymczasem widoki na korzystne załatwienie polepszyły się gdy pełnomocnicy Prus i Austrii uzgodnili swe poglądy na zasady przyszłej konstytucji. 23 maja przedłożono wybranym posłom wspólny projekt aktu związkowego, zawierającego m. in. zdanie:

“Zgromadzenie Związkowe na swym pierwszym posiedzeniu zajmie się ułożeniem stosownego prawa o wolności prasy i zabezpieczeniu praw autorskich pisarzy i wydawców przeciw przedrukowi”¹⁵).

Radość Bertucha nie zna granic: “dyplomaci — notuje dnia 27 maja — gratulują mi z powodu dobrze przeprowadzonej negocjacji”. Ale — projektu jeszcze nie zatwierdzono. Najważniejszą rzeczą było pozyskanie Austrii, gdzie, jak wiemy, przedruk był najbardziej rozpowszechniony. Wiadomo było również, że niektóre księstwa południowo-niemieckie głosować będą za Austrią. Niejasne także było stanowisko Bawarii. “Obawiam się oporów z różnych stron — pisze Bertuch 30 maja — nie ze względu na istotę sprawy, ale zwykłą zawiść”.

Tego dnia, tj. 30 maja Metternich odczytuje na zebraniu artykuł dotyczący własności literackiej. W głosowaniu Bawaria wstrzymuje się od głosu, a Austria nie nalega. Artykuł ten zostaje prowizorycznie zaprotokółowany i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie... — ale posłuchajmy Bertucha (4 czerwiec 1815):

“...Wczoraj wieczorem liczni dyplomaci zaopatrujący się w kancelarii w kopie wszystkich artykułów, byli o mnie zaniepokojeni. Okazało się, że kopista paragrafu 16-go zapomniał przerzucić kartę i w ten sposób nie zauważył punktu D i E. Sekretarze zaś posłów, rozsyłający wczoraj kopie sądzili, że artykuł nasz z nowych powodów opuszczono. To mnie zeżłościło i od rana biegałem, wyjaśniając wszędzie omyłkę”.

W pięć dni później (9 czerwca) mógł Bertuch donieść: “Nasz postulat o przedruku został uznany także przez Bawarię i formalnie włączony do Aktu związkowego; to wszystko co w obecnym stanie rzeczy dało się przeprowadzić. Nie ulega wątpliwości, że bez naszej, do końca, wytrwałej deputacji, cała sprawa nie zostałaby wzięta pod uwagę, ani włączona do tekstu. I tak, aż do ostatka niektórzy dyplomaci uważali ją za zbyteczną. Tym lepiej, dla nas, że stało się inaczej”. I dalej jeszcze pisze: “Cały czas poświęcam na nasłuchiwanie, tłumaczenie, prośzenie i czekanie, zanim rozpoznam wątki spraw, co dla mnie — zważywszy, że oficjalnie nic się nam nie mówi — nie

15) Klüber: Acten, B. II, 4 H., str. 522.

jest rzeczą łatwą. Będę szczęśliwy mając już mury Wiednia za sobą”.

Po włączeniu petycji do tekstu Aktu Związkowego pozostało jeszcze przypilnowanie różnych osobistości, by pamiętali o tej petycji na kompetentnym zgromadzeniu frankfurckim. Z początkiem lipca Bertuch wraca do Weimaru, skąd pisze obszernie sprawozdanie dla Goethego. Opisy życia w Wiedniu, recenzje z wystawionej tam „Iphigenii”, plotki i wrażenia z galerii obrazów, wypełniają treść listu. Pod koniec Bertuch dodaje: „Deputacja księgarzy uzyskała jednak w Wiedniu wciągnięcie petycji do Aktu Związkowego. Dalszych, szczegółowych wyników oczekiwać musimy z Frankfurtu”. Wyników tych Bertuch już nie doczekał. Niespodziewanie umiera 15 października 1815. Dopiero 17-cie lat po jego śmierci prawo związkowe bierze pod ochronę — przynajmniej teoretycznie — pisarzy i wydawców. Artykuł 18 części drugiej Aktu Związkowego¹⁶⁾, litera D, brzmi:

„Zgrodzenie Związkowe zajmie się na swym pierwszym posiedzeniu ułożeniem jednobrzmiących przepisów o wolności prasy i zabezpieczeniu praw pisarzy i wydawców „przeciw przedrukowi”.

O ile sprawy przedruku istotnie zostały uregulowane, o tyle zalecenie dotyczące wolności prasy nie odpowiadało rządowi państw niemieckich, które wykladały je na swój sposób. Echa tych interpretacji znajdziemy jeszcze w debatach parlamentu saskiego w roku 1843¹⁷⁾. Okrzyk jednego z posłów: „Wolność prasy — albo niech was diabli porwą!”, może najlepiej oddaje istotę rzeczy. Jak mocne były opory przeciw wolności prasy świadczyć może fakt, że gdy pod koniec r. 1831 wielkie ks. Bawarskie zagwarantowało wolność prasy i usunęło cenzurę na swoim terenie, żaden inny kraj niemiecki nie poszedł za tym przykładem uchwałą związkową anulowano ten dekret, jako sprzeczny z konstytucją. W cztery lata później wydano zarządzenie uprawniające policję do cenzurowania wszystkich bez wyjątku druków. Zarządzenie to kompilowało stare przepisy z r. 1779 i 1812 i na protesty wielu posłów złączono zostało dekretem, obiecującym przedłożenie ustawy o wolności prasy... Lata następne bynajmniej nie przyniosły urzeczywistnienia tej obietnicy. Projekt z r. 1840 przewidywał wprowadzenie przepisów łagodzących uprawnienia cenzury, ale legalizował skonfiskowanie pism już cenzurowanych i zaprowadził zwyczaj cenzurowania pism i książek zagranicznych¹⁸⁾.

16) Bundes Acte oder Grundvertrag des teutschen Bundes, dattirt Wien, den 8 Juni 1815. (Klüber, Acten II B. 5 H., str. 624).

17) Ausgewählte Reden der Volksvertreter in der sächsischen zweiten Kammer 1843 in hnsicht der Pressfreiheit. Herausgegeben von Held, Leipzig, 1843. Ph. Reclam jun., str. 141.

18) Poseł von Watzdorf w swym przemówieniu powołał się na przykład polski: „Konstytucja nasza weszła w życie 4 września 1831, a wkrótce potem miały miejsce owe tragiczne wydarzenia, jak upadek

W czasie wspomnianych obrad parlamentu saskiego, jeden z posłów odczytał instrukcję policji dotyczącą przekładu na niemiecki pamiętników b. jeńca francuskiego. Najbardziej uderzające w tej instrukcji są dokładne i sumienne wskazówki, jak należy przekładać zdanie odnoszące się do władz austriackich. Inny cenzor skwapliwie powykreślał ustępy dzieła prof. Arndta o historii Szwecji, traktujące o zachowaniu się żołnierzy rosyjskich. Przykładów jest więcej. Pamięć jednak pierwszeństwa przyznać by trzeba owemu urzędnikowi, który w r. 1838 wydał zarządzenie konfiskujące dekret o zakazie książek wraz ze spisem książek skonfiskowanych.

Dalsze dzieje tych spraw, konwencji międzynarodowych o prawach autorskich, deklaracji wolności prasy, wolności myśli i słowa są dobrze znane z dziejów bieżącego stulecia. Nie znajdziemy już dzisiaj księgarzy broniących interesów pisarzy i literatury; ani polityków mających zdrowie i ochotę zajmować się sprawami książek.

Zbigniew MAŁECKI.

Warszawy i nieszczęśliwy przebieg polskiej walki o wolność. Wydarzenia te odbiły się w Niemczech żywym echem — i miałem nadzieję — że rząd nasz pomyśli zupełnie poważnie o udoskonaleniu naszej konstytucji i jej wzbogaceniu o niezniszczalne zdobycze wolności ducha”.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedynę pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau
US Zone, Germany.

Ścieżki

«Montagnes Russes»

pamięci D. Filosofowa poświęcam.

"Przecie to jedyna moja pociecha w naszym katorżnym losie włóczęgów — gdy mówię sobie: "wszystko jedno, jakoś tam prędko będzie koniec!", i, czując mój zbawczy fatalny kres (ani pokory, ani dobroduszości we mnie nie ma) ostatnimi siłami jak ta klacz z zasieczonymi oczami (pamiętacie ten sen Dostojewskiego) pod natrętny motyw Musorgskiego zębami się narzucam na każde mgnienie mego wyslizgującego się ostatniego dnia."

"Podstrzyżonymi Oczami", str. 204.

"...i trzeci (pokłon) — za to że życie mi dała a nic na świecie nie ma lepszego niż życie".

"Zwiczrzona Ruś", str. 166.

Jest z mojej strony śmiałością pisać o Remizowie, próbować przedstawić polskiemu czytelnikowi tego rosyjskiego pisarza o tak zupełnie swoistym charakterze. Piszę o nim nie jak krytyk literacki którym nie jestem, ani tym bardziej znawca literatury; piszę dlatego tylko że jestem tym pisarzem urzeczony, że chciałbym podzielić się moim późnym odkryciem.

Proza Remizowa zdaje mi się składać nie ze słów w potocznym rozumieniu, ale z żywej dotykanej i każdym zmysłem wyczuwalnej tkanki. Jest w niej ból "aż do skowytu", do okrutnej goryczy, głuchego buntu ale i "łzy anielskie", czujnie i czule, wszystko przebaczące spojrzenie, miłość wskrzeszająca człowieka i miłość życia, każdego życia najbardziej umęczonego, zdławionego. Czytelnik jest coraz to wyrzucony z najciemniejszego mroku ku gwiazdom i znów rzucany z powrotem w zupełną ciemność. Nie każdej miękkiej wrażliwości radziłbym przejażdżkę po tych "montagnes russes" jego książek.

"I każdego dnia Wierka idzie po tych schodach do szkoły, roznosząc nogami schodowy oślizgły brud i plugastwo.

"I nie wiem dlaczego to lepkie plugastwo, to zatechłe ciasne mieszkanie, kiedy tak szeroko chadzają gwiazdy na czystym niebie, a po naszej ziemi surowej przezroczyście płyną strumienie...")

"...Tam na naszym strychu dokąd woda już się nie podnosi i tylko wiatr się przechadza w nocy surowe, gdy gwiazdy wychodzą, gwiazdom szepeczę pod stalowy szum drutów, przez ramy okienne

gwiazdy, najpiękniejsze gwiazdy moje"***).

Nie znam pisarza, który by język rosyjski tak zmysłowo, kolorowo, soczyście i dźwięcznie wyśpiewał, wyrastając rytmem, słowem z epoki moskiewskiej, przedpiotrowej, daleko wstecz poza "zbyt niemiecką" epokę Karamzina i "zbyt francuskiego" Puszkina.

Nie darmo Aleksy Tołstoj, autor "Piotra Wielkiego" mówił mi w Taszkencie, że Remizowowi zawdzięcza jako pisarz wszystko. Tylko, że w ciężkiej, suto tkanej prozie historycznej powieści Tołstoja nie odnalazłem gwiazd Remizowa, nic z lotnej subtelności, którą dzieło Remizowa jest przeszyte.

Czytać prozę Remizowa trzeba by głośno, tak ważna jest materia słowa i rytm zdań. Wystarczy się trochę w ten świat zanurzyć, by poczuć dźwiękowe ubóstwo słów własnych, wypadkowość, brak dopracowania się, spłylenie gładkimi, wytartymi już tysiąc razy bezmyślnie powtarzanymi zwrotami.

Remizow jest pierwszym formalistą na liście pisarzy heretyków w anatomie Zdanowa. Ten odkrywca zdań i harmonii niepowtarzalnych — formalistą? Ależ nie spotkałem jeszcze ani jednego słowa w prozie tego pisarza, gdzieby najbardziej nieoczekiwane zdanie, rytm czy słowo nie były konieczne, napeężniałe wewnętrzną treścią, która tylko w tym jednym słowie, w tym jednym układzie może wybuchnąć. Jeżeli jako formalizm uważać cyzelowanie dowolne i z treścią niezwiązaną grę wyrazów — to Remizow jest najmniej formalistyczny ze wszystkich znanych mi pisarzy.

Okres petersburski od Puszkina do Błoka był właściwie jedynym światem rosyjskim do którego miałem dotychczas bliższy dostęp. Dziś po okresie, kiedy usiłowałem wczytać się w Remizowa, odkrywam nowe oblicze Rosji, o którym wiedziałem tak niewiele i od zewnątrz, stokrotnie bardziej rosyjskie. Świat ten, groźny — tak mi daleki chwilami, tak obcy w namiętności życia, każdego życia i nawet w swym miłosierdziu i słodyczy, która jakby współżyje boleśnie, ale całkiem **naturalnie** ze światem nieoddychałym okrucieństwa, krzywdy, krwi i upokorzenia — że coraz to odkładam książki Remizowa, nie mam sił ich czytać. Nie mam sił być na każdej stronie rzucany jak na pędzącym wózku nie jarmarcznej, ale jakiejś ogromnej między nie-

*) "Zwiczrzona Ruś", str. 449.

***) "Zwiczrzona Ruś", str. 450.

bem a ziemią zbudowanej "montagne russe". Geniusz Remizowa zmusza mnie bym nie tylko świat ten poznał, ale bym go po jakimś uczcił i nawet ukochał.

Moskwa i prowincja wielko-rosyjska — to jest świat Remizowa. Jego język, tak samo jak dziwne pismo nie są wcale pastiszami siedemnastego wieku. Duch tamtego wieku jest tu wskrzeszony, ale i współcześni zarazem. Wyrasta nie z naśladownictwa, ale z istoty samego Remizowa, nie tylko z ogromnej wiedzy tamtego świata, czucia słowa rosyjskiego, ale z wewnętrznego związania poprzez krew, poprzez moskiewskie dzieciństwo, niezerwaną tradycję i graniczącą z czarodziejstwem pamięć wieków.

Remizow żyje na granicy świata fantastyki, nie tylko w swych bajkach i powieściach, ale sam otoczony jest nieustannie postaciami fantastycznymi, które dla niego są równie żywe jak żywi ludzie. Na stole jego leży wyleniały krasnoludek: "towarzysz mi od 1921 roku". Remizow opowiada o gnomach, o królu małej Asyce, jakby go codziennie nawiedzały te stworzenia. A przy tym jego bajki, jak np. "Stefanit i Ichmelet" są oparte na wieloletnich studiach. Remizow doszukał się pierwszych źródeł jeszcze w sanskrycie, wersji tybetańskiej tłumaczeń perskich, arabskich, żydowskich, łacińskich, skąd bajki te przeszły do wszystkich europejskich języków, i wciąż się zmieniając, zależnie od epoki i kraju, stały się w siedemnastym wieku ulubioną lekturą Rusi Moskiewskiej. Tę bajkę z własnymi ilustracjami wydają Remizowowi przyjaciele w 1950 roku w... trzystu egzemplarzach. Jego opowieści fantastyczne o opętanych, wydane również w trzystu egzemplarzach w 1951 roku, opowiadają miłość Sawwy Grudcyna i męki opętanej Sałomonii. W opowieści z siedemnastego wieku o Sawwie wkłada Remizow zadyszana, jak potok, jak płomień narastającą i niepowstrzymaną inwokację miłosną do przez niego w opętaniu zamordowanej ko chanki. Dwie strony bite bez jednego przecinka i bez jednej kropki. Pamiętam w "Ullissesie" Joyce'a strony również płynące jak nurt — bez przecinków i kropek. Ale świat tych książek jest zbyt sobie daleki by móc porównywać. Chyba jedynie w legendach i powieściach miłosnych średniowiecza znaleźć by można ten dech i rozpęd.

Ponurą atmosferą okrucieństwa losu, rozpaczy i opętania, a pod koniec wszechogarniającego mistycznego miłosierdzia oddycha opowieść o Sałomonii-opętanej. Nawet Dostojewski wydaje się mniej ciemny w porównaniu, on przeciw czytał "Les Misérables" Victora Hugo, czytał George Sand i ta rosyjskość Dostojewskiego zdaje się obok Remizowa już "przyczysana".

Remizow wydał pierwszą swoją książkę prawie pięćdziesiąt lat temu, w 1902 r. Na emigracji przez 18 lat nie wydano mu po rosyjsku nic. Aż do roku 1949. W Rosji już od 26 lat nie wyszła żadna z jego książek. Do jednej z ostatnich dodał Remizow koło sześćdziesięciu dwóch tytułów książek dawniej wydanych! Cztery

z jego powieści ukazały się po francusku. "La Famille Bourkow" ze wstępem Romain Rollanda. Powieść jego "Sur Champs d'Azur" wyszła w świetnej kolekcji "Feux Croisés" u Plona, gdzie mamy pisarzy wybitnych z całego świata, jest nawet pisarz koreański, nie ma, mówiąc nawiasem, ani jednego Polaka.

Pierwszy raz słyszałem o Remizowie od Dymitra Filosofowa, który się z nim przyjaźnił w początkach dwudziestego wieku. Mówił mi o nim koło 1924 roku. Wraciał wówczas z Zachodu. Spotkał Remizowa przelotnie w Niemczech. Był wyraźnie pod wrażeniem rozmowy z nim, zbyt "brutalnej", jak mówił, bo musieli mówić w pośpiechu o sprawach najważniejszych. Powiedział mi tylko: "Powiedziałem Remizowowi, że musi wracać do Rosji. On jest zbyt wyłącznie rosyjski. On nie wytrzyma emigracji". Zdziwiły mnie te słowa, Filosofow był zawsze gwałtownie przeciwny wszelkim powrotom tak zwanych wówczas "smienowiechowców". Nie potrafiłem wtedy nic więcej się dowiedzieć. Powtórzył tylko raz jeszcze: "On nie przetrzyma emigracji...". Parę dni potem przyszła kartka od Remizowa. Szczyt niemieckiej szpetoty: gruby Niemiec w kolorowej kurtce chwycił za ogon grubego prosiaka. Filosofow z jakimś masochizmem przyczepił tę kartkę do ściany swego pokoiku na Siennej.

Sam poznałem Remizowa parę lat później na jednym z baletów Diaglewowskich. Stał wówczas podczas pauzy z Prokofiewem. Zaraz zwróciłem uwagę na drobną postać Remizowa z wielką, prawie chińską głową i ciemnymi okularami. Uderzyło mnie zza tych okularów natychmiastowe i tak bardzo osobiste i serdeczne spojrzenie, uwaga którą mnie wówczas obdarzył. Interesował mnie wtedy przede wszystkim wtórnie, jako przyjaciel Rozanowa i Błoka. Ale Remizowa czytałem zaledwie skrawki i to incydentalnie, obok. Chodziło mi o żywe szczegóły, o Błoku, Rozanowie, pisane przez ich przyjaciela.

Dopiero w 1938 r. jadąc w Warszawie przez Nowy Świat tramwajem, odkryłem w "Nouvelles Littéraires" pierwszy raz naprawdę prozę Remizowa, króciutkie jego opowiadanie. Nawet poprzez drażniące tłumaczenie, drażniące bo tak obce, wyczułem takie natężenie opustoszonej samotności i bólu, że dotychczas pamiętam miejsce w którym to opowiadanie czytałem. Był to fragment z tej samej dotychczas niewydanej książki "Nauczyciel Muzyki", której wyjątki drukujemy poniżej w "Kulturze". Chwycił mnie ostry żal, że mieszkając tak długo w Paryżu, nie usiłowałem go nigdy odwiedzić, poznać go bliżej. Od tego czasu przeszło znowu trzydzieści lat, i jakich lat. Teraz się nagle dowiedziałem, że Remizow mieszka zupełnie samotnie; stracił w 1945 r. żonę, najbliższą towarzyszkę wszystkich lat niedoli i wszystkich prac, że jest prawie zupełnie ślepy, w nędzy, że żyje z dorywczej pomocy garstki przyjaciół. Samotny, zawieszony w próżni, ale nie jak Pan Twadowski między niebem a ziemią, ale między piekłem swarów, zawiści i nędzy emigracji, a piekłem ucisku w jego ojczyźnie.

Wybrałem się do niego: dziwnymi zawijasami napisana kartka na drzwiach, że trzeba mocno stukać, lekki szybki krok za ścianą. Drzwi się otwierają i poznaję tę samą drobną, jeszcze tylko bardziej od ślęczenia nad książkami zgarbioną postać i wielką chińską głowę, o uroczym uśmiechu. Z tym samym ciepłym uśmiechem prowadzi mnie przez długi ciemny korytarz do jasnego gabinetu-sypialni. Półki z książkami, a ściany od góry do dołu wyklejone abstrakcyjnymi obrazami-wycinankami przypominającymi chińskie, makaty i rysunki Pawła Klee. Te ściany srebrzą się i czerwienią. Remizow usadza mnie naprzeciwko siebie na wysiedzianej przez gości kanapce a sam siedzi przy stoliku z grubym kałamarzem. "Z czego pan żyje?" pytam go obcesowo po chwili rozmowy. "O, proszę pana, jest o wiele więcej dobrych ludzi niż sobie wyobrażamy. Oni się o mnie troszczą. Ot, dzisiaj mam kawał słoniny "diu lard", na jutro dobry sąsiad przyniósł — a na wieczór herbata z chlebem mi wystarczy. Gdyby pan wiedział jak dobrze jest pracować w tej zupełnej ciszy i samotności. Z tego mieszkania od paru lat nie wychodzę już prawie nigdy. Jak się cieszę, że mieszkam na rju Bualjé" — przecie to Boileau napisał "de ljar poetik". Bo to proszę pana Francuzi umieją pracować nad słowem, wiedzą co to jest słowo, u nas Rosjan ciągle jeszcze mówi się tylko o treści. Jak mało ludzi rozumie znaczenie słowa. Bo albo są geniusze, jak Dostojewski czy Tokstoj — im, jakby nie napisali, wszystko się udaje!" (Myślę o zdaniu Mallarmé powiedzianym Degasowi, gdy ten się skarżył, że ma nawał pomysłów, a nie udaje mu się napisać dobrego sonetu: "Mais, Degas, ce n'est pas avec des idées que l'on fait des vers... C'est avec des mots"*).

Gdy ten najbardziej rosyjski Rosjanin, Remizow, wymawia zdanie francuskie, nie mam zupełnie wrażenia by mówił po francusku z akcentem rosyjskim, ale prędzej jakby rosyjskiemu językowi słowa francuskie przyswajał. Jakże po rosyjsku brzmią w jego ustach takie słowa jak "konsierż", "kofr" czy "ordiur". I czymże są gorsze od "parikmachier" czy "gałstuk". Niech się puryści nie gorszą. W 1833 roku Mickiewicz, przecie tak niedawno w Paryżu zamieszkały, pisał najspokojniej w swoich artykułach o "eklererach", o "emetach" (émeutes) i jeszcze, że emigranci skazani na bezczynność "ruminują"! (ruminant).

W najlepszym nawet tłumaczeniu nie docieramy do samej miazgi słowa Remizowa, ale tłumaczenie Łobodowskiego zdaje mi się bliższe od najlepszych tłumaczeń francuskich, tak biegunowo przeciwny jest duch języka francuskiego temu mrocznemu, pełnemu zakrętów bogactwu i tej migotliwej zmysłowości mowy Remizowa. Pisarz mówi o słowie z tajemniczym nabożeństwem, o słowie, które się rodzi z "blasku krwi, bo na początku była krew".

*) Ależ, Degas, to nie pomysłami pisze się wiersze... ale słowami.

Roazanow, którego z Remizowem łączyła więcej niż przyjaźń, bo pokrewieństwo w stosunku namiętnym i arcyrosyjskim do życia uragał w "Ujedinnionnoje" na druk: "Jakby ten przeklęty Guttenberg oblażał swoim miedzianym językiem wszystkich pisarzy", literatura straciła dzięki temu swoją tajemniczość, urok intymności, które miała literatura średniowiecza. Rękopisy Remizowa, niewydane, pisane bardzo pięknym pismem z rysunkami autora, w okładkach przez samego autora wykonanych, czy to może powrót do literatury intymnej, średniowiecznej, o której pisał Roazanow z takim zachwytem, nie pisanej ani dla Prix Goncourt, ani dla spekulacji amerykańskich na best-sellery i Hollywood, ani dla cenzorów "Czytelnika" czy "Gosizdatów"? ("Nie warto pisać chyba, jeżeli cię tylko tysiąc ludzi przeczyta" mówi mi rozczarowany do życia i zdolny pisarz, któremu sen z oczu spędza wyspa kupiona przez Koestlera").

W książce Remizowa, dziś nie do dostania, "Zwiczrzona Ruś" (Paryż 1926 r., wyd. Tair) jest rozdział poświęcony pamięci Błoka, również jego przyjaciela. "Nie ma ani jednego z młodych poetów, na którego by nie padł promień jego gwiazdy", pisze o nim Remizow i cytuje słowa Błoka, które mu powiedział w ostatnim roku życia "w takim ucisku jest niemożliwe pisać", ale Remizow wspominając te słowa dodaje w tych pierwszych latach wygnania, że pisać poza Rosją jest Rosjaninowi jeszcze trudniej, bo cały świat jest pustynią dla Rosjanina, a jeżeli ginąć to już lepiej w Rosji. Jemu się wówczas także zdawało, że opuścić swój kraj równa się dla pisarza samobójstwu, ale Remizow pisać nie przestał. Tworzy dzieło swego życia, od trzydziestu lat oderwany od ojczyzny. Rosną tomy wspomnień o Rosji, bajek i historycznych opowieści, **wbrew samotności, wbrew nędzy.**

A może nie wbrew, a z powodu? Może trzeba przejść przez opuszczenie, przez taką Pustynię, żeby zdobyć taki blask słowa, uśmiech dobroci i "izy niebieskie".

"Cedr nie ogrody lecz pustynie rodzą
Próżnia kołyską olbrzymą
Wielcy poeci dopiero przychodzą
Kiedy ich nie ma!..."

Nagle po osiemnastu latach, od 1949 roku wydano cztery książki, dwie z nich ze składek garstki tak samo biednych jak i on przyjaciół, jedna zaś nakładem YMCA: "Podstrzyżonymi Oczami". Wspomnienia najdawniejszego dzieciństwa aż do pierwszego zesłania. Nikły nakład tych książek dziwnym i trudnym językiem pisanych, u czytelnika nieczułego na słowo, może wywołać uśmiech lekceważącego politowania u ludzi myślących pod kątem masówek, głośnej reklamy i tłustych zarobków, ale wydaje mi się, że kiedy zginą i w proch się rozsypią miliony książek drukowanych pod przymusem takiej czy innej władzy, takiej czy innej koniunktury czy masowej opinii, te książki właśnie będą trwać i karmić.

“Nauczyciel Muzyki” (1923-1939), którego fragmenty dziś podajemy jest biograficzny, jak zresztą wszystko co pisze. Nie tylko w książkach opisujących teraźniejszość, czy bajkach - wyznaniach, Remizow pisze o sobie nawet gdy opisuje bardzo daleką przeszłość: “Opowiadam o mojej przeszłości od dziewiątego wieku” pisze we wstępie do “Tańczącego Demona”.

Teraz, kiedy pisarz pracuje nad “Tristanem i Izolda”, tą historią miłosną, która, jak mówi, poprzez białoruską wersję trafiła do Rosji, czy nad bajkami, których źródła doszukuje się jeszcze w sanskrycie, czy kiedy pisze o okrutnych losach pierwszych rosyjskich drukarzy, którzy po tajemniczym podpaleniu drukarni moskiewskiej uciekać musieli z Rosji wraz z księciem Kurbskim na Litwę, potem do Lwowa, skąd znów Batory wprowadził jednego z nich do Krakowa, każąc odlewać nie litery, ale armatę, czy o spaleniu Awwakuma, skazanego na stos za obronę starej wersji świętych tekstów, czy o myszach-przyjaciółkach w czasie niemieckiej okupacji Paryża, o głodzie i chłodzie tamtych lat wojennych, w tym stopie wizyjności i dociekliwego realizmu, kafkowskiej fantazji i najbardziej zmysłowego uchwytu zjawisk życia, wszędzie, wszędzie wyczuwamy intymne o sobie wyznanie pisarza. “Umieć pisać tylko o sobie” — mówi mi Remizow. Zwracam uwagę na stronę opowieści o drukarzach, którzy opuścili Moskwę, uciekając na Zachód. “Ach, tak, — mówi. Tę historię napisałem z materiałów. Przeczytałem o tym wszystko co można było napisać”.

“A strony o spaleniu Awwakuma?” pytam.

Stary człowiek pochyla swą wielką chińską głowę w okularach i mówi mi jak wyznanie. “To... to ze wspomnienia... Takich rzeczy nie można ani się nauczyć ani wymyśleć. To wszystko z głębokiej pamięci...” I kiedy w rozmowie Remizow mówi “To wyście Polacy wtedy byli w Smoleńsku”, wydaje się, że to chodzi o wczorajszy dzień, i że on był świadkiem tych wypadków. Urodzony w Moskwie, od trzydziestu lat poza Rosją, pisarz ma przeszłość swego kraju w krwi i w zwojach swego mózgu.

Ten niestrudzony siedemdziesięcioczeroletni pisarz, który ręką szukać musi otworu kałamarza, bo go już nie widzi, a palcem dotknąć końca papierosa nim go zapali, bo go też nie widzi, pisze wciąż i układa w bibliotece swojej tomy rękopiśminne ksiąg, grubą kreską i bardzo czarnym atramentem pisanych. Otoczony książkami, srebrnymi, czerwonymi, szafirowymi obrazami-wycinankami i ciasnym, ciasniutkim kręgiem przyjaciół oddanych i równie jak i on wyrwanych ze swego świata, samotnych i biednych — Remizow potrafił na wygnaniu zachować serce gorące i siłę twórczą poprzez wszystkie krzywdy, zasadzki i poniżenia emigracyjne.

“Poniżenie — pisał Rozanow — przechodzi zawsze po paru dniach w takie duchowe światło, z którym nic nie da się porównać. Nie jest niemożliwością twierdzić, że niektóre najwyższe duchowe przeświecenia są niedościgłe, bez uprzedniego poni-

żenia, że pewne duchowe “absolutności” zostałyby skryte na wieki, ukryte przed tymi, którzy wiecznie zwyciężali, święcili triumfy i zawsze byli “na wierzchu”.

Poniżenie każdej emigracji, które trwa nie dni ale lata, rodzi nie tylko gorycz, swary i nienawiści — rodzi także światło.

Im więcej myślę o emigracji, tym więcej mi się zdaje, że takie zjawisko siły twórczej w pustyni wygnania to najwyższe usprawiedliwienie tułaczki emigracyjnej. Najbardziej rosyjski z pisarzy stał się właśnie uniwersalny poprzez wierność tej rosyjskości i namiętność twórczą.

Kiedyś, w okresie krótkiego i fałszywego flirtu Polski z Sowietami, Radek w artykule dla “Wiadomości” — po chamsku rozprawił się z emigracją rosyjską; pisał, że dała światu jedynie szoferów paryskich i kabarety. Fakt, że w trzydziści lat po opuszczeniu Rosji Remizow pisze, więcej: że może wydać parę ksiązek ze składek tych ubogich rosyjskich wyznawców — fakt ten, wcale nie odosobniony, jest odpowiedzią na tamten artykuł.

“Ciężkie są stopnie wygnania” ale jeżeli prowadzą do gwiazd czystych, które chadzają po czystym niebie — jak pisze Remizow i do przezroczystych strumieni, które płyną na naszej surowej ziemi?

Józef CZAPSKI

Na katordze

Jakoś nagle pojąłem, że wszyscy my znajdujemy się na katordze i to na katordze dożywotniej. W nowym świetle ujrzałem liczne nasze postęпки wytłumaczalne właśnie tym naszym dożywotnio-katorżniczym stanem.

Wszyscy się nawzajem nienawidzą. Wszędzie wrogowie. Jeśli nie otwarcie, to po cichu jeden drugiemu stara się napaskudzić. Wciąż szepczą, zawsze spozierają ukradkiem. Jakiś powszechny strach, że przyjdzie inny, przeszkodzi, wyrwie z rąk. A to nie z chciwości, lecz z zżerającej nędzy. Honor znikł — uczciwość wypaliła się w ciągu tych lat i śladu po niej nie zostało. Słowo “ująć się”, tak jakby nie istniało. Kwitnie obłuda — ale nikogo nie jest w stanie oszukać: nikt nikomu od dawna nie wierzy, za to lizusostwo i pochlebstwo działają z całą siłą i odkrywają pewną, wypróbowaną drogę: być może, to jedyny sposób na osiągnięcie celu.

Ci z katorżników, którzy potrafili uchwycić władzę, mędrkują i znęcają się nad zależnymi od siebie. Taka już ich podła natura. A może rzecz i nie w naturze, tylko w demoralizującym obracaniu się wśród tępaków i zawsze ze wszystkim zgadzają-

cego się beztalencia: nie ma dokąd się podziąć i po niewoli przystajesz na wszystko.

Należę do katorżników zawsze od kogoś zależnych, nieustannie śledzę za moim cierpieniem, na jak długo mego wytrzymania, nie wiem, ale wiem, że moje uczucia nie mogą i muszą wylać się jakoś na zewnątrz, i wyleją się w sposób gruboskórny i ordynarny, co stanie się dla mnie powodem nowej udreki. Nigdy przedtem nie byłem niewolnikiem, a jeśli stałem się nim w tych latach, to przecież zawsze wybija godzina niewolniczego buntu. Jedni o drugich opowiadają same paskudztwa. Wymyślić jakąś hańbiącą historię, oszkalować — oto największa przyjemność. To już się stało naszą drugą naturą, naszą katorżniczą naturą. Stąd wynika nieustanne oszukaństwo. Co tu mówić: Rosjanie starają się nie mieć do czynienia z Rosjanami.

Lecz czyż to możliwe, żeby same śmiecie wypełniało rosyjski Paryż? Nie, to katorga zrobiła swoje: po dwunastu - piętnastu latach emigracji — oto jej robota! Ale człowiek w swej istocie nie zmienia się — w tym utwierdzają wszystkie wstrząsy, jakich byliśmy świadkami — jakim się urodził, takim umrze bez względu na wszystko, zaś okoliczności jego życia jedynie pomagają rozwijać się przyrodzonym właściwościom; chociaż mówię: "śmieci", chociaż powołuję się na katorgę, to przecież i bez katorgi owe śmieci musiały gdzieś tkwić korzeniami.

I wszystko dzieje się jakoś na opak. Przypominam sobie, że pewien przyjaciel bajkopisarza Kukownikowa — państwo go znać — o którym nie można powiedzieć, by z istoty swej należał do paryskiego śmietnika, kiedyś opowiedział mi po przyjacielsku o jakimś świństwie. Wydaje się oczywiście, że powinien był dla wyjaśnienia wskazać na sprawcę, jednak nie udało mi się dowiedzieć. "Dałem słowo — oświadczył mi — że nie powiem!" Taki dbały o własną czystość — słowa nie złamie — przy całej swej do mnie przyjaźni nie pomyślał, jakże ja tak zostanę oblepiony błotem? I czyż nie rozumie, że skoro mnie "zabrudził" jego "czystość" jest bez wartości?

Zawsze na baczności: spodziewaj się wszystkiego. Wiele spraw przestało w ogóle przejmować przyzwyczajenie. Ale nie tylko przyzwyczajenie. I to, co niegdyś wybuchnęło oburzeniem i wielokrotnym: "Cóż za nikczemność!", teraz wyraża się bezdźwięcznym i bezsilnym: "Kanalie!" Albo podłym wykręceniem się: "To nie moja sprawa!", najczęściej zaś pokornym milczeniem. Pokorne milczenie! — oto gróźny znak, że życie zostało zaduszone. Czegoż innego oczekiwać na katordze, skoro i tak wiesz, że donikąd z niej nie uciekniesz.

Tak, jedynie śmierć otworzy nam drzwi ku wolności.

Przyznaję się, wielokrotnie chciałem odkręcić kurek od gażu, ale zatrzymywała mnie myśl, że ten oszust Kozłok natychmiast napisze o mnie wspomnienia: "A. A. Kornietow w muzyce i kaligrafii". Kozłok przestał zajmować się wywoływaniem amatorskich zdjęć i wyspecjalizował się w nowym rodzaju li-

terackim: w ślad za niezliczonymi pamiętnikami — główny kapitał emigracyjnej literatury — pierwszy zaczął pisać swoje — jakby to nazwać? — "szmacianki", tak, to słowo celnie określi jego plotkarską pamięć o nieboszczykach.

Ot i teraz, usadowił się, wystawił się na mnie, łapie każde moje słowo — wszystko mu jedno z jak bardzo przebitego serca te moje słowa, moje najbardziej gorzkie wyznania i, kto wie, czy nie rozpacz; w jego pośmiertnym słowie zawsze znajdują się wszystkie te paskudztwa jakie przyzwyczaili się mówić jeden o drugim, w ogóle to wszystko, co "mówią".

Tak ciągnie się nędzne życie. Toż to dzieje się we wspaniałym, olśniewającym Paryżu! Beznadziejne, żebracze życie, obwarowane żelaznymi datami i ostatnimi terminami: komorne, podatek, elektryczność, gaz, woda, ubezpieczenia, wszelkiego rodzaju rejestracje. I w tym katorżniczym życiu jedyne chwile, na których odpoczywają moje udrecone oczy: spotkania z dziećmi.

Najczęściej odbywają się w metrze. Witam się z nimi, zamieniamy spojrzenia, a jeśli się uda, rozmawiamy. Dzieci rozumieją wszystkie języki, wobec nich nie krępuje mnie moja wymowa, ani pesze się, jeśli zacznę mówić po rosyjsku. One także się mnie nie krępują. Jakże cieszę się zawsze, że się mnie nie boją, cieszę się, że czarne burze, targające mym sercem, jeszcze mnie nie porwały, że jest jeszcze jasność i spokój w moim sercu: przecież to dzięki tej jasności i spokojowi moje oczy nie przerażają. Lecz coraz częściej chwytam się na tym, że nasza wspólna katorga i mój osobisty dar, dzięki któremu nie tylko patrzę, ale widzę i nie zapominam, ten dar, który pozwala dostrzec katorgę pod powierzchnią olśniewającego Paryża — zadmuchują i gaszą ostatnie światło mego serca.

Szczurza porcja

"Crédit Municipal", czyli po naszymu lombard — jakąż znajoma prowadzi doń droga.

Przyniosłem dwie pikowe koldry, moskiewskie, przywiezione z Petersburga przed dwunastu laty, razem z wszelkiego rodzaju gałganami i łachmanerią, oraz nieuniknionym, zawsze starannie strzeżonym prymusem; koldry nieco podniszczone, ale jeszcze mocne, bez żadnej plamki. Cały czas bałem się, że mi za nie dadzą trzy franki, suma, na jaką ocenili niedawno zimowe, berlińskie, dziesięć lat mające palto, więc wzdygam się, gdy wywołano mój numer — ale nie, nie przesłyszałem się,

pięć franków. Uspokojony, usiadłem na ławce by czekać na wypłatę.

Kiedy jeszcze stał przed okienkiem, rozwijając koldry, ktoś tam na brzeżku usiadł, nogami huśtając, płacząc; od razu to poczułem, ale nie spojrzałem, a teraz widzę: szczur. Tak, to był młody, głodny szczur, umieścił się w sąsiedztwie okienka, pilnie przyglądając się fantom, a łapkami w powietrzu ciągle wymachuje; ale z żarciem jednak nie wyszło: właśnie zastawiały aparaty fotograficzne.

I oto weszła jakaś tam, a bardzo dziwnie szła, czy to że głowa ją bolała, czy też krepowała się czymś, albo, może, niebardzo chęć miała, czy, jak i ja przy wejściu, niespokojna była, że dać trzy franki, tak że po odliczeniu metra nic właściwie nie zostanie; i przysiadła na brzeżku ławki takim samym sposobem; dwie paczki ma ze sobą i jeszcze jakiś koszyczek, do cukierniczki podobny — wszyscy uwagę zwrócili, a szczur czujne oczy w nią wlepił.

Paczki były mocno zawiązane; marszcząc się, trzymała palce o wymalowanych, tłustych paznokciach w kształcie migdałów, a tu węża ani rusz. Ubrana była zbyt lekko — no, cóż, ciału na swobodzie jak w raj, przecież od dziennego znoju pod wieczór oddychać nie ma czym! — miała na sobie pistacjową suknię, tak do niej przylegającą, jakby prócz tej sukni niczego na niej nie było, jedynie szare jedwabne pończochy i pantofle ze sprzączkami. Na głowie wyblakła, na drutach robiona czapeczka, a i cała ona jakaś szara, z lekka podpunderwana, włosy malowane, z zielonkawym odcieniem. Nareszcie rozwiązała paczuszki — ujrzelśmy: jakiś materiał — coś bardzo miękkiego — jakieś kawałki koloru granatu: aksamit. Tak, aksamit, przekonałem się, patrząc na szczura na jego ślepiach które nagle rozbliły — i już widziałem krwawe mięso o cienkiej warstewce ciepłego tłuszczu — rumszytk. Osoba podała także i koszyczek: jakieś głupstewka, figurynki stoni i inne widokówki w wąskich ramach — ot, drobiazg pod osobną pozycję.

Aksamit ocenili, tak samo jak moje koldry, na pięć franków.

Wargi wykrzywił jej grymas i oczy nagle wypełniła pustka.

— Plamy i dziury! — wyjaśnił taksator.

A za figurynki stoni i widokówki — nic.

Jako nic? Osoba nie chciała zabierać koszyczka.

Wyszędł główny, tęgi jegomość o sztucznie wypchanych ramionach, okulary jak siodło na dziobie — a oczy i dziób pracują nieomylnie i jednocześnie. Przypomnił mi się lichwiarz z "Petersburskich zakamarków" — takiego nic nie wzruszy — i tego też nie wzruszyły ani drgające usta, ani puste oczy, białoszare jak wilcze jagody.

Z numerkiem i nieprzyjętym koszyczkiem usiadła na ławeczce.

"Skądże to? — z plaży?" — pomyślałem ni stąd ni zowąd, albo tak mi się sezon skojarzył z jej lekką pistacjową suknią.

— "A może prosto z dancingu? — nie, pewnie ją porzucił przyjaciel".

Nagle zmarszczyła się tak żałośnie, jakby chciała kichnąć, ale uznała, że nie wypada, i powstrzymała się.

"Oczywiście, porzucona. I ten aksamit barwy granatu — rumszytk — ostatnie, co pozostało: pięć franków".

Znów grymas wybiegł na twarz, ale inny niż przedtem, i palce o paznogciach, jak tłuste, malowane migdały, skrzyły się w dreszczu.

Nie ma niczego więcej do zastawu.

Zrobiło mi się jej bardzo żal. I wszystek jej los, jej opuszczenie, tak jakbym przyjął w siebie i, nie myśląc, nie zastanawiając się, przygarnąłem wezbranym nagle uczuciem, ani wiedząc dlaczego i czemu.

Poprawiła czapeczkę i, starając się wydać inną, podniosła się i, trzymając w obydwu rękach taki lekki koszyczek — figurynki stoni i widokówki — przesiadła się na inne miejsce.

Siedziałem plecami do niej, twarzą do szczura, a jednak widziałem ją, widziałem marszczącą się i roztrzęsioną, jeszcze bardziej poszarzałą pod moim spojrzeniem przez te kilka chwil. I tego uczucia — litości i żalu — nie mogłem się pozbyć.

Nie wiem, czy to odczuła, ale podniosła się nagle i usiadła na ławeczce naprzeciw.

Czymże mogę jej pomóc? — moja wartość jest też pięć frankowa. I cóż sprawi moje spojrzenie, choćbym je utysiać-krotnił? Czyż jestem w stanie, nawet gdybym przyjął w siebie wszystko przeżyte przez nią aż po ostatnią nieszczesną noc, a nawet aż po najcięższy świt dzisiejszego, nieznośnie znojnego dnia, czyż jestem w stanie zdjąć z niej tę zaturę?

Przestała marszczyć się — zamieniła się w kamień? — uspokoiła się?

I nagle przypomniałem sobie spojrzenie, jakim odprowadzała mnie nieznajoma kobieta, gdy pewnego razu, podniósłszy się spod samochodu, który na mnie najechał, stłamszony, potłuczony cały w siniakach a nade wszystko przestraszony, niepewnym krokiem szedłem do domu, a jej spojrzenie — pamiętam — jak wyciągnięte ręce. A niedawno w metrze — tamto spojrzenie również pamiętam — jakaś podniosła się i ofiarowała swoje miejsce — bardzo już byłem znużony.

Wywołał szczura. Podniosłem się również.

I gdy szczur pochylił się nad ladą, pokazując swoje "papierki", ujrzałem jak na jego grzbiecie jeży się szorstka szerść. Między łapkami uniósł swoje pięć franków, w jego ślepiach płonął apetyt, jak gdyby niósł do nory kawał sera. I ja po otrzymaniu mojej szczurzej porcji poszedłem, nie oglądając się do wyjścia.

W tej właśnie chwili do lombardu wchodziła kobieta z dziewczynką; dziewczynka została w tyle za matką, a ujrawszy mnie, przestraszyła się i pobiegła. Widziałem, jak matka ją woła i

uśmiecha się. "Czymże ją mogłem przestraszyć?" A nagle moje oczy spotkały się z tamtą: po otrzymaniu swej szczurzej porcji szła ku wyjściu.

Wyobrażam sobie jak pierzchały dzieci na widok Dostojewskiego, który miał "piekło w sercu i piekło w myślach".

Idąc korytarzami stacji Madeleine, spotkałem kobietę z dzieckiem przy piersi i jeszcze dwojgiem u boku: chłopiec i dziewczynka. Już ich zauważyłem, gdy jechał poprzednio: bez kropli krwi, jak liść, w czarnych okularach — serce mi się ścisnęło i, jak zwykle, zapytałem sam siebie: — Jakże to możliwe, żeby matki z dziećmi stały w korytarzach metra i prosiły o jałmużnę? — a rozszalone serce odpowiedziało mi, nie zastanawiając się, czy to pomoże czy nie, że nie ma innego sposobu na położenie kresu temu okrucieństwu, jak tylko wysadzić w powietrze te wszystkie korytarze. Lecz zaraz wspomniłem "Petersburskie zakamarki".

"A czy te dzieci są prawdziwe — zapytałem sam siebie — czy podstawione, wypożyczone?"

Przeklinając nędzę i oszustwo, wlokłem się moją czarną drogą. Zalewała mnie wszystka ohyda katongi, czułem ją niemal powonieniem. A może to zapach sera bił we mnie od szczurzej porcji? I nie było we mnie żadnego współczucia.

Dygocące, na wpół otwarte usta, wargi, które nie zawierają się nigdy — takiego miałem sąsiada w metrze — więc to jest człowiek? A ta — naprzeciw mnie — wyblakła, o oczach kolo-ro w wilczych jagód — to także człowiek? A ja sam — zwinęty w czarny kłębek — kim się mogłem wydawać — o tym już nie myślałem.

A. M. REMIZOW

Fragmety z niewydanej książki "Nauczyciel muzyki" (1923-1939).

Z rosyjskiego przełożył

Józef ŁOBODOWSKI.

Archiwum polityczne

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta "Kultury")

POLSKA PARTIA LIBERALNA?

Dlaczego nie istniała i zapewne nigdy nie powstanie Polska Partia Liberalna?

Osobiście jestem pewien, że znaczny procent wykształconych Polaków — zwłaszcza na Zachodzie — to są liberałowie. Nie zrzeszeni liberałowie. Wydaje mi się również, że jedną z zasadniczych przyczyn, która leży u podstaw niechęci liberałów do zrzeszania się — jest przekonanie, że w walce zarówno przeciw "jogom" jak i "komisarzom", liberałowie muszą ulec. Zbyt łatwo kapitulujemy przed fanatyzmem, choć historia uczy nas, że w większości spornych problemów zwycięstwo przypadało w końcu racjonalistom, liberałom, a nie fanatykom.

Słowo "liberał" w języku polskim mojego pokolenia ma nieprzyjemny podźwięk. Podkreślam w języku polskim mojego pokolenia, gdyż emocjonalne tonacje słów ulegają zmianom. Mój ojciec, który był lekarzem, uchodził w całej rodzinie za nieuleczalnego liberała. Określenie to w ustach moich stryjów i pobożnych ciotek dźwięczało niemal jak kłątwa. Gdy wysłano mnie do Chyrowa — co uważałem za łatwe do uniknięcia, niepotrzebne okrucieństwo — jedna z ciotek zapewniła mnie, że tak trzeba, bo inaczej wyrósłbym na "liberała".

Po 27 latach przypomniałem sobie tę scenę rodzinną, gdy w Rzymie, w 1946 roku, w czasie gorącej dyskusji w kasynie oficerskim oświadczyłem, że jako liberał nie podzielam opinii mojego oponenta. Moim przeciwnikiem w danej dyskusji był pełen temperamentu narodowiec. Na drugi dzień, pewien kapitan, zawodowy wojskowy i skądinąd najpocziwszy w świecie człowiek — spotkawszy mnie na korytarzu hotelowym ujął mnie pod ramię i tonem przyjacielsko-mentorskim zwrócił mi uwagę,

że określenie "liberał" nie licuje z mundurem polskiego oficera, o czym powinienem w przyszłości pamiętać.

Owa parafiańska niechęć do słowa "liberał" wywodzi się z ignorancji. Jeżeli o kimś mówi się, że jest "liberałem" to przeciętny Polak uważa, że ten "ktoś" jest ateistą, wolnomyślicielem, anarchista, radykalnym lewicowcem — krótko — elementem społecznie i państwowo niepożądanym.

W rzeczowości — jak słusznie zauważył Bertrand Russell — liberalizm jest nie tyle związany z tym w co się wierzy, tylko jak się wierzy. Liberalizm, jest w znacznie większym stopniu postawą kulturalną niż programem politycznym.

U swych podstaw, liberalizm jest filozofią a-dogmatyczną. Nauka nie uznaje niezmiennych poglądów, gotowa zawsze wycofać się z zajętego stanowiska pogładowego — jeżeli nowe doświadczenia i dowody wykażą, że poprzednie stanowisko było błędne. Odpowiednikiem poglądu naukowego w życiu praktycznym jest liberalizm. Tak, jak w świecie nauki o przyjęciu, czy odrzuceniu danej tezy, decyduje doświadczenie i dowody — tak w życiu społecznym odpowiednikiem tej empirycznej metody są rządy demokratyczne.

Nauka — liberalizm — demokracja — są związane ze sobą genetycznie i stanowią podstawę systemu naszej cywilizacji. Współrozwoj tych trzech elementów — zwłaszcza od końca XVII w. — ukształtował zachodni świat w którym żyjemy.

Wielu politykom i pisarzom i niemal wszystkim ex-komunistom liberalizm wydaje się synonimem dekadencji, upadku i anarchii. Charakterystyczny jest zwłaszcza antyliberalizm b. komunistów, których trawi tęsknota za jeszcze jedną, lepszą "nową wiarą". Ci ludzie, na dnie duszy pozostali wyznawcami, którzy szukają nowych proroków. Konsekwentny wśród nich okazał się jedynie Douglas Hyde, który został katolikiem.

Gdy czyta się wyznania b. komunistów jak np. "The Age of Longing" Koestlera — przychodzi na myśl walijskie przysłowie, że "emigranci nigdy nie wracają". Ci ideowi emigranci nie powrócili do nas zachodnimi europejczykami. Zawisli pomiędzy utraconym rajem sowieckiej utopii, a dawną ojczyzną, której już nie rozumieją.

Ex-komuniści i bardzo znaczny procent pisarzy emigracyjnych — polskich, czeskich, węgierskich itp. — reprezentuje antyliberalny pogląd, że sowieckiej "nowej wierze" trzeba przeciwstawić zachodnią "wiarę". Zwolennicy tego poglądu sądzą bowiem, że siłą Sowietów jest ich totalna, dogmatyczna wiara. By się oprzeć tej wierze i zwalczyć ją, trzeba samemu wierzyć w jakąś równie potężną doktrynę.

Jednym słowem, obóz ten (zresztą liczny) — świadomie, czy nie świadomie chciałby konflikt z Sowietami przemienić w świecką wojnę religijną.

Wydaje mi się, że jest to teoria błędna — antyliberalna i antyeuropejska. Sowietom musimy przeciwstawić nie nowe świeckie dogmaty i ideologie lecz — rozum i plan.

Historia wprawdzie nie powtarza się, lecz dla pisarza politycznego studium historyczne spełnia poniekąd rolę laboratorium — historia jest bowiem rejestrem politycznych doświadczeń. Otóż gdy przestudujemy na tle wydarzeń historycznych zagadnienie: liberalizm-racjonalizm contra dogmatyzm i despotyzm — przekonamy się, że zwyciężał zawsze liberalizm i rozum.

Gdy na krótko przed wojną przyglądałem się w Berlinie pochodom hitlerowców, wydawało mi się, że nikt nie oprze się tym sfanatyzowanemu masom. Lecz gdyby owe masy niemieckie były nie fanatyczne, totalistyczne — lecz demokratyczne i liberalne — świat współczesny wyglądałby prawdopodobnie inaczej. Z liberalnych demokratycznych Niemiec nie uciekałby Einstein, oraz inni wybitni uczeni i liberalne Niemcy miałyby prawdopodobnie pierwsze w świecie bombę atomową. Natomiast totalne, dogmatyczne Niemcy, totalne Włochy i totalna Japonia legły w gruzach — pokonane wiedzą, która kwitnąć może tylko w demokratycznym, liberalnym ustroju.

Tam, gdzie nie ma wolności naukowego badania, wolności krytyki, a co za tym idzie wolności przekonań — nie może być mowy o prawdziwej potędze. Dziś jedyną potęgą jest nauka, a nauka udogmatyzowana przestaje być nauką.

◆
Nie mieliśmy partii liberalnej, albowiem na ustrój i temperament polityczny wpływają warunki geopolityczne.

Na statku handlowym, który nie podlega przecież przepisom wojskowym panuje ustrój daleki od demokracji. Lecz nawet dziś, w epoce radia i radaru niebezpieczeństwa związane z żeglugą są tak duże, że na statku panować musi forma rządu "silnej ręki". Podobnie było u nas. Byliśmy w stanie ustawicznego zagrożenia, zarówno od strony Niemiec jak i Rosji i w takich warunkach rządy "silnej ręki" liczyć mogą zawsze na zwolenników.

Pamiętam kiedyś jeden z moich przyjaciół Anglików zauważył w dyskusji z przekąsem, że Polacy są nacjonalistami. Odpowiedziałem mu wówczas: mój drogi, nacjonalistą bywa się przeważnie z musu!

Na zagrożenie organizmu naród odpowiada wzmocnieniem poczucia nacjonalnego. Stan chronicznego, trwałego zagrożenia powoduje po pewnym czasie przerosty nacjonalizmu. Jest nonsensem walczyć z objawami choroby jeżeli nie można usunąć jej przyczyn.

Osobiście jestem pewien, że gdyby kiedyś świat został sprawnie zorganizowany, a Polska była jedną z federalnych republik europejskich, której znikąd nie zagrażałaby zagłada — Polacy przestaliby być nacjonalistami.

Liberalizm jest niewątpliwie filozofią pokojową, która kwitnąć może w normalnych i zdrowych warunkach. Jednak warto może zwrócić uwagę na innego jeszcze wroga liberalizmu, który zrodził się również z poczucia zagrożenia. Mam na myśli prąd, który nazwałbym "konserwatyzmem przejściowym".

Kiedyś w Polsce rozmawiałem z wybitnym rządowym politykiem. W pewnej chwili padło słowo: Bereza. Ów pan powiedział wówczas: "Nikt tego rodzaju instytucji nie pochwała. To jest zarządzenie przejściowe, którego jednak w chwili obecnej nie można skasować".

Obecnie w Anglii istnieje szereg ograniczeń, które datują się z czasów wojny. Utrzymuje je w mocy — mimo licznych protestów — "konserwatywny przejściowy" socjalistyczny rząd.

"Konserwatywny przejściowy" idzie czasem bardzo daleko. Bertrand Russell w "The Scientific Outlook" — daje wyraźnie do zrozumienia, że są uczeni brytyjscy, którzy w poczuciu zagrożenia cywilizacji przez Sowiety — wysuwają obecnie pewne pojedyncze koncepcje pod adresem teologów anglikańskich — wierząc, że scharmonizowanie poglądu religijnego z poglądem naukowym, umocni w chwili obecnego kryzysu szaniec cywilizacyjny Zachodu.

Kiedyś, gdy świat wróci do normy, będzie niewątpliwie pasjonującym studium dla socjologa wysledzić jaki wpływ na naszą współczesną psychikę i na stworzone przez nas instytucje wywierało poczucie zagrożenia.

Osobiście, jestem przekonany, że w obecnym konflikcie najmocniejszymi atutami Zachodu i Ameryki są: wiedza, liberalizm, demokracja. Sowieckiej autorytatywnej "nowej wierze" przeciwstawić można jedynie nieskrępowany, racjonalny pogląd na świat. Ci, którzy wołają, że potrzeba nam jakiejś "doktryny" nie rozumieją cywilizacji, której pragną bronić. Jestem z wielkim podziwem i uznaniem dla Koestlera, ale wydaje mi się, że jest on większym i głębszym znawcą komunizmu, niż cywilizacji zachodniej.

Nasza cywilizacja nie jest już dziś oparta o jakiś jednolity system doktrynalny. Niewątpliwie przejęła tak wiele z chrześcijaństwa, że z zachowaniem naukowej ścisłości można ją określać mianem cywilizacji chrześcijańskiej. To określenie jest bardziej ścisłe jeżeli mamy na myśli Zachód europejski — mniej ścisłe w odniesieniu do Ameryki. Według "Christian Herald" w St. Zjednoczonych tylko 55,9% ludności przyznaje się do "jakiegokolwiek wiary w Boga". Wniosek stąd, że niemal połowa mieszkańców Stanów Zjednoczonych obywateli się w ogóle bez jakiegokolwiek religii.

Patrząc wstecz, można przyjąć, że obecny charakter naszej cywilizacji zaczął zarysowywać się pod koniec XVII w. Prace Locke'a (jego "An Essay concerning Human Understanding" ukazał się równocześnie z Newtona "Principia") — czyni go jednym z współtwórców osiemnastowiecznego liberalizmu. Chyba nigdy przedtem filozofia i polityka nie były z sobą tak ściśle związane. Z tej harmonii teorii i praktyki wyrosły Rewolucja angielska z 1688 r., amerykańska z 1776 i francuska z 1789. Z tej harmonii wyrosła demokracja, tolerancja religijna,

wolność badań i przekonań — co w rezultacie przyniosło olbrzymi postęp nauki i epokowe odkrycia w XIX i XX wieku.

Cywilizacja zachodnia tak ukształtowana, jest cywilizacją naukową, racjonalistyczną i liberalną. Zanik liberalizmu doprowadzić by musiał w konsekwencji do upadku nauki i barbarzyństwa. Kto walczy przeciwko liberalizmowi, walczy przeciwko istocie zachodniej cywilizacji.

Komunizm sowiecki ma swoje dogmaty i autorytatywną ideologię. Ma swoją doktrynalną wizję i dzięki temu fałszuje stale rzeczywistość w interesie teorii.

Cywilizacja zachodnia, nie ma analogicznych artykułów do zaofierowania. Jeżeli ktoś odczuwa głód tych elementów i zwraca się ku Zachodowi — myli się w adresie.

Motorem najwyższej instytucji cywilizacji zachodniej tj. wolnej Nauki — jest dążenie do poznania prawdy. Dlatego obca zachodniej myśli jest wszelka dogmatyczna statyka poglądów, gdyż proces poznania, badań i dociekań trwa nieprzerwanie. Zachodni człowiek pragnie znać prawdę, choćby obraz świata podawany przez naukę miał być tak ponury, jak maluje go Bertrand Russell w swych filozoficznych essayach.

Z tego charakteru cywilizacji zachodniej wynika jasno, że również w aspekcie socjalnym i politycznym zachodni człowiek opiera się na doświadczeniach i studiach, a nie na apriorystycznych pewnikach.

Instytucje demokratyczne Zachodu powstały na żmudnej drodze "trial and error" i znajdują się w ustawicznym ruchu i ewolucji.

Ex-komuniści, a również w dużej mierze i pisarze emigracyjni, których komunizm odciął od kraju i swojszczyzny — tęsknią za "opoką", na której można by się oprzeć. Nie mogąc doszukać się owej epoki — w rozgoryczeniu i rozpaczce odmawiają cywilizacji zachodniej wszystkiego, biją na alarm dowodząc, że zachód ginie, topiąc się we własnych podłościach i niemocy.

Jeżeli by ktoś wszedł do bogato zaopatrzonej apteki i zażądał środka na raka — prawdopodobnie lekarstwa takiego by nie otrzymał. Nie oznacza to jednak, że apteka jest zła i grozi jej ruina i upadek.

Opoki nie ma w cywilizacji zachodniej. Przeciwnie, w sensie metafizycznym pozostawia ona człowieka jego własnemu niepokojowi, konfrontując go z długą litanią nierozwiązanych zagadnień.

Na zachodniego człowieka nie wywiera natomiast nikt nacisku by wierzył w rzeczy, których nie można poprzeć dowodami. Każdy z nas ma możność śledzenia wysiłków nauki zmierzających do obiektywnego ustalenia faktów i przyczyn.

Filozofia Zachodu nie daje jednostce tego oparcia, co system filozofii komunistycznej. Komunizm sowiecki zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Wierzący komunista nie jest nigdy samoty, ani nigdy nie wątpi.

Studiując filozofię Zachodu, człowiek odkrywa pełnię grozy

ludzkiej samotności i uczy się trudnej sztuki nie oszukiwania samego siebie.

Racjonalistyczny Zachód z całą pewnością nie stworzy konkurencyjnej "Nowej Wiary" — dogmatom komunistycznym nie przeciwstawi dogmatów własnej produkcji.

Tęsknota za autorytetem, za monolityczną ideologią, za mitem i wizją, za zdolnością wierzenia, za metafizycznym dreszczem — pozostanie domeną Wschodu i Azji.

Ponieważ Polacy żyją na wielkim działym wodnym dwóch cywilizacji — między rosyjskim wschodem, a europejskim zachodem — w każdym z nas tkwią odpryski tych tęsknot. I może dlatego najtrudniej nam jest oddychać Zachodem przebywając na Zachodzie.

Wydaje mi się, że na Placu Czerwonym w Moskwie czułbym się do szpiku kości człowiekiem Zachodu. W Londynie — w sercu zachodniej cywilizacji, jakże często czuję się zagubiony i obcy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

List z Niemiec

Dłuższy pobyt w Niemczech stanowczo utwierdza w przekonaniu, że tu jest najciekawszy teren polityczny Europy. Tysiąc-kilometrowy styk z Żelazną Kurtyną; enklawa berlińska; dwa państwa niemieckie: zachodnia "Bundesrepublik" i wschodnia "Deutsche Demokratische Republik"; dwie armie niemieckie: już zmontowana w "D.D.R." i dopiero montująca się w Zachodniej Republice Związkowej; usamodzielnianie się niemieckiej polityki wewnętrznej z jednoczesnym odradzaniem się własnej polityki zagranicznej; ścieranie się w Niemczech najprzeróżniejszych wpływów i dążeń sąsiadów zachodnich i zaoceanicznych. Cóż za obfitość zagadnień!

W czasach zimnej wojny narzędzia gorącej stają się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Jak więc wyglądają obie armie niemieckie? O wschodniej, ukrytej pod nazwą "Volks-Polizei", a zasłoniętej kurtyną i to "żelazną", oficjalne wiadomości są skąpe i raczej gmatwujące obraz rzeczywistości, jednak na podstawie przenikających informacji możemy przyjąć że:

— Łączna liczebność wszystkich formacji przekroczyła sto tysięcy.

— Wyszkolenie i wartość bojowa z pewnością nie ustępują w niczym wyborowym armiom zachodnim.

— Wyposażenie techniczne — najlepsze na jakie stać Związek Sowiecki.

— Armia ta posiada doskonałą kadre podoficerską, ukształtowaną według utartych pruskich wzorów. Natomiast kadra oficerska w porównaniu z dawnym "Wehrmacht'em" odbija znacznie niższym przeciętnym poziomem intelektualnym. Czy to jednak zmniejsza jej wartość użytkową? Wydaje się że nie. Do osiągnięcia celów, dla jakich ta armia jest przeznaczona, oficer-intelektualista jest tylko przeszkodą.

— W armii wschodnio-niemieckiej nie spotyka się odpowiednika tzw. "Papa" z wojsk Rokossowskiego. Lecz brak Sowietarzy "pełniących obowiązki Niemców" wcale nie znaczy, że dowództwo leży w rękach niemieckich. W dowództwie są i Niemcy, lecz dowodzą wyłącznie Sowietczycy.*)

Reasumując, wschodnia armia niemiecka, jak i cała "Deutsche Demokratische Republik", jest dla Kremla określonym instrumentem uplanowanego działania. Dla Niemiec Zachodnich "Volks-Polizei" jest niebywale skomplikowanym zagadnieniem przede wszystkim politycznym.

Zachodnia Republika Związkowa dotychczas żadnej armii w pełnym tego słowa znaczeniu nie posiada. Wprawdzie wokół spraw tzw. Policji Związkowej i Straży Granicznej było czynione wiele wrzawy, jednak obie te organizacje są naprawdę przeznaczone do zadań odpowiadających ich nazwom, a liczebność ich nie przekracza rzeczywistych potrzeb. Istnieją też niemieckie bataliony wartownicze, które powstały początkowo pod nazwą Policji Przemysłowej, a wzrastały ilościowo w miarę kurczenia się polskich kompanii wartowniczych. Wartownicy niemieccy nie przechodzą żadnego szkolenia, poza lekkim karabinem nie posiadają żadnego innego uzbrojenia, skoszarowanie jest połowiczne (można zgłaszać się na służbę jak do roboty w fabryce), przeto nie można ich traktować nawet jako parawojskowej organizacji. Jest to półcywilna służba pomocnicza armii okupacyjnej. Co najwyżej można by dopatrywać się w tak zwanych "batalionowych sekcjach łącznikowych" zaczątków kadry dowódczej ewentualnych przyszłych batalionów liniowych.

Natomiast Niemcy Zachodnie zdołały stworzyć ośrodek kryształizacyjny przyszłego naczelnego dowództwa, może i kontrolowanego przez okupantów, tym niemniej własnego, reprezentującego niemiecką a nie inną rację stanu. Otwiera to możliwość odbudowania armii narodowej, a już sama taka możliwość stanowi decydującą przewagę Republiki Związkowej nad wschodnią DDR.

Mimo dość poważnej propagandy antywojskowej, rozpętanej w Niemczech Zachodnich, wydaje się bardzo prawdopodobne, że właśnie to przyszłe Naczelne Dowództwo będzie decydować

* Terminu "Sowietczyk" użyto w celu podkreślenia, że to wcale nie muszą być Rosjanie, lecz obojętnej narodowości ludzie bezapelacyjnie posłuszni reżimowi.

przede wszystkim o wyborze: z Zachodem czy z Sowietami, a następnie będzie ustalać stosunek armii i być może całej polityki niemieckiej do wszystkich sąsiadów, zwłaszcza wschodnich.

Sformułowanie jakiegokolwiek mniemania o takim ośrodku jest i trudne i ryzykowne. Choćby tylko z racji na bezosobowość wszelkich działań sztabowych. Jednakże już to, co podaje prasa niemiecka, pozwala podchwycić niektóre momenty charakterystyczne.

Od szeregu miesięcy w prasie tutejszej często figurują nazwiska dwóch generałów, reprezentujących niemiecki punkt widzenia w trwających na Petersbergu od stycznia rb. obradach przedstawicieli wojsk alianckich i rządu Zachodnich Niemiec. Publikowane były również ich życiorysy.*) Zestawiając te publikacje z ciekawą pracą Waltera Goerlitz'a "Niemiecki Sztab Generalny 1657-1945", można sądzić, że w przyszłym niemieckim sztabie generalnym punkt ciężkości przesunie się z kastowego zawodowego generała na dziedzicznego intelektualistę. To chyba nie sam tylko przypadek, że "Bliźniaki z Petersbergu", jak swych przełożonych familiarnie ochrzcili najbliżsi współpracownicy, obaj są synami profesorów, obaj są autorami interesujących opracowań historycznych, a jeden z nich jest wykładowcą uniwersyteckim.

Oczywiście najbliżsi współpracownicy obu generałów są anonimowi. Generalstabsoffiziere haben keinen Namen" (oficje sztabowi nie mają nazwisk). Nie publikuje się ich nazwisk, ani stopni, ani funkcji, ani ilości. Ale osobistości zwierzchników sztabu już mogą w dużej mierze charakteryzować i tych "anonimowych".

Na razie jest to zaledwie ośrodek krystalizacyjny mogącego powstać w przyszłości Naczelnego Dowództwa. Od takiego stanu rzeczy do utworzenia własnej armii narodowej — droga jeszcze

*) Hans Speidel. Urodzony w roku 1897 roku. Syn profesora uniwersytetu. Do wojska wstąpił w 1914 roku. Nie przerywając służby wojskowej ukończył studium historii i ekonomii społecznej uzyskując stopień doktora filozofii. W wojsku, w sztabie generalnym, awansował bardzo szybko i już w 1930 roku został generałem. Należał do bliskich współpracowników gen. pik. Beck'a. Swą błyskotliwą karierę wojskową skończył na stanowisku szefa sztabu grupy armii feldmarszałka Romm'a. Wkrótce po zamachu lipcowym w 1944 roku razem z feldmarszałkiem był odsunięty od służby. Od kilku lat wykłada historię nowoczesną na uniwersytecie w Tuebingen (Stuttgart). Przyjaciele generała twierdzą, że ambicją jego jest osiągnięcie tytułu profesora, a nie choćby najwyższego dowódcy wojskowego. Faktem jest, że pomimo uciążliwych rokowań na Petersbergu, generał dotychczas nie opuścił żadnego wykładu w Tuebingen. W 1949 roku opublikował interesującą pracę historyczną "Invasion 1944".

Adolf Heusinger. Również syn profesora uniwersytetu. Również 54-0 letni. Również szybko awansujący do stopnia generała porucznika. Od początku wojny pracował w oddziale operacyjnym "Oberkommando des Heeres". Ze służby został usunięty bezpośrednio po zamachu lipcowym, choć nigdy nie udowodniono mu udziału w spisku. W ostatnich latach swej służby był szefem oddziału operacyjnego OKH. W 1950 roku ogłosił książkę pod tytułem "Befehl im Widerstreit".

dość daleka. Jednakże pierwszy krok, może najważniejszy, został postawiony.

Z punktu widzenia polityki ogólnoniemieckiej osiągnięcie to jest bez porównania ważniejsze niż cała armia "Volks-Polizei" z jej tankami, samolotami, niemieckim żołnierzem, lecz sowieckim dowództwem.

Dalszym doniosłym osiągnięciem Niemiec Zachodnich jest zdobycie niemal kluczowego stanowiska w informowaniu Zachodu, w pierwszym rządzie U.S.A., o sytuacji politycznej, gospodarczej i militarnej całego obszaru zakurtynowej Europy środkowo-wschodniej.

W tym kierunku sytuacja Niemiec ukształtowała się korzystnie. Ogromny teren "Deutsche Demokratische Republik", zaludniony przez ponad 20 milionów Niemców, w znacznej większości nie poddających się sowietyzacji, — ogromne masy przesiedlonych ze Wschodu, znających języki, stosunki i warunki krajów satelickich, — ogromne ilości ludzi wyszkolonych w czasie wojny do służby informacyjnej na wschodzie — wszystko to razem wzięte spowodowało, że Zachód chętnie dzisiaj popiera różne inicjatywy tutejsze i chętnie posługuje się niemieckim pośrednictwem w zbieraniu wiadomości spoza kurtyny.

Fakt ten, aczkolwiek wyślizgujący się z kręgu zainteresowań prasy i pobieżnej zewnętrznej obserwacji życia Niemiec powojennych, aczkolwiek powstały bardziej przez zbieg okoliczności niż przez czyjąś konsekwentnie uplanowaną politykę — może okazać się kapitalnym uzupełnieniem przyszłego Naczelnego Dowództwa i może mieć doniosłe znaczenie w decyzjach Zachodu, zwłaszcza tego zaoceanicznego, tyjących ustosunkowania się do środkowej i wschodniej Europy.

Zagadnienia polityczne i gospodarcze sąsiadów wschodnich i południowych, bliższych i dalszych — od dawna były w Niemczech przedmiotem szerokiego zainteresowania. Już za czasów Bismarcka zaczął rozwijać się specjalny dział nauk, obejmujący historię, geografie, ekonomię i socjologię krajów wschodniej i południowo-wschodniej Europy. Już wówczas kilka niemieckich wyższych uczelni wprowadziło odpowiednie studia mające służyć potrzebom polityki zagranicznej i gospodarczej.

Po roku 1918 powstały liczne specjalne towarzystwa badawcze i wydawnicze, jak np. "Osteuropa Gesellschaft", "Norddeutsche Forschungsgesellschaft", a poza tym zmontowano cały szereg zakładów badawczych, posiadających prawa wyższych uczelni, mianowicie:

- "Institut fuer Osteuropaische wirtschaf" w Królewcu;
- "Ost Institut" we Wrocławiu;
- "Sued-Ost-Institut" w Lipsku;
- "Sued-Ost-Institut" w Monachium.

Za czasów III Rzeszy uniwersytet berliński wydzielił "Auslandswissenschaftliche Fakultat", którego głównym zadaniem

było badanie krajów wschodnich. Również w Berlinie założono znany "Wannseeinstitut", przeznaczony wyłącznie do badań wszelkich problemów dotyczących Związku Sowieckiego. Po zajęciu Austrii i Czech utworzono jeszcze dwa studia wschodnie: przy uniwersytetach w Wiedniu i Pradze.

W warunkach III Rzeszy wszystkie te instytuty zostały przekształcone w narzędzie agresywnej polityki partii hitlerowskiej, przy czym wiele było przykładów nadużywania dobrego imienia znanych naukowców niemieckich. Podczas wojny zyskały sobie one fatalną opinię, zwłaszcza u wielu wschodnich sąsiadów Niemiec. Przypisywano im ojcostwo szeregu pomysłów, których epilog rozegrał się w Sądach Norymberskich.

Dlatego zrozumiałe jest zainteresowanie, często przechodzące w wyraźny niepokój, z jakim wschodni sąsiedzi Niemiec obserwują powstające w Republice Związkowej nowe Instytuty Wschodnie.

Po totalnej katastrofie III Rzeszy w 1945 roku wszystkie istniejące wówczas instytuty (z wyjątkiem monachijskiego, zamkniętego po kapitulacji przez władze) znalazły się w zasięgu sowieckiej okupacji i po prostu przestały istnieć, zdawało się bezpowrotnie. Tymczasem w początkach 1950 roku uruchomiono w Marburgu instytut wschodni pod nazwą "Herder-Institut", a w sierpniu 1951 roku rząd Bawarii, przy poparciu Rządu Związkowego, zatwierdził ponowne uruchomienie w Monachium "Południowo-Wschodniego Instytutu". W Stuttgarcie istnieje już "Gesellschaft fuer Studium Ost-Europa", projektujące w najbliższym czasie rozpocząć wydawanie periodyku pn. "Zeitschrift fuer Ost-Europa Kunde". Marburg posiada jedną z najlepszych w dzisiejszych Niemczech bibliotek specjalnych, obejmującą między innymi około dziesięciu tysięcy tomów dotyczących historii Rosji. Monachium ma do dyspozycji nie mniej ciekawe archiwa i księgozbiory.

Jakim celom mają służyć te Instytuty? Pytanie oczywiście nie dotyczy fasady. Nie o urzędowe programy idzie, choć i one mają swoją wielką wymowę. Interesujące są kulisy i ewentualne dodatkowe, nieoficjalne zadania.

Odpowiedź pewno znajdzie się pomiędzy dwoma skrajnymi możliwościami, — oba Instytuty będą szukać wszechstronnie najdogodniejszych form współżycia kulturalnego i gospodarczego Niemiec z ich sąsiadami wschodnimi i południowo-wschodnimi, albo — oba Instytuty pokuszają się o wynajdywanie jakichś skuteczniejszych recept na odwojowanie poniesionych w ostatnim półwieczu strat i może dowojowanie jeszcze dodatkowych zysków.

Wertując prasę niemiecką, zestawiając wypowiedzi różnych działaczy i polityków, słuchając rozmów przeciętnego inteligenta niemieckiego — trzeba wnioskować, że obie skrajności znajdują swych wyznawców we wszystkich warstwach społecznych. O jakimś wyrównaniu opinii trudno tu dziś mówić. Trudno nawet zorientować się w jakiej mierze przyływ rewizjonizmu jest tylko

chwytym wewnętrzno-propagandowym, a w jakim stopniu wykładnikiem zbiorowej woli, podniecanej względnie pomyslną koniunkturą polityczną.

Niemniej trudno przewidzieć czym okażą się w przyszłości te Instytuty. Czy staną się tylko narzędziami tradycyjnej polityki, czy też same stworzą ośrodki koncepcyjne niemieckiego renesansu politycznego. Tak czy inaczej, mogą one wywrzeć niepomniernie większy wpływ na przyszłe ukształtowanie się stosunków w środkowo-wschodniej Europie niż szereg innych imprez politycznych hałaśliwie reklamowanych.

Dla nas, jako mocno zainteresowanych sąsiadów, najciekawsze będzie w najbliższej przyszłości ustosunkowanie się niemieckich Instytutów i Towarzystw Wschodnich do odpowiednich instytucji istniejących na Zachodzie Europy, a zwłaszcza do licznych naukowców reprezentujących narody "zakurtynowe", a znajdujących się na emigracji.

Na marginesie tej sprawy ciekawe być mogą niektóre dane statystyczne, dotyczące niemieckiego potencjału naukowego, związanego z badaniami wschodniej i południowo-wschodniej Europy. Jak już mówiliśmy, wszystkie Instytuty, pokrewne im Towarzystwa, wydawnictwa itd. znalazły się w sowieckim zasięgu. Archiwa, biblioteki i inne ważne akcesoria uległy przeważnie zniszczeniu. Pozostał jednak i znalazł się w Zachodnich Niemczech dość liczny zastęp profesorów i docentów, specjalizujących się od zarania swych studiów w badaniach wschodu i południa Europy.

W cyfrach: w Republice Związkowej przebywa obecnie 50 profesorów i 10 docentów ze zlikwidowanych w 1945 roku Instytutów. Według specjalności: 19 historyków, 13 filologów, 6 ekonomistów, 5 kulturologów, 4 prawników, 3 socjologów. Wśród lektorów: 9 filologów i 1 socjolog.

Większość tych sił naukowych już znalazła zatrudnienie przy wyższych uczelniach Niemiec Zachodnich, pozostaje jednak dalej 13 profesorów "bezrobotnych", a między nimi: 7 historyków, 4 ekonomistów, 1 prawnik, 1 kulturolog. Średni wiek już pracujących 37 profesorów wynosi 55 lat, zaś 13 jeszcze niepracujących — 52 lata.

Zagadnienie przyływu nowych sił stanowi nie małą troskę inicjatorów, jednakże tylko troskę, a nie problem nierozwiązalny.

Mówiąc o zagadnieniach wschodnich w Niemczech, trudno nie wspomnieć o emigracji rosyjskiej i o obecnych stosunkach niemiecko-rosyjskich. W "Bundesrepublik" znajduje się spora ilość Rosjan, "starych" emigrantów, a także pewna ilość Niemców, emigrantów z Rosji, którzy właściwie tylko z paszportu i języka są Niemcami. Drobnym ten szczegół nie jest pozbawiony znaczenia. Poza tym przebywa tu jeszcze trzon nowej emigracji z czasu wojny, a "najnowsza" emigracja, ta z okresu już po rezygnacji Amerykanów z flirtu sowieckiego, przebywa i

wciąż jeszcze przybywa niemal wyłącznie na teren Niemiec Zachodnich.

Solidaryści rosyjscy (Nacjonalno - Trudowej Sojuz — N.T.S.) mają tutaj zwartą organizację, liczącą tysiące członków i dysponującą poważną prasą, sięgającą nawet za kurtynę. Związek Walki o Oswobodzenie Narodów Rosji (Sojuz Bor'by za Oswobodzenie Narodów Rossiji — S. B. O. N. R.), grupujący największą ilość "najnowszych" emigrantów, posiada własną organizację wojskową (Sojuz Woinow Oswoboditelnowo Dwiżenja — S.W.O.D.), liczącą kilka tysięcy członków, zwartą i sprężyste dwudzoną.

Monarchiści utracili wprawdzie wiele ze swych wpływów wśród tutejszej emigracji, posiadają jednak wciąż wielu zwolenników, nawet między "najnowszymi" uchodźcami, a także wyraźne sympatie niektórych sfer niemieckich.

Dowodem jak wielką wagę przywiązują emigranci rosyjscy do niemieckiego terenu niech posłuży krótko lista ważniejszych polityków, jacy odwiedzili ten teren w czasie od stycznia do września 1951 roku. Wystarczy jeśli wymienimy: Wielki Książę — uważany przez monarchistów za następcę tronu; B. Nikołajewskij z USA — domniemany minister spraw zagranicznych projektowanego rządu emigracyjnego; W. Bajdałakow z USA — wódz solidarystów; S. Mielgunow z Paryża — leader "Związku Walki o Wolność Rosji", prof. I. Kurganow oraz A. F. Kiereńskij — obaj z USA, obaj liderzy niedawno zmontowanego "Rosyjskiego Ruchu Narodowego". Niektórzy z wymienionych, i cały szereg niewymienionych polityków rosyjskich, już dwukrotnie w tym roku zjeżdżali do Niemiec aż zza oceanu.

Rezultatem takiej aktywności była (ogłoszona 20. VIII. 51) zapowiedź utworzenia koordynacyjnego centrum politycznego pod nazwą "Sowiet Oswobodzenia Narodow Rossiji", do którego mają wejść: 1°. "Liga Bor'by za Narodnuju Swobodu" (USA — B. Nikołajewskij), 2°. "N.T.S.", 3°. "Rossijskoje Narodnoje Dwiżenje" (USA — Kiereńskij), 4°. "S.B.O.N.R.", 5°. "Sojuz Bor'by za Swobodu Rossiji" (Francja — Mielgunow).

Do projektowanego "ośrodka koordynacyjnego" wcale nie zapraszano monarchistów. Wywołało to oczywiście falę oburzenia w całej prasie rosyjskich monarchistów, a osoba niefortunnego ostatniego legalnego premiera Rosji, A. F. Kiereńskiego, stała się tematem zaciekłych ataków i złowróżbnych przewidywań. Monarchiści twierdzą, a tzw. koła dobrze poinformowane wcale temu nie przeczą, że zjednoczenie tych pięciu grup powstało tylko z racji na korzyści materialne, że gdy obfity dopływ amerykańskich dolarów osłabnie, lub w ogóle ustanie, albo zechce zmienić kierunek — "Sowiet Oswobodzenia Narodow Rossiji" skończy niesławnie swój uzależniony żywot. Może tak, może nie — trudno prorokować. To sprawa zainteresowanych pięciu grup politycznych. Mówiąc o Niemczech, obchodzą nas przede wszystkim stosunki niemiecko-rosyjskie, a dla tych stosunków

ostatnie hałaśliwe zjazdy rosyjskie w Niemczech nie pozostają bez znaczenia.

Może to tylko przypadek, ale do czasu pierwszego z serii tych zjazdów (luty 1951, w Fuessen, w Bawarii) głucho jakoś było w Niemczech na temat stosunków z Rosją i emigracją rosyjską. Ale w trzy miesiące po tym zjeździe powstał w Berlinie "Freiheitsbund fuer Deutsch-Russische Freundschaft" (Wolnościowy Związek Niemiecko-Rosyjskiej Przyjaźni). Założycielem tego Związku jest organizacja znana pod nazwą "Kampfgruppe gegen Unmenschlichkeit" (Związek Walki z Nieludzkością). W początkach lipca rb. odbył się w Monachium uroczysty zjazd związku tej przyjaźni. W przemówieniu inauguracyjnym przewodniczący Reiner Hildebrandt określił podstawowe cele Związku w następujących skrótach:

- Informowanie "tamtej" strony o sytuacji, planach, zadaniach i celach "tej" strony.
- Udzielanie pomocy nowym uchodźcom rosyjskim.
- Współpraca kulturalna emigracji rosyjskiej z Niemcami.
- Wydobywanie z izolacji politycznej rosyjskich emigrantów.
- Wspólne przygotowanie przyszłości.

Zjazd został zakończony wspaniałym pod względem swady, formy i języka przemówieniem Nadburmistrza Zachodniego Berlina — Reutera. Najciekawszym momentem tego przemówienia było stwierdzenie, że: Stany Zjednoczone nie zdecydowały się na przewodzenie światu, jest przeto miejsce dla inicjatywy europejskiej. Inicjatywa taka winna być podjęta przez Niemcy i Rosję, co dopiero pozwoli uporządkować całą Europę. Pan Nadburmistrz Berlina nic nie wspominał o pierwowzorach niemiecko-rosyjskiego porządkowania Europy. Nie wspominał ani o dawniejszej historii, ani o Rapallo, ani o układzie Ribbentrop-Mołotow, miejmy więc nadzieję, że miał na myśli najszerszej pojętą Zjednoczoną Europę.

Na kilka dni przed lipcowym zjazdem Związku Przyjaźni Niemiecko-Rosyjskiej odbyło się w Monachium inne zbranie o charakterze z lekka konspiracyjnym. Tajność nie była tak ścisła by o zebraniu nie szeptano dość głośno i szeroko, lecz wystarczająca, by przeszkodzić bliższemu zorientowaniu się w jego celach. Podobno zdecydowano założyć "Deutsch-Russische Gesellschaft". Takie po prostu niemiecko rosyjskie towarzystwo, bez jakichkolwiek dodatkowych przymiotników i określeń. Cele? — Pomijając szept i plotki, można przypuszczać, że chodzi o jakieś bardzo specyficzne poczynania, których treść i sens dopiero czas będzie mógł wyjaśnić.

Na tle takich inicjatyw mogą wydawać się niezrozumiałymi sceptyczne na ogół głosy prasy niemieckiej w stosunku do "Sojuza Oswobodzenia Narodow Rossiji", a wręcz nieprzychylnie i uszczypliwe do osoby A. F. Kiereńskiego, najgłośniejszego z firmantów tego Sojuzu.

Zjawisko to przypisywane jest poważnym wpływom Niemców rosyjskiego pochodzenia wśród elity prasy niemieckiej, jak i nie mniej poważnym wpływom partii rządzącej dziś Anglią. Czy i w jakim stopniu odgrywały tu rolę niektóre ugrupowania niemieckie powątpiewające w szczerą i demokratyczny wolnościowych celów Sojuszu — dopiero przyszłość wykaże.



W Niemczech poza liczną emigracją rosyjską przebywa, a także przybywa, jeszcze liczniejsza emigracja ukraińska, posiadająca tutaj swój Rząd Emigracyjny, kierownictwa głównych ugrupowań politycznych i potężną, jak na emigracyjne warunki, prasę. Spośród "Narodów Rosji", jakie "Sojuz" ma oswobadzać, Ukraińcy stanowią pod każdym względem pozycję najważniejszą. Ich stosunek do projektów "Sojuszu" określa jasno odezwa przedstawicieli prasy ukraińskiej. Oto wyjątki z tej odezwy:

... "Stwierdzamy, że w S.O.N.R. poza Rosjanami nie biorą udziału żaden odpowiedzialni przedstawiciele innych narodów ZSRR. Szczególnie, żadna z ukraińskich grup w całym świecie nie ma nic wspólnego z tą organizacją i żaden z istniejących ukraińskich organów prasowych nie popiera jej.

... S.O.N.R. — to czysto rosyjska organizacja, która obłudnie ogłasza się rzecznikiem wszystkich narodów ZSRR, tendencyjnie traktując je jako "Narody Rosji", kapitalizuje dla siebie antyboiszewicką walkę tych narodów.

... Podnosimy protest przeciw usiłowaniu S.O.N.R. występowania w imieniu Narodu Ukraińskiego i ostrzegamy świat przed tą akcją rosyjskiej emigracji.

... Za tą akcją rosyjskich emigrantów stoją pewni amerykańscy obywatele, zgrupowani w "Amerykańskim Komitecie Wyzwolenia Narodów Rosji" Postępowanie wymienionych obywateli amerykańskich uważamy jako łamanie zasady samookreślenia narodów, ogłoszonej podczas pierwszej wojny światowej przez prezydenta Wilsona i podczas drugiej wojny w Karcie Atlantyckiej

... Nie zważając na niedorzeczną akcję wymienionych amerykańskich obywateli, wciąż jednak wierzymy, że amerykańskie społeczeństwo nie ścierpi zamachu na prawa narodów i jego własne ideały. Wierzymy, że "Amerykański Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji" nie reprezentuje myśli społeczeństwa amerykańskiego, bo wiemy, że Naród Amerykański z uznaniem ustosunkowuje się do walk o niepodległość. Jesteśmy przekonani, że Naród Amerykański podtrzyma wyzwolenie zmagania narodów ZSRR i nie będzie sprzyjał zachowaniu rosyjskiego "więzienia narodów" w nowej formie".*)



Polacy teoretycznie pod nomenklaturę "Narodów Rosji" nie podpadają, ale praktycznie, może by warto było pamiętać, że

można być innego zdania. Znany ze swego przyjaznego do Polaków stosunku S. P. Mielgunow, nie uznając "pryncypialnie" granic traktatu ryskiego, a rezygnując w imieniu Rosji z pretensji do byłego zaboru austriackiego, (Broszura "Jedyną ili rozczlenionną Rossija?"), chyba ma na myśli powrót do granic z 1914 roku, a przynajmniej wzięcie ich za podstawę do rozmów o przyszłych polsko-rosyjskich stosunkach. Skoro tak rozumuje stary rosyjski demokrat, chętnie przyznający się do swego litewskiego pochodzenia, czyni to pewno na podstawie dużej do nas sympatii i najprzychylniejszych uczuć, które mu podszeptują jak najgłębsze (choćby do Kalisza) z Polską stosunki. Ale przecież są i mniej przychylni dla nas Rosjanie, których rozpira duma narodowa, że dziś język ich jest nauczany w szkółce powszechniej od Elby do Pacyfiku.

Monachium, we wrześniu 1951.

Bogdan KONASZEWICZ.

*) Odezwę podpisali przedstawiciele całego wachlarza prasy ukraińskiej w Niemczech, mianowicie pism: "Awangard", "Wilne Słowo", "Wpered", "Ranok", "Suczasa Ukraina", "Ukraiński Wisti", "Ukraińskij Samostijnik" i "Christijanskij Gołos".

Der MONAT

M I Ę D Z Y N A R O D O W Y M I E S I Ę C Z N I K
P O L I T Y C Z N O - L I T E R A C K I
P O D R E D A K C J Ą M E L V I N A J. L A S K Y E G O

Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.

Cena egzemplarza — 1 DM.

Sprawy i troski

Rozmowa

Przyszły do mnie tu, w Chicago, dwie dziewczyny polskie, siostry. Przywiózł je samochodem mąż młodszej, Amerykanin polskiego pochodzenia jak tu się mówi.

Ten amerykański mąż — to już osobny rozdział, ale nie o niego tu chodzi. Robotnik, nawet niewykwalifikowany, a wygląda jak stuprocentowy inteligent, przystojny, bladej skóry, w okularach i płaszczu z bobrowym kołnierzem. Stąd potem może się biorą nasze przesady w stosunku do amerykańskiej inteligencji, że my "na oko" klasyfikujemy ludzi według europejskich standardów stopy życiowej i później dziwimy się, że taki pan w bobrowym kołnierzu nie wie o egzystencjalizmie i w ogóle, o czym by się nie mówiło, ani me ani be. A on tymczasem wie naprawdę bardzo mało. Wydarto z niego z korzeniami ową swoistą kulturę chłopską, barwę folkloru, tradycję obyczaju, nienaruszalną miarę stosunków z ludźmi. Z kultury amerykańskiej narósł na nim tylko bardzo cienki naskórek.

W charakterze coś polskiego w nim zostało — prostota i serdeczność. I zresztą poczciwy jest z kośćmi i dlatego potrafił przygarnąć i otoczyć dobrą, męską opieką, tę w gruncie rzeczy obcą i bardzo biedną dziewczynę, zanieśioną na tutejszą ziemię najzimniejszym z wiatrów, syberyjskim.

Te dwie są bowiem ze świeżego narybku emigracyjnego. Poszczególne warstwy narastającej emigracji nazywają Żydzi izraelscy "alijami". Są "alije" różnych okresów prześladowań Żydów w Europie, kryzysów ekonomicznych, pogromów. W świeżej polskiej emigracji w Stanach też są różne "alije". Te dwie dziewczyny są z "aliji" sierot teherańskich. Wiadomo, co to znaczy.

Z Teheranu posłano je do Indii, z Indii do Meksyku, z Meksyku tutaj. Z całej tej wędrówki i egzotyki nic do nich nie przylgnęło. Takie jakie są, musiały być już na Wołyniu. Muszą też być po prostu okazowe jako typy polskiej wsi, bo od razu

rzuca się w oczy ich podobieństwo do reymontowskich bohaterów. Tylko że tamtym ani się marzyło o takich strojach, o takich futrach puszystych niezmiernie, o takich na kapeluszach wstążkach, o piórkach, o wszystkich barwach tęczy... Olga, młodsza, jest jak Jagna — duża, mocna, biała, ładna bardzo, w mowie nieśmiała i wdzięczna, w charakterze łagodna, bierna, życiu łatwo się poddająca. Druga, Hanka, jest jak tamta Hanka. Drobną, chudą, o rysach ostro urzeźbionych, ustach zaciętych, oczach dużych i gorzkiej mądrości pełnych. W stosunku do życia nieustępliwa, na wszelkie materialne dobro zachłanna, dla siebie i ludzi twarda, niezłomna w walce z niedolą, o jakiej tamtej, lipieckiej Hance w najgorszych snach by się nie przyśniło.

Były takie małe, kiedy je wywożono, że niewiele już z Polski zapamiętały. Dziwią się, gdy im mówię, że były w Polsce katoliczkami greckiego obrządku. "A może my i były — mówi Olga z namysłem. Może my się potem przechrzciły". W natłoku przeżytych wydarzeń mogły nawet o tym zapomnieć.

Wywieziono całą rodzinę nie za kułackie bogactwo, którego nie było, tylko za stanowisko ojca: był gajowym. W "oblasti", której nazwy nie pamiętają, osadzono ich w lasach. Olga była za mała do pracy, ale jedenastoletnią Hanke posłano już do lasu. Razem ze starszą siostrą Natalią oczyszczała drzewa z kory, obrywała gałęzie. "Ale że ja dobrze robiłam — mówi z uznaniem — to mnie razem z bratem dali do ścinania drzew, tych sosen dużych do samego nieba".

Było im dobrze, mówią, bo ojciec dostał się do piekarni, chleba im nie brakło. I źle się dopiero zrobiło, gdy zachorował i przestał pracować. Chorował widać na nerki, bo cały spuchł, ale na pewno nie wiedzą, bo doktora nie było, a do szpitala komendant nie chciał dać koni. Ojciec leżał na piecu i jęczał.

"Ja wstawiałam o czwartej — opowiada Hanka — i szłam do kolejki przed stołówką, to na szóstą wracałam już zawsze z kaszą albo łapszą. Raz jak wróciłam i Natalia dzieliła kaszę, mówi — powiedz, Hanka, ojcu, że śniadanie. Idę, a tu już z pieca tak w górę sterczy ojca ręka, sina taka i sztywna. Tak, ojciec umarł, że my nawet nie wiedzieli".

Wtedy nie poszła do pracy i sądzono ją za proguł. Ale pan sędzia nic jej nie zrobił, uniewinnił, i jeszcze na tego brygadiera krzyczał, że po co taką małą po sądach wiozły.

"A ojca to my pochowali na polskim cmentarzu — mówi Olga — bo tam ludzie zrobili w lesie polski cmentarz. Najpierw jeden, dwa groby i krzyże to się wiązało z gałęzi. A jak my wyjeżdżali, to już taki duży, duży był ten cmentarz".

Teraz przypominają sobie opuszczony w opowiadaniu epizod. Jak ich wywożono, brat najstarszy miał małe dziecko. Umarło zaraz w pociągu, może z mrozu, i żołnierz wyrzucił je

przez okno. Więc o tym dziecku wcale nie wiedzą, gdzie pochowane.

Po amnestii było im najgorzej. Jeździli z miejsca na miejsce, byli w różnych kołchozach, żyli wśród Uzbeków. "Naród bardzo ładny — opowiadają. — Niektórzy są bardzo dobrzy, a niektórzy bardzo źli".

Raz, jak uciekali z jednego kołchozu — nie dodają do tego żadnych wyjaśnień, ucieczki z kołchozów należą dla nich do powszednich i zrozumiałych zjawisk życia ludzkiego — otóż raz w czasie takiej ucieczki zagubił się gdzieś najmniejszy braciszek. "On lubił tak chodzić po tej okolicy i prosić ludzi, żeby mu coś dali do jedzenia, a najbardziej u jednego ruskiego nauczyciela, więc może go ten nauczyciel wziął, a może tak się gdzieś został czy zgubił". Nigdy już o nim nie usłyszały. Ale wyliczając swe żyjące rodzeństwo — obecny stan posiadania rodziny — nie zapominają o nim. "I jeden brat w Rosji" — opowiadają.

W czasie tej ucieczki Olga zachorowała. Brat ją bił, a ona mówiła: "Już mnie tu zostawcie, tu już umrę". I położyła się na stepie i nie chciała się ruszyć. Więc ją zostawili i myśleli, że już umrze tam w stepie, tymczasem ją znalazł Uzbek i na wielbłądzie odwiózł do nich, na stację.

Potem w Gorczakowie Olga dostała tyfusu. Trzeba ją było zawieźć do szpitala, a brat nie chciał dać pieniędzy, miał też bardzo mało. Ale dał dziesięć rubli i Hanka za dwadzieścia (bo miała schowane przed nim dziesięć) wynajęła arbę z osiem i zawiozła siostrę do szpitala. Jak przyszło wracać, nie miała już pieniędzy, więc położyła się na szynach, żeby ją pociąg przejechał.

Nie wyplakane wtedy i już nie dające się wypłakać łzy przerywały opowiadanie. Dużo później dowiedziałem się, jak to się skończyło.

"Przyszła taka kobieta, naczelniczka czy dróżniczka — bo u nich wszystko kobiety — i mówi, żeby wstać z szyn. I domyśliła się, że nie mam pieniędzy na bilet, i wytłumaczyła mi, jak to się robi. Więc jak pociąg przejeżdżał przez tę stację i ledwo zdążył ruszyć, ja się uczepliłam i tak jechałam. Konduktor jeden krzyczał na mnie i ręce mi odrywał, ale ja nie puściłam, choć mi ręce pokrwawił. I na każdej stacji tak się łapałam innego wagonu".

Jak brat jej powiedział, że teraz pojedą z wojskiem do Iranu, zaraz zapytała — "A co z Olgą w szpitalu?". Brat powiedział, że nie ma rady, ale ona nie chciała zostawić Olgi w Rosji. Poszła pieszo po szynach 18 kilometrów, aż poznała to samo miejsce i trafiła do szpitala. Doktor mówi: "Bój się Boga, nie wypiszę jej, ona ma tyfus". Ale jak się dowiedział, że chodzi o wyjazd do Iranu, to zaraz wypisał. "To znowu co innego" — powiedział.

Dźwigała Olgę, mimo kilku lat różnicy znacznie od niej więk-

szą, osiemnaście kilometrów. "Ona chodzić nie mogła, a mnie było tak ciężko ją nieść, że coraz to rzucałam na ziemię i biłam, że dlaczego ona jest taka duża i ja się przez to muszę męczyć". Doniosła jednak. Z namysłem dodaje: "Bo ja, proszę pani, byłam taka mała, chuda, ale bardzo uparta".

Wtedy jednak nie wyjechały jeszcze. Były w sierocińcu. Miały już więcej jedzenia, różną odzież "z opieki", uczyły się piosenek, modlitw.

Tymczasem przyszła do nich bratowa. Bratowa była zawsze niedobra, mówiła do brata: "Po co oni się za tobą włączają? Ty ich rzuc". Ale teraz brat był w wojsku, już w Iranie, i bratowa przyszła do Olgi. Powiedziała, że niedługo będzie rodzić dziecko i że nie może być sama. Hanka się bała, ale z Olgą chciała być, Olga dziewięcioletnia miała się nią opiekować. I Olga zostawiła sierociniec, i znów poszła do kołchozu, do zbierania bawełny i do 400 gr. pszenicy dziennie. "Dziecko urodziło się w nocy, stara jedna Uzbekka pomagała. A ja taka głupia byłam, że się nawet nie obudziłam, tylko rano patrzę, dziwię się, — kiedy bocian dziecko przyniósł". Po trzech dniach dziecko umarło.

Wtedy znów z bratową poszły do miasta, tam gdzie było duże polskie skupisko. Bratowa niosła pierzynę, żeby to wyglądało jak duża paka, a jej dała nieść niby małą paczkę, ale ciężką. Szły noc i dzień i znów się zaczęła noc. I ja już iść nie mogłam i nieść tego ciężaru. Już też się chciałam zostać, albo zginąć albo co, i wcale nie wiedziałam, że ja już koło stacji jestem i słyszę, jak Hanka woła — "Olga!".

Hanka wyjaśnia. "Znów wtedy się miało jechać do Iranu i już naprawdę. Ja jej zabrać nie mogłam, bo nie wiedziałam, jak się ten kołchoz nazywa, gdzie ona była, i tak mi było żal, żal. Czekaliśmy na stacji, a ja płacze i na ziemi leżę. Noc była taka ciemna, ani jednej gwiazdy, nic by się nie zobaczyło. Ale nawet w taką najczarniejszą noc, jak się położyć na ziemi, to jak kto idzie, zobaczy się na niebie — widziałam, idą ludzie, na próbę zawołałam — "Olga!".

Olga rzuciła rzeczy i bratowa, przybiegła. Poszły razem do rosyjskiego oficera, który sprawdzał papiery i liczył, ile tam było dzieci w tej gromadzie sieroczej. "Ty nie masz papierów — mówi do Olgi — nie możesz jechać". "Wtedy — dodaje Hanka — opowiedziałam mu o nas wszystko od początku, i on popatrzał tak i mówi: "Niech jedzie".

Z tej ciężkiej drogi swojej zapamiętały każdy szczegół, z późniejszej, spokojnej i przez kogoś z góry obmyślanej i wybranej, nic. Żadnej z egzotycznych nazw miejscowości, żadnej z długich podróży i uroczystych przywitania i pożegnań dla rodaków i przez rodaków, z krakowskimi strojami, z "Rotą" i biało-amarantowymi bukietami. Z tego wszystkiego została jakaś kolorowa, nie dająca się już rozebrać miazga.

Życie zaczęło się dopiero w Chicago. Hanka nauczyła się za-

wodu i angielskiego, zarabia dobrze, do futra, do mieszkania i mebli dochrapała się własną pracą, z tym samym co niedyś uporem zdobywa pozycję za pozycją, skomplikowane życie amerykańskie. Olga popłynęła z losem, wyszła dobrze za mąż, spodziewa się dziecka, ma bardzo dobrego teścia, który jej kupił futro i którego nazywa po staroświecku "panem ojcem".

Na zakończenie raz jeszcze robią bilans. Ile ich było w Polsce, ile ich zostało. Jednego brata nie wywieziono, bo już był na swoim, ale teraz Wołyń już nie jest w Polsce, więc go chyba wywieziono jednak, w końcu. Teraz ojciec, i ten mały braciśzek, i dziecko brata, i doliczają jeszcze owo trzydniowe dziecko, urodzone i zmarłe w Uzbekistanie. Siostrę Natalię los zagwał akurat do Izraela, bratową do Afryki, brata do Anglii. Im udało się — są razem.

To jest jeden rachunek. A drugi tutejszy, amerykański. Olgi auto i telewizja, mięso co dzień, pieniądze w banku uzbierane przez Hanke, różne zdobycze i różne dobre możliwości na przyszłość, futra i kapelusze, "movies" i "ice cream". Teraz należało by położyć znak równania między tymi dwoma rachunkami. Ale nie można.

Bo czy mogą te dwie, ocalałe i tak dobrze, tak bez skazy przeniesione przez całą tę burzę wydarzeń, czy mogą być wyrównaniem za tych wszystkich, co nie przetrzymali i nie doczekali? A dla nich samych, dla tych dwóch polskich wiejskich dziewczyn, czy te wszystkie dobra, jakie gromadzi koło nich życie amerykańskie, mogą być zadośćuczynieniem za wszystko przebyte i wszystko utracone? Jakaż może być wspólna miara między tym, co tu zdobędą, a tą utraconą, ubogą i szarą, przeszłością, z której wyniosły niespożyta moc charakteru, duszę czystą i prostą, niezachwianą wierność wobec najbliższych.

I cały ten świat tutejszy, z o tyle większymi osiągnięciami ekonomicznymi, z o tyle lepszymi rozwiązaniami najprzeróżniejszych problemów — czy może być odpowiedzią na tanten, krwawiący w męce, na całą ziemię, rozdartą cierpieniem i lękiem przed przyszłością? I jak tu, w szumnym, pośpiesznym życiu tutejszym, znaleźć to słowo wielkiej prawdy, na którą czeka świat? Czy narodom, oczekującym zbawienia, nie odpowie kraj ten tylko milczeniem obojętności, albo głuchym echem niemocy, pod twardym uderzeniem młota historii?

Wanda FALK.

Kronika amerykańska

POLONIA WIDZIANA Z WASZYNGTONU

Nie bez obawy przystępuję do sformułowania tej tematyki. Tylu już poprzedników poparzyło się na pochopnych ocenach, które stały się nierzadko źródłem nieporozumień, daśów i pretensji. Trudno jest bowiem zadowolić jednocześnie własne sumienie publicysty-społecznika oraz ambicje i samowyobrażenie opisywanego środowiska. A jednak, mimo to o Polonii amerykańskiej, tak mało w gruncie rzeczy nam znanej, trzeba mówić, trzeba analizować to skomplikowane zagadnienie, gdyż urasta ono teraz do czynnika wielkiej wagi w polskiej strategii niepodległościowej.

Jak dotąd, najtrafniej do zawilej problematyki polonijnej podejść umiał Wacław Gąsiorowski, który przegryźć się przez nią zdołał na stanowisku dyrektora Kolegium Związkowego w Cambridge Springs. Jego doskonała książka *Ach te chamy w Ameryce* (Warszawa, Dom Książki, 1935, str. 225) powinna być przeczytana przez wszystkich nowo emigrujących do Stanów Zjedn. a także i rozginionych turystów-reporterów. Nie doczekała się, jak dotąd, Polonia amerykańska wielkiej powieści społecznej, która by, choć mimochodem, otworzyła oczy na wiele pasjonujących zagadnień. Temat ten prosi się o dobre, dociekliwe pióro, tak jak niewielka Polonia górnicza w Limburgii stała się niedawno podłożem ciekawej powieści Aliny Nieduszyńskiej *Sprawa Mostów* (Slough: The Windsor Press Trading Estate, 1947, str. 379).

W niniejszym szkicu nie chodzi mi jednak o dociekania socjologiczno-literackie. Interesuje mnie przede wszystkim zagadnienie par excellence polityczne, — jaki wpływ na dalszy bieg sprawy polskiej mieć może w przyszłości 6-milionowa Polonia amerykańska?

POLONIA AWANSUJE...

Nie wolno zapominać, że Polonia wywodzi się w zasadzie z najuboższej — najniższej pod względem cywilizacyjnym stojącej warstwy ludności małorolnej w Polsce. Przeważająca większość emigrowała w poszukiwaniu możliwości zarobkowych w Nowym Świecie, gdyż ziemia ojczysta nie mogła dać im pracy i wyżywienia. Pierwsze pokolenie przybyszów stabilizowało się w niezmiernie twardych warunkach przy całkowitym braku znajomości języka angielskiego. Spychane więc było na sam dół amerykańskiej drabiny społecznej, o szczybel tylko wyżej od murzynów i metysów. Wyżej od Polaków nosili głowę Włosi, Irlandczycy i Żydzi, nie mówiąc już o Skandynawach, Niemcach czy anglosaskiej "arystokracji" rasowej. Do Polaków ciężko pracujących w kopalniach, na hutach i farmach odnoszono się często z dotkliwą, nierzadym nieuzasadnioną wyższością i pogardą. Kompleksy pewne pozostały po dziś dzień. Młoda generacja polonijna wyraźnie się z nich wyzwala, — przeważnie za cenę masowej amerykanizacji i odchodzenia od polonijnych ghatt. Owa niska ranga społeczna była podstawową przyczyną małej pozycji politycznej Polonii. Do dziś na 98 członków izby wyższej Kongresu nie ma ani jednego senatora polskiego pochodzenia. Polonia to w zasadzie do niedawna typowy amerykański dostawca niewykwalifikowanych rąk do najcięższej pracy fizycznej. Jednocześnie Polonia zdaje od wielu dziesiątków lat bez zarzutu swój egzamin obywatelski w stosunku do Stanów Zjednoczonych. Toteż

mimo, że daleko jeszcze Amerykanom polskiego pochodzenia do takich wpływów na politykę zagraniczną i wewnętrzną St. Zj., jakie by im przysługiwały — proces dźwignia się i awansu, a także uznania w społeczeństwie jest wyraźny i nieodwracalny. Wychodzący od roku w Scranton (Pennsylvania) tygodnik w języku angielskim **Polish-American Journal**, wydawany przez ruchliwą rodzinę Dendów, oddaje tej sprawie poważne przysługi. Będąc w zasadzie organem partii demokratycznej, to pierwsze tego rodzaju pismo, czytane w całych Stanach przez młodą inteligencję polonijną, niewiadającą już biegle językiem polskim, zwraca stale uwagę na to, by w stosunku proporcjonalnym do ilości nazwisk polskich na listach strat koreańskich odbywało się przyznawanie Amerykanom polskiego pochodzenia stanowisk federalnych i państwowych. Nb. podkreślić należy, że jak dotychczas pełne równouprawnienie zdobyli sobie Polacy przede wszystkim w sporcie amerykańskim, a w szczególności w najpopularniejszym tu baseballu, gdzie można nawet mówić bez przesady o dominującej ich pozycji. Najgorzej natomiast przedstawia się sytuacja na tak ważnym dla nas odcinku prasowym.

Wydawać by się mogło, że amerykański Kościół Katolicki powinien być najmocniejszą twierdzą, ostoją i pozycją Polonii. Niestety, aż nadto do tego daleko. Szowinistyczna polityka "Ajrysów" sprzymierzonych z Niemcami przeciw Anglikom w polityce, a przeciw ludności pochodzenia słowiańskiego i łacińskiego na podwórku wewnątrzkatolickim, a także i niewątpliwie słaby, prowincjonalny poziom dużej części kleru polonijnego doprowadziły w sumie do przedziwnego stanu, w którym Polonia stanowiąca jedną szóstą ogólnej liczby katolików w St. Zj. posiada tylko jednego biskupa ordynariusza oraz sześciu sufraganów.

Mimo wielkiego wkładu kleru polonijnego i zakonów polskich w życie organizacyjne, a szczególnie oświatę, stwierdzić należy, że kler jako całość nie należy dziś niestety do awangardy polonijnej w zakresie narodowej akcji politycznej. Duża część kleru polskiego ulega naciskom hierarchii irlandzkiej. Oczywiście są liczne wyjątki. Mamy więc sporo takich księży, którzy nie szczędzą ni czasu ni trudu, by na marginesie obowiązków duszpasterskich przewodzić i świecić przykładem w pracy niepodległościowej Polonii. Większość jednak robi za mało jak na potrzeby chwili. Tak więc, tylko mała garstka księży bierze czynny udział w akcji politycznej Kongresu Polonii. Z niewiadomych powodów Polskie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie wyłączyło się przed trzema laty z tej ogólnej zorganizowanej akcji na rzecz sprawy polskiej. Nowoprzybywający księża polscy z Europy skarżą się powszechnie na oziębłe przyjęcie a nawet i niechęć części kleru polonijnego, niedopuszczającego do "nowinek" i ożywienia życia polskiego wokół parafii. Ojcowie Salezianie, którzy parę miesięcy temu wydali pożyteczny zbiór pism i przemówień swego konfratry Prymasa Hłonda pod tytułem *Na Straży Sumienia Narodu* (Don Bosco, Ramsey, N.J., 1951, str. 327) uskarżają się że ten doskonały podręcznik kazań i rozmyślań nie został dotąd rozchwytywany przez księży polonijnych. Niezwykle wartościowa Agencja Informacyjna Inter-Catholic Press Agency, Inc. (pod kierownictwem ojca doktora Mariana Wójcika), dająca od sześciu lat tygodniowy, dokładny serwis wiadomości z kraju, le dwa dyszy, gdyż poza gronem oddanych przyjaciół, nie może znaleźć należytego poparcia w polonijnym klerze, nieodczuwającym potrzeby utrzymania za wszelką cenę tej nad wyraz pożytecznej placówki. W

szkołach zakonnych, prowadzonych przez polskie siostry, rodzice nie zawsze mogą się doprosić o właściwą naukę języka polskiego.

Należy jednak podkreślić że i te sprawy ulegają pewnej poprawie. Mianowanie biskupa Woźnickiego Ordynariuszem, a na jego miejsce nowego biskupa Zaleskiego sufraganem w Detroit oraz wzrost liczby prałatów polonijnych świadczy o powolnym wroście polonijnego stanu posiadania w hierarchii katolickiej. Daje się również zauważyć zwiększenie się niewielkiego zespołu profesorów polskiego pochodzenia na katolickich i jezuickich uniwersytetach amerykańskich. Mamy także i wśród wysokiego kleru kilku oddanych przyjaciół. Jest więc nadzieja że w przyszłości Polonia osiągnie przysługujący jej wpływ w hierarchii Kościoła katolickiego w Ameryce.

Najbardziej widoczny jest awans Polonii w składzie Izby Reprezentantów. Posiadamy obecnie 10 kongresmanów polskiego pochodzenia, żadna inna grupa słowiańska nie może poszczycić się choćby jednym posłem. Co prawda w ustroju St. Zj. na politykę zagraniczną wpływ ma przede wszystkim Senat a zwłaszcza jego Komisja Spraw Zagranicznych, niemniej przy budżecie, związanym z tą polityką, głos decydujący posiada Izba Reprezentantów — po zapoznaniu się z wnioskami opinii swojej Komisji Spraw Zagranicznych. Aby Polonia osiągnąć mogła poważny wpływ na decyzje w polityce zagranicznej Stanów, niezbędne byłoby wprowadzenie kogoś oddanego do Senatu, niemniej i tych 10 kongresmanów to już duża pozycja. W Komisji Spraw Zagranicznych zasiada dwu posłów polonijnych: Gordon z Chicago i o wiele uczynniejszy, młodszy Zabłocki z Milwaukee (obaj demokraci). Seniosem grupy polonijnej jest John Dingell (Jan Dziegielewski) z Detroit, który już po raz dziesiąty został wybrany kongresmanem i należy do najbliższych prezydentowi Trumanowi członków Izby. Dingell, ongiś bardzo czynny i zdecydowany w wystąpieniach polskich, przycichł dziś bardzo ze względu na zły stan zdrowia. Po śmierci najbardziej w sprawach polskich czynnego demokraty Jana Lesińskiego z Detroit, który jako wieloletni przewodniczący Komisji Pracy i Oświaty oraz prononsonowany przyjaciel świata pracy, popierany przez centrale Związków Zawodowych, odgrywał dużą rolę na Capitol Hill — dziś na czoło w działaniu na rzecz naszej sprawy wysuwa się ostatnio wybrany demokratą Tadeusz Machrowicz, sędzia z Detroit, były oficer armii Hallera. Jest on inicjatorem kilku wniosków zmierzających do zaktualizowania sprawy polskiej (między innymi wniosek antyjałtański). Obok Machrowicza najczynniejszym i najuczynniejszym jest wybitny kongresman republikański, energiczny Antoni Sadlak ze stanu Connecticut. Najbardziej bojowym przeciwnikiem polityki rooseveltońskiego appeasement'u wobec Rosji jest republikanin Alvin O'Koński z Wisconsin, swojego rodzaju unikat wśród posłów polonijnych, gdyż swój wielokrotny wybór zawdzięcza przede wszystkim farmerom pochodzenia skandynawskiego, zamieszkującym jego rolniczy okręg wyborczy. Uchodzi on słusznie za jednego z najlepszych i najbardziej niebezpiecznych mówców wiecowych w Ameryce. Z grupy ostatnio wybranych kongresmanów — poza Machrowiczem — najwięcej słyszy się o majorze Siemieńskim, demokracie ze stanu New Jersey, który wrócił niedawno z frontu na Korei, podczas gdy jego małżonka (primo voto hr. Mycielska) przeprowadziła zań zwycięską kampanię wyborczą, nb. również przeciw dobremu polonijnemu kandydatowi, republikanowi Binkowskiemu. Aktywnym rzecznikiem interesów Kongresu Polonii jest demokratą Kluczyński z Chicago. Mało się dał, jak

dotąd, poznać republikanin Radwan z półn. części stanu New York i wyniesiony do Izby Reprezentantów popularnością ojca młody Leński — demokrata z Michigan.

W sumie należy podkreślić wielką ofiarność w sprawach polskich kongresmanów polonijnych, pozostających zresztą ze sobą w kontakcie pomimo różnic partyjnych. Obserwować również można rosnące ich znaczenie w życiu parlamentarnym Waszyngtonu. Należy się spodziewać, że w wyborach na przyszły rok przekroczymy po raz pierwszy liczbę 10-ciu kongresmanów. Obawiam się natomiast, że na odcinku Senatu jeszcze tym razem sytuacja nie ulegnie poprawie, chociaż taki Machrowicz czy Sadlak na pewno byłoby poważnym atutem dla obu partii jako członkowie izby wyższej. O ile mi jednak wiadomo, żaden z prawdopodobnych polonijnych kandydatów na senatora nie rozporządza niezbędnymi na kampanię funduszami, co jest tu w gruncie rzeczy sprawą ogromnej wagi.

Wybory przyszłoroczne będą miały dla pozycji Polonii podstawowe znaczenie. Większość Polonii głosowała dotychczas tradycyjnie na demokratów ze względu na ich bardziej postępowy program społeczny (New Deal, interwencjonizm państwowy). Wbrew przestrogom swego twórcy Samuel Gompers'a, związki zawodowe od czasów ostatniego Roosevelta zaangażowały się w wyborczych kampaniach politycznych. Stały one po stronie demokratów. Polacy, w masie swej robotnicy, szli więc za wskazówkami kierowniczych czynników unijnych. Program socjalny zbliża więc Polonię do demokratów, polityka zaś zagraniczna rządu, bijąc w wierność Polonii dla sprawy polskiej, odrzuca ją od tej partii.

Najbardziej drastycznym wyciągnięciem wniosku w stosunku do polityki polskiej Białego Domu i Departamentu Stanu, było przejście najwybitniejszego przedstawiciela Polonii, Karola Rozmarka, z partii demokratycznej do republikańskiej. Nie pociąga to jednak za sobą przetrzucia całego Kongresu Polonii na stronę Partii Słonia (symbol Republikanów w odróżnieniu od osła, symbolu demokratów). Znam wielu bliskich współpracowników Rozmarka, którzy pozostali nadal wierni partii demokratycznej. Stawianie na jedną kartę byłoby zresztą zasadniczym błędem. Wygląda na to, że największe szanse wśród Polonii miałyby wityny owacyjnie przez nią Mac Arthur, gdyby zdecydował się kandydować na prezydenta. Natomiast wątpliwe, by Polonia entuzjastycznie się bardziej kandydaturami Tafta lub Eisenhowera niż np. prawdopodobnym kontrkandydatem demokratycznym, Trumanem. Nowym elementem decyzji będzie oczywiście ilość kandydatów polonijnych, wystawianych przez obie partie na kluczowe stanowiska w przyszłych wyborach, które nb. zaczęły już wyraźnie dominować nad posunięciami polityki amerykańskiej. Rozpoczęło się już także zbiorowe łowienie dusz. Tak np. zorientowawszy się, że republikanie przeprowadzili ostatnio na poważne stanowiska stanowe i municypalne kandydatów polskiego pochodzenia (Mruk prezydentem Buffalo, Gunther sędzią federalnym w Pensylwanii, Wazeter na wysokim stanowisku sądowym w stanie New York), demokraci ruszyli do kontrataku o zdobycie Polonii. Czelusta zostaje p.o. prezydenta miasta Toledo, Czesław Buczkowski z Chicago otrzymuje b. wysokie stanowisko zastępcy Symingtona, dyrektora R.F.C. (Reconstruction Finance Corporation), po wykryciu kompromitujących administrację nadużyć w tej wielkiej państwowej instytucji kredytowej. Batalia wyborcza jest już w toku, według zasad kto da więcej. Polonia mogłaby na rozgrywece tej wiele skorzystać. Jest w interesie polskim, by ambicje przywódców polonij-

nych szły tym razem raczej w kierunku obsadzania federalnych stanowisk waszyngtońskich, szczególnie w działach mających coś wspólnego z polityką zagraniczną, aniżeli — jak to miało miejsce dotychczas — w miejskim i stanowym samorządzie lokalnym, którego znaczenia bynajmniej nie zamierzam bagatelizować. Wydaje mi się, że republikanie mieliby szanse porwania masy polonijnej po raz pierwszy przy najbliższych wyborach, gdyby po pierwsze ogłosili niedwuznaczny, wyzwoleńczy program polityki zagranicznej odnośnie Europy środkowo-wschodniej; po drugie, gdyby wysunęli co najmniej w jednym z dziewięciu stanów o dużym procencie ludności polskiego pochodzenia jakiegoś wybitnego działacza polonijnego z szansą wyboru na senatora. Mogłoby to mieć lawinowy skutek na głosy także i w innych stanach, a tym samym zdopingować nb. także i partię demokratyczną do większych ustępstw na rzecz wiernych od tylu lat wyborców polonijnych.

Interesującym zjawiskiem z dziedziny awansu Polonii jest jej wzrost liczbowy w stolicy St. Zj. Zasadniczym i bodaj jedynym "przemysłem" Waszyngtonu są cywilne i wojskowe biura oraz instytucje federalne. Zbyt jeszcze mało spotyka się nazwiska polonijnych na kluczowych stanowiskach, niemniej wysokie wartości obywatelskie Amerykanów polskiego pochodzenia są coraz bardziej doceniane i roi się już od nich na niższych szczeblach urzędniczej hierarchii państwowej. Coraz częściej spotyka się młodą inteligencję trzeciej lub czwartej generacji polonijnej wśród urzędników Departamentu Stanu, FBI, Central Intelligence Agency, w Departamentach Pracy i Rolnictwa oraz ważnych sekretariatach senatorskich i poselskich, a także w biurach sztabowych Pentagonu. Waszyngton nie jest dotychczas środowiskiem polonijnym sensu stricto. Jako element przepływowy, ludzie ci, przybywający z odległych kątów Ameryki, przeważnie nie wiedzą nawzajem o swoim istnieniu. Nie ma też oczywiście żadnej polskiej dzielnicy jak w Detroit, Chicago lub Philadelphii, czy Milwaukee. A jednak gdy się ich wyszuka i zainteresuje sprawą polską — przeważnie z pełną ochotą i zrozumieniem gotowi są do świadczeń na jej rzecz.

W Waszyngtonie istnieje, jak dotąd, jedna tylko organizacja polonijna; jest nią Klub Polski — grupa 848 Związku Narodowego Polskiego, która w ostatnim roku wyraźnie wzrosła swą aktywność. Przeglądając książkę telefoniczną Waszyngtonu, ze zdumieniem znalazłem, iż mniej więcej co dziesiąte nazwisko ma polskie brzmienie. A iluż jest Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy w ciągu ostatnich lat trzydziestu zmienili swe stare nazwiska na czysto anglosaskie, nie zachowując nawet polskiej skróconej namiastki. Klub Polski nie potrafił, jak dotychczas, skupić więcej jak 5 procent spośród potencjalnej rzeszy polonijnej w Waszyngtonie. Miesięczne nabożeństwa polonijne stają się coraz bardziej tłumne, natomiast mało atrakcyjne są dla młodej inteligencji polonijnej odbywane na przedmieściu miesięczne zebrania i zabawy. Klub Polski potrafi jednak pokonywać niejedne trudności tam, gdzie chodzi o cenną akcję interwencyjną i opiekuńczą nad nowo przybyłymi i chorymi. Ostatnio Klub przystąpił do śmiałej akcji budowy Narodowego Domu Polskiego w centrum Waszyngtonu. Dom ten winien stać się w przyszłości chlubą i własnością całej Polonii amerykańskiej, jako prawdziwe centrum polskości w stolicy St. Zjedn. Obok istniejących już, wielkim sumptem Polonii wystawionych, pomników Pułaskiego (na głównej ulicy Pensylwania), oraz Kościuszki (na placu Lafayette, naprzeciw Białego Domu) — stanąć powinien tym razem żywy pomnik Polski, stwierdzający naoznacznie konstruktyw-

ny dynamizm Polonii. Wystartowawszy już z funduszem budowy tego domu, Klub liczy nie tylko na poparcie wszystkich ogniw Związku Narodowego Polskiego z całej Ameryki, ale także i na współdziałanie innych organizacji polonijnych, gdyż własnym nawet maksymalnym zrywem organizacyjnym i finansowym niktą grupa waszyngtońska dokonać tego naprawdę ważkiego dzieła, nie da rady. Nie idzie tu bowiem o jakąś poślednią chałupinę na biuro i zebrania. Dom Polski w Waszyngtonie, obok biur organizacji polonijnych, posiadać winien poważną bibliotekę, czytelnik, wypożyczalnię polskich pism i książek, wielką salę na zebrania i odczyty, salę bankietową, dobrą polską restaurację. Istniał pierwotny projekt, by po zakupieniu parceli, możliwie w pobliżu Kapitolu, rozpiąć konkurs między polskimi architektami na zachodzie, a po wybraniu najlepszego projektu, rozpocząć szeroką akcję zbiórki na fundusz cegiełkowy budowy domu. Ze względu na sytuację zbrojeniową, problematyczne jest w Waszyngtonie otrzymanie licencji na budowę obiektu nie związanego z wysiłkiem wojennym. Najprawdopodobniej, po zmobilizowaniu odpowiednich środków, skończy się na zakupieniu jakiejś reprezentacyjnej rezydencji w północno-zachodniej dzielnicy miasta. Jest to oczywiście zamierzenie na wielką skalę i nie należy się spodziewać realizacji jego wcześniej niż za jakie pięć lat. Mam jednak nadzieję, że Polonię stać na to, by przysłowiowym swym uporem potrafiła dopiąć celu — tak byśmy mieli się czym pochwalić w stolicy świata zachodniego, pozbawieni prawdziwej ambasady na rzecz naszych okupantów. Pierwszym krokiem publicznym ma być wielki bankiet w jednym z reprezentacyjnych hoteli waszyngtońskich pod protektorem tych wszystkich Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy doszli wysoko w państwowej hierarchii stolicy. Zaproszenia skierowane mają być do wszystkich Polaków oraz Amerykanów polskiego pochodzenia w Waszyngtonie, a dochód z dziesięciodolarowych biletów na ten pierwszy apel polonijny poświęcony ma być na budowę Domu.

W tymże Domu Polskim albo też w bezpośrednim jego sąsiedztwie powstać ma następnie kaplica lub kościół parafialny.

Na pryncypalnej ulicy Connecticut mieści się biuro Kongresu Polonii, prowadzone przez red. Burkego. Znaczenie tego biura, jako przedstawicielstwa Polonii w stolicy Stanów, rośnie z roku na rok. Na czoło politycznej, prasowej oraz interwencyjnej działalności tej niezmiernie ważnej placówki wysunęła się w ciągu ostatnich dwu lat planowa akcja w związku z ustawą o sprowadzeniu D.P. i byłych żołnierzy z W. Brytanii.

ROSNĄCA POLSKA "PRESSURE GROUP"

Mimo wielu niespodzianek i rozczarowań, jakie spotykają każdego Europejczyka po przyjeździe do Ameryki, staje się jednak po pewnym czasie jasne, że Stany Zjednoczone to kraj jeszcze nie okrzepły, kraj w którym "się dzieje", który szukając ciągłej swej właściwej drogi i przeznaczenia, dzięki owej elastyczności, przedstawia duże możliwości rozwoju w każdym kierunku. Stąd inny stosunek emigranta politycznego do Ameryki niż do jakiegokolwiek kraju zachodniej Europy. Taka Wielka Brytania, Francja, Szwajcaria, Belgia czy Szwecja — to państwa o ustalonych sztywnych ramach zwyczajowych i cywilizacyjnych. W związku z tym możliwości oddziaływania emigrantów politycznych na sfery rządzące tych państw są bardziej niż nikome. Pogarszają się one tym bardziej, że i samodzielność polityczna tych krajów w sto-

sunku do Waszyngtonu staje się, nolens volens, coraz bardziej problematyczna. A wszelkie gesty mocarstwowe kończą się ponownym wyciąganiem ręki po dalsze pożyczki dolarowe i subwencje. W tym stanie rzeczy bez umniejszania talentu i sprytu Whitehall'u i Quai d'Orsay, staje się jasne, że starać się należy raczej o wpływy na centralę niż na dłużników. Aby polityka zachodu w sprawach naszego rejonu ulec mogła diametralnej zmianie, konieczna jest decyzja Waszyngtonu, bez której pomniejsi partnerzy palcem w bucie nie ruszą. Jakże się szczęśliwie złożyło, że, w odróżnieniu od emigracji politycznej 1945 roku, głównym skupiskiem przedwojennej Polonii są właśnie Stany Zjednoczone a nie na przykład Niemcy lub Wielka Brytania. Trzeba tylko umieć tą wielką kartą umiejętnie i bez pudła grać. Zdaje sobie sprawę że z punktu widzenia ciasno pojętej anglo-saskiej doktryny imigracyjnej, tak sformułowana koncepcja polskiej strategii politycznej w Ameryce może być uważana za niebezpieczną herezję. Sumienny badacz historii amerykańskiej przyzna mi rację, że tak zwane "Hyphenate" groups (zespoły narodowe połączone pewowiną z macierzystymi krajami) odgrywały już wielokrotnie decydującą rolę naciskami na politykę zagraniczną Waszyngtonu. Klasycznym przykładem jest skuteczny nacisk zbiorowy amerykańskich Niemców, Włochów i Irlandczyków, skierowany przeciw Wilsonowi i udziałowi Stanów Zjednoczonych w zaplanowanej przezeń Lidze Narodów. Innym permanentnym zresztą typem tego rodzaju pressure group to ruchliwi i świetnie w swej żywiołowej antyangielskości zorganizowani "Ajryscy" amerykańscy, uchodzący nb. za bardziej fanatycznych od mieszkańców Zielonej Wypsy. Czyż wreszcie Żydzi amerykańscy nie są właściwymi sprawcami niepodległości Izraela? Parę miesięcy temu w odczycie swym pod tytułem "Sprawa Polska w Waszyngtonie", zorganizowanym przez Chicagowski Związek Dziennikarzy, pół żartem pół serio powiedziałem, że Polonia w Chicago powinna pokusić się o odegranie podobnej roli w sprawie niepodległości Polski, jaką odegrali w sprawie Palestyny potężni Żydzi nowojorscy.

Polonia jest na tym kontynencie bodaj jedynym i do tego stuprocentowym sojusznikiem naszej sprawy, ową uśpioną potęgą, która od siedmiu lat przez działanie Kongresu Polonii Amerykańskiej, budzi się do konsekwentnej, świadomej swych celów akcji. Wywiera ona zorganizowany wpływ na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych w sposób jawny, odpowiadający demokratycznym regułom gry. Kongres Polonii jest sui generis federacją stowarzyszeń i związków polonijnych, wśród których dominują oczywiście organizacje o charakterze ubezpieczeniowym, owa najbardziej typowa forma zrzeszania się grup narodowych w Stanach.

◆
Poza zadaniami normalnie zorganizowanej presji politycznej (pressure group) Kongres Polonii posiada cały szereg innych ważnych zadań, z których stara się w miarę możliwości wywiązać. Zasadniczą jednak przyczyną powstania Kongresu była walka o niepodległość Polski w ramach systemu demokracji światowej. Nb. jak wynika ze studiów prasy i obrad parlamentarnych, Kongres Polonii był w przełomowym dla nas okresie 1944-1945 jedynym mocnym głosem protestu wobec amerykańskiej opinii publicznej przeciw bezprzykładnej krzywdzie, rządzonej narodowi polskiemu. Kongres Polonii spełnił jednocześnie ogromną, pionierską rolę w stosunku do społeczeństwa amerykańskiego, otwierając mu, jako pierwsza świadoma grupa, oczy na istotę niebezpieczeństwa komunistycznego i rosyjskiego — wówczas kiedy każde

słowo krytyki pod adresem "wschodniego sojusznika" uważane było niemal za wykroczenie antypaństwowe, godzące w interesy Stanów Zj. Znaczną rolę przy ustalaniu pierwszych wytycznych politycznych Kongresu odegrał zmarły przed paru laty Ignacy Matuszewski, który w odróżnieniu od wielu swych ideowych współtowarzyszy, umiał odłożyć wojnę wewnętrzną na rzecz wielkiej akcji niepodległościowej w oparciu o krystalizującą się i krzepnącą politycznie Polonię. Mimo odsunięcia się kilku poważnych działaczy (prof. Świetlik, red. Januszewski, prezes Kania), którzy nie umieli pomieścić się w ramach jednej organizacji z prezesem Rozmarkiem i pogodzić z jego górującą indywidualnością — Kongres Polonii nie tylko nie osłabił ale wręcz wzmacnia ostatnio swą aktywność, wracając do ofensywy w sprawie niepodległości Polski.

Rada Kongresu określiła również swe stanowisko w stosunku do gorzącego i kompromitującego sprawę polską w świecie rozbitcia przywództwa emigracji politycznej. Kongres, jako całość, usiłuje natomiast, stojąc na stanowisku ciągłości prawnej państwa polskiego, zachować równowagę pomiędzy zwalczającymi się trzema grupami antykomunistycznej emigracji politycznej. Jego przedstawiciel waszyngtoński, red. Burke, musi więc lawirować zgrabnie by z nikim się nie związać na 100%.

Pewnym wskaźnikiem stosunku Polonii do emigracyjnych obozów politycznych może być fakt, iż w nowojorskich Nowym Świecie, oraz Robotniku, w bostońskim Kurierze Polskim, w chicagowskim Dzienniku Związkowym oraz Pittsburchaninie przeważają wyraźnie wpływy Rady Politycznej; buffalowski Dziennik dla Wszystkich oraz Dziennik Chicagowski sympatyzują w pewnych wypowiedziach z Mikołajczykiem, podczas gdy detroicki Dziennik Polski jest organem obozu prezydenckiego. Przeważająca masa polonijna jednak w ogóle się tymi zagadnieniami nie pasjonuje i nie zdradza w tym kierunku wielkiego zainteresowania.

Klasycznym przykładem znaczenia głosów polonijnych była ostatnia trzecomajowa debata w obu izbach kongresu. Na dwudziestu kilku przemawiających w sprawie polskiej kongresmanów i senatorów, tylko jeden, bodajże reprezentant p.n. Karoliny, nie pochodził z okręgu polonijnego. Podobnie i w innych sprawach największą uczynność wykazał są skłonni ci właśnie członkowie Kongresu, którzy zależni są od polonijnych wyborców.

Tak jak ongiś zagadnienie walki z komunizmem, tak obecnie na czoło naszych obaw wysuwa się problem odradzającego się nacjonalistycznego rewizjonizmu niemieckiego. Pod koniec maja obradował w Waszyngtonie zarząd Kongresu Polonii, który powziął dwie ważne uchwały w tej dziedzinie. Pierwsza uzasadnia polskie prawa do granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, druga przestrzega kierownicze czynniki amerykańskie przed niebezpieczeństwem rewizjonizmu niemieckiego, wskazując jednocześnie na ujemne strony reaktywowania, a zwłaszcza użycia armii niemieckiej na terytoriach tak niedawno przez nią okupowanych.

Dla skutecznej presji na centralne ośrodki dyspozycji politycznej nie wystarczy jednak nacisk samej, choćby najbardziej zjednoczonej, dynamicznej Polonii.

Wygranie zasadniczej batalii z Rosją Sowiecką, a także zabezpieczenie się przed odwetowymi dążeniami niemieckimi wymaga maksymalnego, solidarnego współdziałania wszystkich zainteresowanych narodów i ich przyjaciół. Rola Polonii Amerykańskiej, jako najsilniej-

szego na tym kontynencie partnera, może tu być ogromna. Godna uwagi jest zainicjowana przez Ukraińców na wiosennej konferencji w Hudson Hotel w New Yorku forma współpracy organizacyjnej Amerykanów środkowo-wschodnio-europejskiego pochodzenia. Ukraińców i Słowaków w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie razem jest mniej więcej po milionie. Wraz z innymi zainteresowanymi grupami narodowymi suma globalna dodana do masy polonijnej przekracza 10 milionów, co przy planowym działaniu stwarza nie bylejaką siłę polityczną. Byłoby wskazane, aby Kongres Polonii czynnieją zajął się montowaniem tego bloku. Wobec wielkiej potęgi jaką są w prasie amerykańskiej, radio, telewizji, filmie i całym przemyśle rozrywkowym oraz handlu Żydzi amerykańscy, byłoby rzeczą bardzo wskazaną nawiązanie bliższej niż dotąd współpracy między Polonią a potężnymi centralami żydostwa amerykańskiego. Zwłaszcza, że na odcinku czujności w stosunku do nowych apetytów niemieckich — zaszy u Żydów w wyniku straszliwych przejść ostatniej wojny, podstawowe przeobrażenia. Przykładem tej zmiany stanowiska jest powojenna polityka w sprawach niemieckich najpoważniejszego dziennika — *New York Times*. Dziwić się należy, iż mimo okazałej liczby ludzi pochodzenia żydowskiego, w naszej prasie emigracyjnej i instytucjach tak nikie jest oddziaływanie polskie na Żydów amerykańskich.

W szerszym działaniu informacyjnym dotkliwie daje się odczuwać brak dobrych polskich wydawnictw w języku angielskim i celowo pomysłanej polityki wydawniczej. Aż prosi się, by szereg pierwszorzędnych książek polskich wydano na rynku amerykańskim w języku angielskim. Przydałaby się np. ogromnie wobec szeroko rozplenionych fałszów niemieckich o naszym astronomie, świetna książka Morstina dla młodzieży o Koperniku *Kłos Panny*, czy też dojrzała powieść historyczna, "strajkującego" niestety ostatnio, Parnickiego *Srebrne Orły*. Jakże pożyteczną rolę spełniać by np. mogła angielska mutacja *Kultury*. Inną przykrą bolączką jest mizerny stan poloników w bibliotekach i czytelnich publicznych. Odpowiedzialność za skandaliczne zaniedbania w tej dziedzinie ponoszą w pierwszym rzędzie nasze przedwojenne i wojenne przedstawicielstwa oficjalne, które nie zwracały uwagi na właściwe nasycenie tych podstawowych ośrodków myśli i pracy naukowej naszym materiałem. Taka Library of Congress, będąca największą biblioteką publiczną na świecie, pozbawiona jest najbardziej elementarnych polskich pozycji dokumentacyjnych. Są też i tajemnicze wypadki zaginięcia bezczynnych "białych kraków".

W odróżnieniu od takiej W. Brytanii szereg zasadniczych nieświadomych czy umyślnych błędów na tematy polskie w książkach i prasie amerykańskiej pozostaje bez riposty. Większą w tym winę ponoszą emigranci polityczni, niemniej część odpowiedzialności za każdą bezsprostowania pozostawioną obrazę, atak czy pomyłkę spada także i na Polonię, której duma i dobrze pojęty interes powinny nakazywać każdorazowo natychmiastową reakcję.

Zdaje sobie sprawę, że te wszystkie zadania wymagają mobilizacji ogromnych funduszy i przy obecnym stanie finansowym Kongresu Polonii nie są do osięgnięcia. Od jesieni zapowiedziana jest jednak powszechna akcja zbiórki pieniężnej na polityczną działalność Kongresu w obronie sprawy polskiej. Należy więc wyrazić nadzieję, że główne luki zostaną z czasem planowo zlikwidowane.

Kronika angielska

Sezon jesienny w polskim Londynie stoi pod znakiem licznych wyjazdów do Stanów Zjednoczonych. Co drugi polityk, działacz, literat, dziennikarz, poeta — wyjeżdża za Ocean. Zostają ci, co są tu naprawdę osiadli oraz ci nie-osiadli, którzy i w Ameryce nie mieliby żadnych szans osiedlić się a z Anglią wiąże ich "Assistance Board". Zostają oczywiście wszyscy "kamienicznicy". W Londynie — warto zaznaczyć — mamy 1.500 polskich domów. Właścicielami tych domów są przeważnie byli wojskowi. To są nasi "osadnicy wojskowi", którzy zdecydowani są przetrwać burzę dziejową nad flegmatyczną Tamizą.

W każdym razie gdyby istotnie wyjechali do Stanów Zjednoczonych ci wszyscy, którzy gorączkowo zabiegają o wize, "assurance" itp., to profil społeczny emigracji w Anglii uległby wielkim przeobrażeniom. Siłą rzeczy starczo-władztwo" w obozie emigracyjnym uległoby dalszemu wzmocnieniu. Starsi panowie nie wyemigrują z Anglii i rządzić będą nadal, miotając gromy i pouczenia. W normalnych czasach i w zwyczajnych warunkach istnieją również pogładowe różnice pomiędzy "młodymi" a "starymi". Lecz na emigracji do tych naturalnych różnic dołączają się jeszcze różnice wypływające z faktu, że "starzy" nie chcą i nie mogą wrócić w obczyznę, a "młodzi" chcą i muszą.

Weźmy dla przykładu następującą b. istotną sprawę. P. Auberona Herberta, Wice-przewodniczący Rady Gł. Stowarzyszeń Anglo-Polskich — wystąpił na łamach londyńskiej prasy polskiej z propozycją by Rząd R. P. opracował dekret o podwójnym obywatelstwie. W myśl tego projektu Polacy przyjmując obywatelstwo brytyjskie zatrzymywaliby obywatelstwo polskie.

Zygmunt Nowakowski przeczytał list otwarty p. Herberta — rozdarł szaty i zagrział. Łatwo jest grzmieć p. Nowakowskiemu — jak równie łatwo byłoby grzmieć i niżej podpisanemu — bo ani sytuacja życiowa p. Nowakowskiego, ani sytuacja moja nie uległyby żadnej zmianie gdybyśmy przyjęli obywatelstwo brytyjskie. Nam jest to po prostu zupełnie nie potrzebne. Łatwo jest odrzucać i potępiać, gdy to nic nie kosztuje i nie jest połączone z żadną ofiarą. Inaczej jednak na tę sprawę patrzy 486 dyplomantów Polish University College i 719 studentów tej uczelni. Inaczej to zagadnienie wygląda dla setek studentów polskich studiujących na angielskich uniwersytetach, w szkołach technicznych, handlowych itp.

Już raz zabierałem na łamach "Kultury" głos w tej sprawie wykazując, że obywatelstwo brytyjskie jest często niezbędnym warunkiem zdobycia pełnych kwalifikacji zawodowych. Ani mnie ani p. Nowakowskiemu do członkostwa w Związku Dziennikarzy R. P. obywatelstwo brytyjskie nie jest potrzebne — jednak młody architekt by zostać członkiem R. I. B. A. musi wprawdzie uzyskać obywatelstwo brytyjskie. To samo dotyczy inżynierów mechaników, chemików, elektryków itp.

W związku z tym należy podkreślić, że ta właśnie grupa "Katonów & Rejtanów" — która wszystkie swe soki czerpie (poza "Assistance Board") z ghetta emigracyjnego — swym nieżyciowym hurra-patriotyzmem kopie przepaść między starszym pokoleniem a młodymi. Dzięki tej polityce sprawa zmiany obywatelstwa traktowana jest wstydliwie a w licznych wypadkach, ci co przyjęli obywatelstwo brytyjskie odsuwają się od polskiego życia społecznego. Piętnowani są bowiem przez "Katonów", których pełno jest w naszych instytucjach.

Szczerze i absolutnie czyste intencje Zygmunta Nowakowskiego nie może podlegać dyskusji, ale osobiście znam wielu "Katonów", którzy piętnując tych, którzy przyjęli z konieczności obywatelstwo brytyjskie — sami wzięliby natychmiast paszport angielski, gdyby im ktoś wzamian za to ofiarował 5 szylingów tygodniowo czy jakkolwiek inną korzyść czy przywilej.

Wydaje mi się, że Rząd wzmocniłby wydatnie więź łączącą go z młodymi gdyby poszedł po linii wskazanej przez p. Auberona Herberta.

Dla tych wielu naszych Czytelników, którzy w różnych okresach wyemigrowali z Anglii interesującą będzie wiadomość, że polscy architekci przebudowują — Londyn...

Między 13 września a 16 października br. odbyła się w "Institute of Contemporary Art" wystawa planów i modeli-makiet obrazująca prace pięcioletniego okresu Sekcji Planowania Miast londyńskiej Polskiej Szkoły Architektury. Kierownikiem Sekcji jest prof. inż. W. K. Śmigiełski.

Wystawa była olbrzymim sukcesem. Pomijam omówienia jakie ukazywały się w prasie fachowej, ale pragnę podkreślić echo w prasie codziennej i w tygodnikach. Popularny nie tylko w Anglii ale na całym świecie tygodnik "Picture Post" zamieścił dwie strony zdjęć z wystawy pod wymownym tytułem: "Poles redesigning London". Istotnie Polacy przebudowali Londyn całkowicie — poczynając od Trafalgar Square poprzez Soho, Covent Garden, Westminster, Piccadilly i otoczenie katedry św. Pawła.

We wszystkich projektach uderza harmonijne połączenie celowości z pięknem nowoczesnych form architektonicznych przy pełnym zrozumieniu poszanowaniu zabytkowego charakteru miasta. Pewne rewolucyjne posunięcia polskich architektów mają właśnie na celu wydobycie czaru zabytkowej architektury Londynu. Do tego celu zmierzają plany przebudowy otoczenia katedry św. Pawła lub śmiało przesunięcie słynnej kolumny Nelsona na placu Trafalgar tak by stała na skrzyżowaniu pięciu arterii przebiegających przez plac.

Tak oto nasi młodzi architekci (ekspozycy) do przeważnie prace dyplomowe) zrobili dobrą propagandę polskości przebudowującej... Londyn.

Byłby czas żeby nasze "czynniki" i mężowie stanu pojęli, że propagandy (w prawdziwym tego słowa znaczeniu) nie robi się ani broszurami, ani mapami, ani memoriałami, których nikt nigdy nie czyta — lecz wyłącznie wybitnymi dziełami. Propagować — to znaczy zwrócić na coś, czy na kogoś uwagę. By skupić uwagę trzeba zaprezentować niezwykłe osiągnięcie — wybitne dzieło. Wszelka inna propaganda jest b. kosztownym systemem samo-oszukiwania.

W poprzednim numerze "Kultury" podaliśmy w dosłownym brzmieniu zakończenie omówienia pióra Harolda Nicolsona poświęcone książce J. Czapskiego. Komentując tę recenzję na łamach londyńskiego "Dziennika Polskiego" p. Juliusz Sakowski pisze m. in.: "Jest w niej (w tej recenzji) wszystko co trzeba i o Katyniu, i o Jałcie, o winach Sprzymierzonych, i o opuszczeniu przez nich Polski, jest w niej prawda o niewoli w Rosji i prawda o polskiej niedoli. Stało się to za sprawą jednej dobrej książki polskiego pisarza. Nie zdziałałby tego żaden memoriał polityczny, mimo, że Nicolson jest nie tylko pisarzem ale i politykiem".

Rozważając te sprawy p. Sakowski dochodzi do wniosku, że choć na emigracji posiadamy więcej wybitnych pisarzy niż wybitnych polityków to jednak pisarze nie wywierają na naszych polityków żadnego wpływu.

Wydaje mi się, że pod względem literackim Rada Polityczna jest bardziej różnorodna niż obóz rządowy. W Radzie Politycznej zasiadają bowiem: Terlecki Tymon, Nowakowski Tadeusz, Herling-Grudziński oraz nie-zawodowcy w rzemiośle pisarskim: gen. Bór-Komorowski i Z. Stypułkowski. Do tego wieńca dodać jeszcze należy wybitne pióra profesorskie: Stroński, Folkierski, Zóltowski, Sukiennicki.

Na literackim olimpie rządowym królują trzy postacie również nie na miarę "utility" — : Zygmunt Nowakowski, St. Mackiewicz, Grubiński.

W pewnym sensie jest rzeczą zrozumiałą, że pisarze wywierają mały wpływ na swych kolegów polityków w sprawach związanych z tzw. "jednością" jako, że o tę jedność właśnie wśród pisarzy byłoby

najtrudniej. Dziwne jest natomiast, że pisarze, którzy biorą czynny udział w życiu politycznym nie wywierają żadnego wpływu na naszą "politykę" kulturalną.

Wszystko się u nas dzieje z inicjatywy jednostek. Indywidualne osiągnięcia mamy poważne. Niestety nie umiemy jednak sumować naszych wysiłków. Każdy zdolny Polak jest zaraz ambasadorem polskości, ale jest już ponad siły zdolnych Polaków by stworzyli łącznie jedną polską ambasadę.

Mam na myśli Skarb Narodowy, rozmaite fundusze i jakże liczne instytucje, które nasi wybitni i mniej wybitni partyzanci literatury utrzymują w błogim dla urzędniczej duszy przeświadczeniu, że literatura, działalność wydawnicza, czasopisma, teatr, jednym słowem tzw. "życie kulturalne" — nie potrzebuje absolutnie niczego prócz łaski Niebios.

Skarb Narodowy finansuje przynajmniej jedno pismo polskie na obczyźnie. Nie jest to wiele ale przecież coś. Nazwa tego postępowego periodyku brzmi: "Wiadomości Skarbu Narodowego".

Londyńczyk

Kronika francuska

EKSPERYMENT IROWSKI W VALENCE

Pierwszego sierpnia został zamknięty kurs zegarmistrzowski na Hautes Faventines pod Valence (Drôme). Był prowadzony za pośrednictwem IRO przez francuskich społeczników i spółdzielnię robotniczą Boites de Montres du Dauphiné (Boimondau). IRO zakupiło fabrykę Hautes Faventines na licytacji, a Boimondau dostarczyło kadr fachowych. Przewidywano wyszkolenie stu piętnastu uchodźców niezdolnych do pracy fizycznej oraz zapewnienie im egzystencji w charakterze udziałowców kooperatywy, w jaką kurs miał być przelastowany po roku. Zważywszy środki, przeznaczone na ten cel przez IRO (wydano w sumie dziewięćdziesiąt pięć milionów franków), plan wydawał się realny.

Nie zainteresowano nim jednak więcej niż osiemdziesięciu uchodźców, którzy przybywali do Valence małymi grupkami przez cały czas trwania kursu. Najwięcej było Polaków (ok. 30 procent). Szkoła istniała dłużej niż rok, ale większość uczniów nie spędziła w Valence więcej niż sześć miesięcy. Ci, którzy przybyli na Hautes Faventines latem ub. r., zastali zresztą fabryczkę w pełnym toku produkcji złotych kopert do zegarków. Robotnikami byli Francuzi, członkowie spółdzielni Boimondau, którzy pozostali tam do końca kursu i stanowili widomy znak władania i apetytów Boimondau na Hautes Faventines.

Latem 1950 otwarto z wielkim rozmachem trzy dalsze warsztaty i zatrudniono w nich napływających uchodźców, placąc im po 60 franków za godzinę. Kurs, który rozpoczął się wreszcie jesienią, sprowadzał się do kilku lekcji technologii, trygonometrii i rysunku technicznego w soboty. Wykładowcy nie mieli zresztą żadnych kwalifikacji zawodowych, co stwierdził w listopadzie kontroler Ministerstwa Pracy. Natomiast za wszelką cenę forsowano produkcję (kopert, werku, cyferblatów i narzędzi), zmuszając uczniów do szybkiej, niezwykłej dla nich i powierzchownej specjalizacji lub zatrudniając ich jako zwykłych robotników.

Po Nowym Roku, gdy zebrała się już sześćdziesiątka uczniów, uchodź-

cy zorientowali się, że nie robią postępów w nauce i poczęli niepokoić się wyraźnymi zamiarami Boimondau, by fabryczkę opanować całkowicie. W dodatku, Boimondau zadeklarowało publicznie swą sympatię dla partii komunistycznej i Rosji Sowieckiej, a władze policyjne jeły ostrzegać uczniów, że wstępując do kooperatywy mogą narazić się na opinię niepożądanych cudzoziemców.

Starania o poprawę sytuacji i polepszenie widoków na przyszłość — wszczęte wiosną br. w IRO i u władz francuskich — natrafiły na mur źle maskowanej obojętności. Sfinansowanie rozbudowy Boimondau uważano widocznie za ważniejsze od zapewnienia bytu uchodźcom. By zapobiec odświeżeniu kulis imprezy, dyrekcja kursu obiecywała patenty, uregulowanie statusu prawnego i prace... w innych fabrykach. Gdy to nie wystarczyło, komuniści z kadry fachowej kursu przeszli do kampanii oszczerstw przeciwko uczniom w miejscowej prasie komunistycznej. Usiłowano zmobilizować przeciwko nim robotników w Valence pod hasłem walki z faszystami. Za domaganie się ujawnienia kontraktu, zawartego przez Boimondau z IRO, sześciu uczniów zostało z kursu usuniętych. Wydarzenie to odbiło się szerokim echem w całej prasie francuskiej. Ale ani IRO ani tzw. czynnik uchodźczy nie ruszyli się. Władze francuskie, po dłuższym namyśle, poprzestały na doradzeniu IRO, by kurs zamknęło. Boimondau w ten sposób straciło dalsze subsydia, ale weszło w ostateczne posiadanie Hautes Faventines.

Usunawszy siedemdziesiąt pięć procent uchodźców, Boimondau szybko zapełnia Hautes Faventines swoimi ludźmi. W sierpniu pracowało tam jeszcze za 70 do 85 fr. na godzinę kilkunastu niedobitków z grupy uchodźczej. Reszta wróciła na bruk paryski i do przytułków Czerwonego Krzyża czy Assistance Sociale. Kilku zaledwie znalazło źle płatną pracę w swoim nowym zawodzie i odrabia ogromnym wysiłkiem zaległości. Gdyby — zamiast finansować komunistów — IRO było w ub. roku złożyło tytułem bursy po milionie franków na osobę w jakimkolwiek banku (a tyle w ciągu tego roku na każdego uchodźcę wydano) wszyscy uczniowie jeszcze dziś by się kształcili w obranym zawodzie i po trzech latach nauki przeszliby do życia gospodarczego jako dobrze wyszkoleni fachowcy.

Jan ULATOWSKI

Miał on dziwną współczesność i może dlatego współcześnie był nie pojmowany. Współczesność albowiem jest dwojaka. Kiedy w Warszawie, 1836 nocą, budzeni bywaliśmy przez kolegów aby choć obecnością naszą zastać pożegnania wysyłanym na Sybir, Słowacki wtedy z drugiego końca Europy Anhellego ojczyźnie przysłał — to jest pierwsza współczesność. Tej samej zaś zimy w zacnym polskim salonie mówiła mi pewna pani domu, «że rozpowiadają coś ciągle o zsyłkach a przecież u nas nikogo w czwartek nigdy nie brakuje» — oto jest druga współczesność.

Cyprian Norwid: O Juliuszu Słowackim.

Sprawy krajowe

Wspomnienie o Polskiej Akademii Umiejętności

Jesteśmy niemymi świadkami przymusowej likwidacji najstarszej i tradycyjnie najwyższej polskiej instytucji naukowej. W związku ze zwołanym do Warszawy w końcu czerwca 1951 r. tzw. Kongresem nauki polskiej, przestanie istnieć Polska Akademia Umiejętności w Krakowie, wchłonięta przez tzw. "Polską Akademię Nauk" — wierne odbicie moskiewskiego modelu. Trudno nie dopatrzeć się tragicznej ironii w fakcie, że likwidacja Polskiej Akademii Umiejętności dokonywana się jej własną uchwałą jako że — jak mówił na wspomnianym kongresie jej ostatni prezes, profesor Kazimierz Nitsch — "nowoczesna konstrukcja państwa socjalistycznego — nie przecząc konieczności chronienia indywidualnej twórczości naukowej — wymaga położenia głębokiego nacisku na szeroko założoną pracę planową i zespoloną...", jeżeli więc brak inicjatywy indywidualnej, powinna ją zastąpić inicjatywa nowoczesnej akademii nauk". Z tego też powodu rezolucja ostatniego Walnego zebrania P.A.U. uznaje, że jej istnienie jako odrębnej instytucji naukowo-badawczej straci rację bytu z chwilą powołania do życia "Polskiej Akademii Nauk".

"Przestarzałe", jak wynika z tej "samokrytyki", formy tradycyjnej działalności Polskiej Akademii Umiejętności ustępują tedy w roku pańskim 1951 miejsca "nowoczesnym" metodom naukowym i modnej w sowieckiej sferze wpływów organizacji badań naukowych "mającej hart i odwagę łamania starych tradycji" (słowa samego Stalina cyt. przez Cyrankiewicza w jego przemówieniu na otwarciu wyżej wspomnianego Kongresu nauki w Warszawie dnia 29 czerwca 1951 r.). Idzie tu nie o co innego, jak o "korzystanie z olbrzymich doświadczeń i ze wspaniałego dobrobytu nauki radzieckiej, która w

najcięższych chwilach niosła nieocenioną pomoc swemu krajowi, a dziś przoduje w realizacji porywających planów przekształcania przyrody, które dla całego świata są wzorem i przykładem pokojowej, twórczej pracy" (słowa Cyrankiewicza z dnia 29 czerwca 1951 r.). Imitacja tego "dobrobytu" ma iść w parze z zasadniczym przestawieniem podstaw ideologiczno-metodologicznych poszczególnych dyscyplin, idącym w ślad za dokonywującą się pełną parą przebudową ustroju społeczno-gospodarczego i z kategorię odrzuceniem wszelkiego "wpływu nauki burżuazyjnej", kosmopolityzmu, teorii idealistycznych itp. na stan nauki polskiej"; chodzi w gruncie rzeczy, wedle urzędowej wykładni dokonanej reformy, o "wzrost krytycyzmu w stosunku do tradycyjnych i odziedziczonych form i zagadnień naszej nauki, wyzwolenie pędu do szukania nowych dróg, wzmocnienie pragnienia dźwignięcia nauki polskiej na wyższy poziom". Ten zaś poziom ma się osiągnąć przez "planowe poprowadzenie badań na podstawie nowoczesnej metodologii naukowej, a więc materialistycznej przy powiązaniu kierunków i tematów badań z potrzebami społecznymi, które jasno określa plan 6-letni oraz przy związaniu nauki z walką o utrzymanie pokoju na świecie" (cytaty z przemówienia Cyrankiewicza w dniu 29 czerwca 1951 r.). Chodzi o "wyrugowanie metod pracy wynikających z nieprzezwyciężonego jeszcze elitaryzmu i kastowości, o nieustępliwe i konsekwentne zwalczanie rutyny i konserwatyzmu, skostnienia i dogmatyzmu, całego ciężącego jeszcze na nas balastu obumierającego świata opartego na wycisku człowieka pracy, a rodzącego faszyzm i wojny, ruiny i zdziczenie, o unikanie wszelkiej łatwizny myślowej, o przyswajanie sobie metody materializmu dialektycznego" — mówi w swym orędziu do Kongresu Nauki Bolesław Bierut.

W tych celach i w ten sposób znika z powierzchni polskiego życia instytucja, która wiernie i szczerze reprezentowała naukę polską w świecie, która poniosła niespożyte zasługi w zakresie scalania, popierania i organizacji nauki polskiej w okresie rozbiorowym przed 1918 rokiem, w okresie niepodległości 1918 - 1939, w mrokach nowego potopu jaki zalał ziemie polskie poczynając od 1 i 17 września 1939 roku. Ulega ona losowi innych fundamentalnych urządzeń polskiego życia kulturalnego, społecznego i politycznego. Istniejąc nieprzerwanie pod okupacją niemiecką, chociaż pracując w podziemiu (jej Biuletyn międzynarodowy publikowany w jęz. francuskim zdał światu sprawę z tej tajnej działalności P.A.U. w okresie od stycznia 1940 roku do grudnia 1944 r.), pracując już jawnie w następnym okresie komunistycznego zalewu i sowieckiej przemocy, ulega ona teraz — przysłowiowej pod komunistycznymi rządami — "unifikacji" całego życia w duchu leninowskiego "centralizmu demokratycznego". Proces ten stanowi modniejsze wydanie "epuracji" dokonanej np. ok. 1937

roku w Sowieckiej Akademii Nauk w Moskwie, bo nie polegające na stosowaniu jawnych czystek, usuwaniu uczonych, wyświadczeniu ponad miarę miernot "przydzielonych do nauki". Chodzi tutaj o planowy proceder scalania, który ma dać wyniki identyczne, a który łamie bezlitosnie wszystkie tradycje, zespoły i twory socjalne stanowiące łącznie siłę wzmagającą bierny opór przeciw komunistycznej presji. Równocześnie zaś każdy staje się własnym grabarzem (por. komunikat PAP z dnia 26 czerwca 1951 r. na temat audyencji przedstawicieli P. A. U. prof. Nitscha, Pieńkowskiego, Dąbrowskiego, Lehr-Spławińskiego i Wojciechowskiego u Cyrankiewicza oraz treść rezolucji "likwidacyjnej" Walnego zebrania P.A.U.), musząc jeszcze prosić o nieniszczenie dotychczasowego dorobku na miejscu "w trosce o pracę naukowego ośrodka lokalnego", zagładę zaś ich nie ma charakteru "treściowej likwidacji, lecz polega na włączeniu się w pracę nowego typu organizacji i służeńiu nadal w tej postaci rozwojowi nauki i narodowi" (cyt. przemówienia prezesa Nitscha na Kongresie nauki).

Nie czas jeszcze dzisiaj na pisanie historii Polskiej Akademii Umiejętności. Nie czas — bo i perspektywy należytej brakuje, i materiały źródłowe na wychodźstwie są skąpe (piszący te słowa zbierał ongiś w Krakowie, przez dziesiątki lat, te materiały, ale mu je zabrali ludzie Hitlera najpierw, ludzie Stalina potem). Ale wydaje się, że z racji jej likwidacji, trzeba przypomnieć w kilku chociażby słowach rozmiar dokonanego przez nią dzieła, jego znaczenia dla kultury Polski i świata, jego rolę w naszym życiu narodowym w kraju i na uchodźstwie. W ten sposób a **contrario** czytelnik zrozumie bez trudu jak oceniać wypada skasowanie Polskiej Akademii Umiejętności przez obecnych władców Polski.

Była Akademia krakowska ambasadorem nauki polskiej w okresie, w którym imię Polski wymazane było z karty politycznej świata. Powołana do życia w r. 1816 jako "Towarzystwo Naukowe Krakowskie", wzorujące się na o rok starszym Warszawskim "Towarzystwie przyjaciół Nauk", dziele Staszica — uległa ona w roku 1873 przekształceniu na "Akademię Umiejętności w Krakowie", która z kolei, w roku 1919, miała się stać "Polską Akademią Umiejętności". Przez cały ten, długi i ważny dla Polski okres czasu, reprezentowała ona w świecie jedność i ciągłość polskiej myśli naukowej, wiecznej, żywej, niczym niezłamanej. Świat naukowy widział w niej trwałą symbol pracy polskiego ducha, opartej o wolę wytrwania, o wiarę w przyszłość, o nierozzerwalną łączność z kulturą zachodnią. Zrodzona w okresie Wolnego Miasta Krakowa, nie przerywawszy swej działalności po aneksji tego protektoratu trzech mocarstw rozbiorowych — przez Austrię w roku 1846, była miejscem spotkania uczonych polskich z obcymi, którzy godność zagranicznego członka Akademii Polskiej uważali za zaszczyt, jeden z większych wśród honorów naukowych świata.

Polska Akademia Umiejętności chciała zawsze być instytucją ogólnopolską, chociaż w jednej z dzielnic zaborczych działała, chociaż pozostawała pod przemożnym wpływem uniwersytetów Jagiellońskiego w Krakowie i Jana Kazimierza we Lwowie, chociaż do 1918 r. miała na czele protektora — przedstawiciela cesarza z Wiednia (był nim przez długie lata znakomity uczony polski, Julian Dunajewski — 1821 - 1907 — jeden z poprzedników piszącego te słowa na drugiej katedrze nauki administracji i prawa administracyjnego w Uniw. Jagiellońskim, przywróconej w r. 1924 dla Władysława Leopolda Jaworskiego a zajmowanej potem do r. 1948 przez niżej podpisanego). Mowy nie było nigdy, wbrew pozorom, o faworyzowaniu przez nią jakiegokolwiek odcinka terytorialnego czy kulturalnego, a przeciwnie — chodziło jej zawsze o zachowanie najwyższej łączności z ogółem pracowników naukowych wszystkich ziem Polski. Jak była więc w swej pracy stałym łącznikiem między przeszłością a teraźniejszością i przyszłością kraju, tak była równocześnie kitem zespalającym całość kultury w Polsce, przygotowując przez to grunt pod formalne zespolenie nauki polskiej po odzyskaniu niepodległości państwowej.

Poza zakresem nauk technicznych (reprezentowanych przez "Akademię Nauk Technicznych" w Warszawie), Polska Akademia Umiejętności grupowała w swych czterech odrębnych wydziałach: filologów najpierw, historyków i filozofów (sensu largissimo!) potem, matematyków i przyrodników a na koniec lekarzy; wszyscy oni byli w Akademii na równi "u siebie", jej wydawnictwa, jej warsztaty pracy naukowej, jej muzea, jej publikacje periodyczne, jej zasílki służyły **wszystkim**. Około 20 komisji naukowych prowadziło nieprzerwaną pracę badawczą i wydawniczą; że wspomnę (z pamięci) o komisjach: orientalistycznej, historycznej, historii sztuki, historii oświaty i szkolnictwa w Polsce, filologicznej, historii wojskowej, prawniczej, etnograficznej, historii literatury polskiej, historii filozofii polskiej, historii medycyny, historii nauk matematyczno-przyrodniczych, językowej, nazw geograficznych, atlasu historycznego, socjologicznej, antropologicznej, geograficznej, nauk farmaceutycznych. Powstał i trwał w Akademii swoisty "klimat badawczy" nie bez pewnej uroczystej solenności (którą niewtajemniczeni w jego tajniki — tak często, na skutek niezrozumienia istoty rzeczy, "zarzucali" Krakowowi), ale oparty na szczerym zrozumieniu wzajemnym, wyrozumiałości, koleżeństwie, umiłowaniu bezinteresownej służby dla wiedzy. Była więc Polska Akademia Umiejętności ośrodkiem wszystkiego, co w nauce polskiej świeciło trwałym blaskiem: jej prezesami byli (cytuje z pamięci) przyrodnik Józef Majer, filolog i hellenista Kazimierz Morawski, historyk literatury Stanisław Tarnowski, przyrodnik Kazimierz Kostanecki, językoznawca Jan Michał Rozwadowski, prawnik Stanisław Wróblewski, historyk Stanisław Kutrzeba, filolog Kazimierz Nitsch; z jej licznych sek-

retarzy generalnych wypada wymienić np. historyka Józefa Szujskiego, prawnika Bolesława Ulanowskiego, orientologa Tadeusza Kowalskiego, historyka Jana Dąbrowskiego. Nie było nazwiska poważnego badacza naukowego w Polsce, które z czasem nie znalazło by się wśród grona członków czynnych lub korespondentów w Akademii, w łonie jej komisji naukowych, wśród jej współpracowników. Przynależność w jakimś bądź charakterze do Akademii była zawsze uważana w polskim świecie naukowym za odznaczenie wysokie, jej członkostwo było ukoronowaniem kariery naukowej. Przyznawano je nie tylko profesorom wyższych uczelni, chociaż z natury rzeczy ci przeważali; także indywidualna twórczość i praca badawcza, niezwiązana z żadną katedrą uniwersytecką, spotykała się nie rzadko z takim uznaniem przez Akademię. W specyficznej dla świata naukowego hierarchii rang i dostojęństw, było to wyróżnienie mające swój nigdy nie malejący ciężar gatunkowy. Stąd też promieniowały na świat nazwiska Tadeusza Zielińskiego i Leona Sterbacha w filologii klasycznej, Jana Baudouin de Courtenay i Aleksandra Brücknera w językoznawstwie, Michała Bobrzyńskiego, Oswalda Balcera i Stanisława Kutrzeby w historii ustroju, Stanisława Wróblewskiego i Władysława Leopolda Jaworskiego w nauce prawa, Stanisława Estreichera w historii i bibliografii, Michała Siedleckiego w naukach przyrodniczych i licznych setek innych uczonych.

Rola różnych monumentalnych wydawnictw Akademii — seitek tomów sprawozdań z prac Wydziałów Akademii, z prac komisyjnych, "Studiów i materiałów do historii ustawodawstwa synodalnego w Polsce", "Słownika Biograficznego", "Słownika Staropolskiego", wydawnictwa pism Ojców Kościoła, "Słownika dialektów polskich", Bibliografii Estreicherów, studiów orientalnych itd. itd. — jest tak wielka, że piszącemu te słowa trudno sił się, aby należycie przedstawić na tym miejscu wartość i trwałość tego wkładu w kulturę narodową i naukę świata. Samo wyliczenie ich wymagać będzie od przyszłego historyka Akademii bardzo wiele trudu, a cóż dopiero mówić o ich analizie.

Miała Akademia i przechowała przez okres wszystkich burz jakie kolejno nawiedzały ziemie polskie, wspaniałe zbiory sztuki przedhistorycznej (wśród nich kamienny posąg światowida odkryty na dnie Zbrucza w r. 1901), zbiory fizjograficzne, zawierające cenne okazy obrazujące florę, faunę i strukturę geograficzną Polski (wśród nich jedyny okaz nosorożca dyluwalnego odkrytego w roponośnych pokładach Staruni w r. 1929), zbiory archeologii klasycznej zawierające rzeźby, przedmioty sztuki świeckiej i religijnych, okazy broni siecznej i palnej itd. Patronowała wielu dziełom naukowym w skali ogólnonarodowej, autorytet jej rósł stale, pomimo wielu przeciwności różnego rodzaju. Wyprzedził on znacznie formalne przyznanie jej charakteru najwyższej instytucji naukowej w

Polsce, uprawnionej do reprezentowania nauki polskiej wobec świata; nie przeszkodziło jej to pozostawać w ścisłym kontakcie z innymi towarzystwami naukowymi w Polsce, z których Warszawskie, Lwowskie i Poznańskie grały szczególnie ważną rolę. Prace przyrodników polskich o światowym rozgłosie, Olshewskiego, Wróblewskiego, Kostaneckiego, Weigla — znajdowały w tej czy innej formie oparcie w patronacie, wydawnictwach lub materialnej pomocy Akademii.

Akademia aż po ostatnie dni trwała niezmiennie na posterunku, nikt i nic nie potrafił złamać jej wierności dla obiektywnej wiedzy, jej bezinteresownego wysiłku w służbie prawdy. Chociaż walcząc z materialnymi trudnościami — jej wielkie dobra ziemskie częściowo przepadły, częściowo zniszczały — kontynuowała swój wysiłek wydawniczy, prowadziła nadal swe warsztaty pracy naukowej, utrzymywała muzea, rewindykowała pokradzione przez okupanta zabytki. Jej doroczne zebrania stanowiły nadal, aż po rok 1951, doroczne święto nauki polskiej, którego odgłos przekraczał znacznie zasięg krakowskiego ośrodka naukowego. Jej stacje naukowe w Paryżu i w Rzymie trwały nadal, chociaż wymagało to wielu trudów różnego rodzaju. Przyszły historyk opíše, ile wysiłku zbiorowego i indywidualnego było trzeba, aby te tradycyjne ośrodki polskiej myśli naukowej na Zachodzie nie zniszczały od razu, w r. 1945. Uroczystości 75-lecia obchodzone w Krakowie w końcu 1948 r. w obecności przedstawicieli najwybitniejszych instytucji naukowych Zachodu i Wschodu (z Francji uczestniczyli w tej manifestacji: imieniem Instytutu Francuskiego p. Lacour-Gayet, imieniem Collège de France p. Mazon, imieniem Uniwersytetu paryskiego p. Maurice Fréchet, imieniem Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu p. Braun-Blanquet, imieniem Instytutu Francuskiego w Warszawie p. Pierre Moisy) stanowiły ostatnią manifestację niczym niezłamaną jedności Akademii z nauką Zachodu. Akademia wydała z tej racji 34 zeszyty "Historii nauki polskiej w monografiach", obrazujące rozwój polskiej twórczości naukowej aż pod koniec pierwszego półwiecza 20 wieku.

Atoli już z racji tych uroczystości przedstawiciele rządu w Warszawie publicznie podkreślili konieczność przebudowy podstaw pracy Akademii w duchu "wyższej i sprawliwszej formy badawczej: socjalizmu". Nauka — powiedzieli — miała zbliżyć się do życia, aby nie "uschła i nie odpadała jak martwy liść", miała stać na usługach planowania gospodarczego i ograniczyć się od wszelkiego "wsteczństwa tradycyjnego". Przede wszystkim miała ona oprzeć się kierunkom nieprzychylnym marksistowskiej metodologii w nauce i nauczaniu i to zostało określone jako warunek poparcia rządu. A w obecnych warunkach polskiego życia poparcie to jest warunkiem egzystencji sine qua non.

Ze zwykłym sobie "sens des étapes" reżim komunistyczny

wyciągnął logiczne wnioski z tych zapowiedzi w trzy lata potem. Trudno mu to przyszło, "Kongres nauki polskiej" uległ kilkakrotnemu odraczaniu aż wreszcie uznano w Komisji naukowej Kom. Centr. Partii (Petrusiewicz), że czas sposobny nadszedł. I oto Akademia nasza ustępuje miejsca "Polskiej Akademii Nauk", z nazwy pozornie zbliżonej do swej poprzedniczki, ale w istocie tworowi zupełnie odmiennemu.

Koniec oto z "burżuazyjnym" obiektywizmem pracy naukowej, tak dalece charakteryzującym dorobek Polskiej Akademii Umiejętności, że przedstawiciel Instytutu Francji na uroczystościach wawelskich 1948 r. uznał za stosowne podkreślić ten element wyrażając w przemówieniu swym — właśnie szczególnie z tej przyczyny — podziw najwyższej instytucji naukowej Francji dla Polski. Mowy już nie ma o bezstronności badawczej, o ponadpolitycznym podejściu uczonego do przedmiotu jego pracy, o kontynuowaniu misji poszukiwania prawdy. "Nauka jest bronią obosieczną w zależności od tego, w czym rękę znajduje" — powiedział na kongresie nauki w Warszawie w 1951 r. sowiecki akademik Ogarin. I oto trzeba wyjąć tę broń z ręki wroga, a uzbroić w nią rękę własną, aby mogła skutecznie zwalczać wszelki opór, nawet bierny. Presja socjalna, o jakiej naiwny Zachód nie ma wyobrażenia, opanowawszy całe życie zawodowe, gospodarcze, polityczne — brutalnie wkraça w dziedziny myśli, wiary, obyczajów. Koniec więc z atmosferą "świątyni nauki", odtąd panuje wszechmoc utylitaryzmu w pracy badawczej jako podbudowie dla planowania gospodarczego. Chodzi — jak mówi minister Szkół wyższych i Nauki, Rapacki — "o włączenie nauki do historycznego przeobrażenia naszego narodu, o włączenie pracy naukowej do politycznych, gospodarczych i kulturalnych zadań narodu polskiego w okresie demokracji ludowej" czyli — innymi słowami — o użytkowanie nauki dla umocnienia elementów będących przy władzy w Polsce.

Jesteśmy więc w punkcie zwrotnym dziejów nauki w Polsce. Jak już od 1947 r. można było — wbrew początkowym iluzjom — wnioskować z rozlicznych zapowiedzi i posunięć na płaszczyźnie nauczania akademickiego, w nauce panować będzie wszechwładnie totalizm metodologiczny, wyłączność jednej jedynej "ubóstwianej" metody naukowej, uniżony kult dla nauki rosyjskiej a paniczna obawa przed wszelkim kontaktem z nauką zachodnią i w ogóle zachodnią cywilizacją. Pod obuchem ustawicznego strachu przed zarzutem sabotażu, wstecznicstwa — ba! szpiegostwa kulturalnego czy gospodarczego, przed donosem i złą opinią, przed przeniesieniem z miejsca na miejsce, ruiną moralną i materialną, represjami w stosunku do rodzin itd. uczony musi albo "iść na całego", z zaciśniętymi zębami i wstrętem dla samego siebie, oddać się całkowicie na usługi reżimu, albo stosować — do czasu — metodę obojętności i zobojętnienia, całkowitej bierności, unikania

wszelkiego konfliktu sumienia dzięki pancierzowi pogardy dla świata i stworzeniu stanu, w którym się jest możliwie najdłużej tolerowanym, chociaż w roli utajonego wroga. Tragiczny splot zagadnień moralnych i materialnych, uleganie w pewnej mierze oszalałej propagandzie i całkowitej izolacji od świata zachodniego, poczucie dramatycznego zawodu w stosunku do uzasadnionych oczekiwań okupionych tyłu klęskami osobistymi i narodowymi — przyczynia się stopniowo do łamania psychicznego oporu młodszego pokolenia naukowców i ułatwia proces ujarzmiania myśli naukowej przez monopartię i jej ekspozytury kulturalne.

W tych warunkach nie ma już oczywiście miejsca dla kontynuowania pracy Polskiej Akademii Umiejętności. Można być nawet zdania, że może i lepiej się stało, iż — do czasu — przestanie ona działać, gdyż uchroni ją to przed nieuniknionym spadnięciem do rządu jeszcze jednej pomocniczej komórki technicznej rządzącego reżimu i przed wzięciem w ten sposób — nawet pośrednio tylko i pod przymusem — odpowiedzialności za metody, jakie stosuje się dzisiaj w Polsce. Mówiąc to, piszący te słowa nie jest bynajmniej zdania, jakoby słuszne było stanowisko tych, którzy potępiają z góry w czambuł wszystko co się dzisiaj dzieje w Polsce dlatego tylko, że się to dokonywa pod auspicjami Rosji i jej wykonawców! Nie zapomina on, że Polacy mieszkają w Polsce i że teza, głoszona przez pewne koła na wychodźstwie, że "im gorzej, tym lepiej" jest niesłuszna i katastrofalna. Rozumie on, że narodu i kraju nie można — nawet przejściowo — odpisać na straty, że każda tona wydobytego w Polsce węgla idzie — chociaż tylko w pewnym procencie — na korzyść Polaków. Ale niemniej wydaje mu się, że lepiej aby pozostały dobre tradycje Polski niepodległej — niepodległej kulturalnie, niepodległej politycznie — niewciągnięte siłą w diaboliczny krąg dyktatorskiego bezprawia, samowoli, demagogii, cynizmu i zakłamania.

Dlatego, bolejąc szczerze nad obecnym losem Akademii w Krakowie, bolejąc nad sytuacją w jakiej się znajduje nauka mego kraju, bolejąc nad tym, że bezradni musimy przypatrywać się niszczeniu naszego dorobku kulturalnego wtłoczonego w pazury dogmatyzmu komunistycznego, wyrażam nadzieję, że doczekamy się dnia, w którym Polskiej Akademii Umiejętności dane będzie otworzyć na nowo swe podwoje, uruchomić swe pracownie, podjąć swe dawne, najlepsze tradycje służenia czystej i bezstronnej wiedzy. Jakkolwiek i kiedykolwiek to się stanie, a stanie się to na pewno — jest to tylko kwestia czasu — wypada by wszyscy myślący Polacy zadumali się dzisiaj nad losem najwyższej polskiej instytucji naukowej ulegającej przemocy.

Jerzy Stefan LANGROD,

Kłopoty «sportowe» reżimu

Marzeniem każdego sportowca polskiego jest wzięcie udziału w jakimś turnieju międzynarodowym na Zachodzie. Niestety państwa bloku sowieckiego są całkowicie samowystarczalne w dziedzinie sportu i wyjazdy zawodników polskich ograniczają się co najwyżej do Pragi, Budapesztu lub Bukaresztu. Nie ma jednak reguły bez wyjątków. Siatkarkom, z niewiadomych przyczyn, powiodło się lepiej niż piłkarzom czy bokserom; i oto dwanaście jasnowłosych Słowianek przyjechało w piątek 14. IX. do Paryża na mistrzostwa Europy. Trzeba od razu zaznaczyć, że dzielnie broniły one barw Polski ludowej i bardzo spodobały się francuskiej publiczności. Za to kierownictwo drużyny i ambasada warszawska miały moc przykrości od samego początku turnieju. Bo to doprawdy pech czy ironia losu, ale pierwszym przeciwnikiem Polek okazała się reprezentacja „jugosłowiańskich odszczepieńców”. Postanowiono porzucić wyjątkowo zasady kurtuazji sportowej, nie wymieniać proporczyków pamiątkowych i nie podawać rąk „heretyckom”. Sport sportem, a polityka polityką! Ku wielkiemu jednak zdziwieniu polskiego kierownictwa, reprezentacja Z.S.S.R., która następnego dnia grała przeciwko tym samym Jugosłowiankom zachowała się jakby nigdy nie było rezolucji Kominformu i z całą serdecznością przywitała przeciwniczki. Na szczęście w spotkaniach finałowych Polki jeszcze raz zmierzyły się z „Titoistkami” i tym razem poszły za przykładem „starszych sióstr rosyjskich” naprawiając gaffę.

Jeszcze większe trudności miało kierownictwo poza stadionem. Organizatorzy turnieju ulokowali polskie siatkarki, jak wszystkie inne reprezentacje, w „Cité Universitaire” i przydzielili je do studenckiej restauracji. Oczywiście nie można było w takich warunkach uchronić naszych Z.M.P.-ówek od zgubnych kontaktów z francuskimi studentami. Ambasada zdecydowała więc przenieść swoje podopieczne do bardziej zacisznego hotelu. Zaś zawodniczkom, które musiały z własnych diet pokrywać koszty tej troskliwej opieki (potracono im za hotel i restaurację), opowiedziano bardzo ciekawą historyjkę o francuskich prowokacjach. Podobno jakiś Francuz specjalnie nabrudził w łazience, żeby potem opowiadać w Paryżu, że Polki nie wiedzą jak korzystać z takich urządzeń. Doprawdy wstętni są ci Francuzi. Nawet portier w „Cité Universitaire”, gdy ładowano bagaż do aut ambasadorskich, prowokacyjnie podśpiewywał „liberté, liberté chérie...”.

Ch. L.

Kronika kulturalna

Shaw w Polsce

Na akademickie studium pod takim tytułem jest jeszcze za wcześnie. Ściślej mówiąc, nie można go napisać w naszych warunkach. Trzeba na to dostępu do archiwów teatralnych, jeśli ocalały, do roczników pism codziennych i czasopism. Należało by wglądać w korespondencję Shawa z Florianem Sobieniowskim, jego tłumaczem monopolistą lub prawie monopolistą. Ważne dla takiego studium są dokumenty poufne, zazwyczaj długo ociągające się z wyjściem na jaw: listy i pamiętniki. Istotne jest także oddalenie w czasie, widzenie zjawisk w stosunkach i związkach z bliska nie dostrzegalnych. Co prawda z owym „dystansem historycznym” nie należy przesadzać. Wcześniejsze w kolejności opracowanie tego rodzaju „Ibsen w Polsce” jest ciągle nie napisane i upływ czasu, odchodzenie żywych świadków, zacieranie się wspomnień uszczuplają materiał rzeczowy. Zostanie ono napisane zbyt późno, jak kilka studiów na temat „Szekspir w Polsce”, jak książka „Schiller w Polsce”.

W danych okolicznościach, gdy może nie jest za wcześnie ale na pewno jest za daleko, to co zamierzam powiedzieć o polskiej recepcji Shawa będzie uporządkowaniem faktów najbardziej znaczących, przebicciem próbnych przelotów ku pełnej panoramie, zbiorem tymczasowych propozycji, hipotez roboczych. Może ktoś inny dopełni tego, co niepełne, sprawdzi to, co jest tylko przypuszczeniem.

Przed wojną utarło się przekonanie, że kariera literacka Shawa w Polsce była zjawiskiem typowym dla okresu niepodległości i ograniczonym do jednej sceny — Teatru Polskiego w Warszawie. Jest to prawda i nieprawda. W każdym razie: prawda niepełna.

W rzeczywistości przyjęcie Shawa w naszym kraju sięga pierwszych lat tego wieku i było jednym z najwcześniejszych na całym kontynencie europejskim. Jako datę „a quo” należy

przyjąć okolice 1905 r. Warszawskie Rozmaitości wystawiły w r. 1906 "Candidę" z Marią Przybyłko-Potocką w roli tytułowej*). Pierwszą premierę Shawa w Polsce poprzedził gromkim i wyzywającym słowem wstępny Nowaczyński. Rittner ogłosił w "Świecie" bodaj pierwszy u nas szkic o ekscentrycznym Irlandczyku. Brodaty Zoil warszawski, Lorentowicz stwierdził, że "z powodu "Candidy" miał u nas Shaw chwilę całkiem europejskiej popularności".

W tym samym czasie lub nieco wcześniej teatr lwowski wprowadził na deski "Ucznia szatana" ("The Devil's Disciple"), a scena krakowska "Bohaterów" ("Arms and the Man").

Ostatnia z tych sztuk ukazała się w r. 1894 w Independent Theatre, była pierwszym i na długie lata jedynym sukcesem Shawa (76 przedstawień). Druga, "Uczeń szatana", ujrzała światło sceniczne w r. 1897 i nie długo pod nim pozostawała. "Candida", najbardziej ibsenowski z utworów Shawa i może najbardziej doskonały, grana wprzód tylko prywatnie i ogłoszona drukiem, dobiła się na scenę publiczną pod długim czekaniem ledwie w r. 1904. W ogóle dopiero w trzech, czterech następnych latach, dzięki Royal Court Theatre i entuzjazmowi jego kierownika Granville-Barkera, Shaw, podchodzący już pod piątą krzyżyc, stanie się we własnym kraju kimś znanym i kimś, choć nie bez oporów, uznanym.

Dwa lata dzielące "Candidę" warszawską od londyńskiej, nie jest to rozstęp zbyt wielki, zwłaszcza w tamtych czasach, gdy obieg walorów teatralnych nie był tak szybki jak dzisiaj. Ten rozstęp jeszcze się zmniejszy, jeśli zważyć, że na romańskim Zachodzie, w Paryżu, wszystkie trzy utwory, od których zaczęła się historia Shawa w Polsce weszły na scenę później, lub nie proporcjonalnie późno: "Candida" w r. 1908 (w rok po wcześniejszej premierze brukselskiej), "Bohaterowie" dopiero w r. 1921, a "Uczeń szatana" dopiero, dopiero w r. 1926...

Wartość tego wyprzedzenia zmniejsza okoliczność, że stosunkowo wczesny odbiór Shawa w Polsce nie był odbiorem bezpośrednim. Jak kiedyś Szekspir, także i Shaw — w swoim własnym przekonaniu pisarz lepszy od Szekspira — najprawdopodobniej przyszedł do nas przez Niemcy. Takie przypuszczenie nasuwa okoliczność, że właśnie te trzy sztuki ("Candida", "Uczeń szatana", "Bohaterowie") ukazały się w r. 1903 w przekładzie na niemiecki drugorzędного powieściopisarza i dramaturga, Siegfrieda Trebitscha. Jednocześnie w drezdeńskim Hoftheater Max Reinhardt wystawił "Candidę", rok później Berlin

*) Wacław Grubiński w artykule "Bernard Shaw nie umarł" ("Dziennik Polski" z 4 listopada 1950) podaje, że pierwszą "Candidę" była Siennicka. Sprzecza się to z informacją Jana Lorentowicza ("Dwadzieścia lat teatru", Warszawa 1930, t. II, str. 129), przypisującą tę rolę Przybyłko-Potockiej. Bez zajązienia do oryginalnego afisza nie można rozstrzygnąć kto ma słusność. Przyjęto tutaj wersję Lorentowicza, ponieważ jego książka nie jest zbiorem wspomnień, ale przedrukiem recenzji.

oglądał dwie inne sztuki z tego trójwyboru. Jeden trop szczególnie przemawia za tym, że taka a nie inna była droga pierwszych sztuk Shawa do Polski: tytuł "Bohaterowie" nie jest przekładem tytułu angielskiego "Arms and the Man" lecz niemieckiej wersji "Helden".

Ale zacząwszy z powodzeniem od najlepszej sztuki Shawa, Warszawa stała się miastem shawowskim, miastem, jak dowodzi zaraz następny 1907 r., prawie sfiksowanym na punkcie wczoraj nie znanego pisarza. Wątpię czy było wtedy jakiegokolwiek inne miasto w Europie, które by w ciągu jednego roku widziało cztery sztuki Shawa. W r. 1907 ukazali się w Rozmaitościach "Bohaterowie" i "Nie można przewidzieć" ("You Never Can Tell", premiera berlińska 1906 r.), Teatr Mały wystawił "Profesję Pani Warren" ("Mrs Warren's Profession", Berlin 1907 r.) i "Klub Ibsena" ("The Philanderer", Berlin 1908 r.). "Bernard Shaw staje się ulubionym tenorem Warszawy" — pisał bez przekąsu Lorentowicz, krytyk wychowany na literaturze francuskiej i teatrze paryskim; stwierdzał tylko, że ten nowy "tenor" jest "wytwornie jadowity ale i najbardziej gadatliwy".

Odtąd tempo przejmowania sztuk Shawa przez scenę polską przybiera na sile, skraca się odstęp czasu dzielący premierę w Warszawie od premiery w Londynie. "Lekarz na rozdwoju" (Doctor's Dilemma) ukaże się w r. 1909 w trzy lata po sukcesie w Court Theatre i tylko w rok po Berlinie. "Pierwsza sztuka Fanny" ujrzy — mówiąc ówczesnym językiem — "światło kinokietów" tego samego roku (1911) w Londynie, Berlinie i Warszawie. Następnego roku wielki aktor, jeden z najbardziej świadomych aktorów polskich, Kazimierz Kamiński wybierze "Ucznia szatana" na swoje przedstawienie jubileuszowe. Jeśli więc Arnold Szyfman zaraz w pierwszym sezonie Teatru Polskiego, na wiosnę 1914 r., kilka miesięcy po prapremierze berlińskiej, wystawi "Pygmaliona", nie będzie to krok rewolucyjny, ale wejście na szlak już wytyczony i utarty.

Tak samo lub dość podobnie wygląda sprawa ze Shawem w dwu innych ośrodkach teatralnych tego czasu: w Krakowie i we Lwowie. Zdobywały się one na pociągnięcia samodzielne, jak "Major Barbara", wystawiony w przekładzie Ryszarda Ordyńskiego na scenie krakowskiej w r. 1910, jak "Nawrócenie kapitana Brassbounda", które Warszawa zobaczy dopiero w r. 1927 pt. "Korsarz i Lady". Szły też dwie sceny galicyjskie za przykładem pani matki Warszawy. Niezawodna pamięć Stefana Badeniego mogła by dostarczyć szczegółów, nie sądzę jednak, aby zmieniały one obraz ogólny, w którym Warszawa zajmuje miejsce środkowe i reprezentatywne.

Pierwszy, przedwojenny okres sztuk shawowskich w Polsce rzuca znamienne światło na to miasto, pokazuje nam — Warszawę anglicyzującą, monopolowi francuskości w teatrze przeciwstawiającą najbardziej wybitny dramat angielski czasu. Być może, iż to Warszawa pozytywistyczna i radykalna, co przysięgała na Buckle'a, Spencera i Marksa, torowała drogę Shawowi.

Na pewno prostował mu ścieżki Ibsen, pisarz, którego Shaw stawiał wyżej, niż Szekspira, któremu w początkach twórczości poświęcił książkę: "The Quintessence of Ibsenism" (1891).

Shawizm, szowinizm shawowski Warszawa zaważył być może na twórczości Nowaczyńskiego i zwłaszcza Grubińskiego. Bardzo możliwe, że Grubiński w co najmniej równym stopniu należy do kręgu shawowskiego, jak do kręgu francuskich oddziaływań teatralnych, do którego od dawna go przypisano.

Tak czy owak, czy działały takie lub inne przyczyny, czy skutki są wskazane trafnie albo pozostają jeszcze w utajeniu — bodaj nie może być wątpliwości co do tego, że Shaw wcześniej zaznaczył się w biochemii Warszawy, miał wpływ na jej odczucie, na jej jedyny styl bycia.

W Polsce niepodległej Warszawa, w Warszawie Teatr Polski stanowią centrum ogniskujące, niejako wyznacznik całej recepcji Shawa w Polsce. Jej rozmiary jest stosunkowo łatwo określić dzięki zestawieniom i wyliczeniom w książce Lorentowicza, wydanej na 25-lecie Teatru Polskiego (Warszawa, 1938). Shaw zajmuje w tym teatrze drugie miejsce co do ilości przedstawień: 569 wieczorów w ciągu ćwierćwiecza — po Szekspirze (652) a przed Flersem i Caillavetem (365). Jest to blisko 10 % wszystkich przedstawień utworów obcych. Na scenie tego jednego teatru wystawiono 17 sztuk Shawa. Jedną z nich, "Pygmalion", ukazała się kilku nawrotami, w trzech czy nawet czterech różnych inscenizacjach, i osiągnęła olimpijski rekord 179 przedstawień (po "Pygmalionie" idzie "Wesele Figara", 120 przedstawień, "Dziady" 117).

Nie umiem dokładnie określić, kiedy Polska usamodzielniała się w odbiorze sztuk Shawa. Być może, iż "Klub Ibsena", wystawiony na rok przed Berlinem, w r. 1907, był już przejawem inicjatywy niezależnej i tłumaczeniem z angielskiego. W każdym razie doba niepodległości obywateli już bez pośrednictwa niemieckiego. Znakiem tego usamodzielnienia, a także świadectwem pozycji Warszawy i Teatru Polskiego wśród stolic i scen ubiegających się o pierwszeństwo są prapremiery, dziewicze przedstawienia sztuk, które dotąd zdarzały się poza Anglią tylko w Berlinie i w Nowym Jorku.

Z powodu "Wielkiego kramu" ("The Apple Cart", 1929) Shaw, wtędy już laureat nagrody Nobla, pisał do Szyfmana: "Było o to wiele zazdrości; Niemcy się wściekali i gdyby Sobieniowski szczęśliwie nie był opuścił Malvern przed przybyciem Siegfrieda Trebitscha, mogło by dojść do rozlewu krwi. Na próżno broniłem się tym, że dał Pan sztuce wspaniałą rozgłos, że wieści o wystawieniu jej przez Pana obiegły Europę ale Pan wie jacy są ludzie teatru..."

Zawikłania lokalne na pierwszym festiwalu w Malvern, wywołane doniesieniem "Observera" z Warszawy, wiarogodnie opisuje długoletnia sekretarka Shawa, Blanche Patch, w książce: "Thirty Years with G. B. S." (Londyn 1951). Nadworny tłumacz na język niemiecki przemilcza prapremierę warszawską "Kra-

mu" jeszcze w plakiecie wydanej w 90-tą rocznicę urodzin Shawa: "Bernard Shaw dem Neunzigjahrenen", (Zurich 1946). Widocznie to uprzedzenie było aż tak dotkliwe.

Przytaczany kilkakrotnie Lorentowicz opisał na gorąco (a nie był skłonny do ulegania gorączce) wrażenie z przedstawienia "Wielkiego Kramu" w takich słowach: "Odbywa się w Teatrze Polskim nieprawdopodobne zjawisko: słuchamy z największym nateżeniem uwagi, a niekiedy z prawdziwą rozkoszą długich, godzinami trwających dialogów politycznych i mówimy sobie po pierwszym akcie, że to wszystko "nie jest teatralne", a jednak słuchamy dalej i doznajemy wrażenia bardzo wyrafinowanej i wytwornej zabawy". "Widowisko należy do najbardziej sharmonizowanych i najlepiej opracowanych przedsięwzięć Teatru Polskiego". O wykonawcy roli głównej (Króla Magnusa) Junoszy-Stępowskim ten powściągliwy krytyk tak pisał: "Żałować należy, że Shaw nie mógł przybyć na premierę, jak to zamierzał uczynić, zobaczyłby idealnego wprost Magnusa, jakiego na pewno nie znajdzie w Anglii". Rzeczywiście odtwórca tej roli w Malvern Cedric Hardwicke nie był godzien nosić stołka za Stępowskim. Może jego partnerka Edith Evans dorównywała Orynthii wcielonej przez Przybyłko-Potocką, o której Lorentowicz stwierdzał, że "czarowała subtelnymi wyrażań akcentów, budziła podziw wysokim tonem swej gry wyrafinowanej". "Wielki kram" szedł w Teatrze Polskim 50 razy.

Jedno tylko było nie udane w polskim wydaniu "The Apple Cart" — tytuł. Ale to należało do zwykłego losu sztuk Shawa, a tej w szczególności. Trebitsch wyznaje dość naiwnie, że "po długim, ciężkim wahanu nad wyborem tytułu nazwał ją "Der Kaiser von Amerika"". Ten cesarz amerykański jest jeszcze większym, bardziej niedorzecznym kramem, niż "Wielki kram".

Bałamutnie wygląda w przedstawieniu Lorentowicza — stwierdził to wcześniej p. Jan Ostrowski-Naumoff — sprawa dwu innych prapremier shawowskich Teatru Polskiego: "Nad przepaścią" ("On the Rocks", 1933) i "Matołek z Wysp Nieoczekiwanych" ("The Simpleton of the Unexpected Isles", 1935). Pierwsza z tych sztuk w ogóle nie wchodzi w grę, znalazła się tu omyłkowo. Pedantyczna panna Patch stwierdza, że nie "fantazja polityczna" "On the Rocks", ale wcześniejsza sztuka "Too True To Be Good" (1932), "przybyła do Malvern drogą przez Polskę, po prapremierze w Stanach Zjednoczonych". "Matołek z Wysp Nieoczekiwanych", ukazał się w Nowym Jorku w lutym 1935 r., w Malvern w lipcu, w Berlinie w sierpniu tego roku. Jego wystawienie w Teatrze Polskim w marcu było więc tylko prapremierą europejską, jak wystawienie "Zbyt prawdziwe, żeby było dobre".

Wśród 17 sztuk Shawa granych w Teatrze Polskim (na 20 dzieł Szekspira) były utwory nowe i utwory grane dawniej. Wszystkie, niemal wszystkie, otrzymały świetne obsady, najlepszych reżyserów, oprawę dekoracyjną mistrzów tej klasy, co Drabik, Frycz, Śliwiński i Daszewski, nieraz przekraczającą wy-

magania tekstu i najśmielsze marzenia autora. (Sam widziałem we Lwowie przedstawienie Shawa w niezmiernie wymyślnych formistycznych, abstrakcyjnych dekoracjach Andrzeja Pronaszki).

W pierwszym wcieleniu "Pygmaliona" prof. Higginsa grał Zelwerowicz, Elżę — Przybyłko, papę Doolittle'a — Maks Węgrzyn, w drugim te role objęli: Węgierko, Romanówna, Jaracz, którego złuzował wprzód Dominiak, potem Kurnakowicz. "Majora Barbarę" kreowała Miła Kamińska, rolę kapitalisty Undershafta z tej sztuki podał wielki Kamiński (1919) niemniej wielkiemu Jaraczowi (1933 w Ateneum). O kreacji Stanisławskiego w "Nigdy nie można przewidzieć" (1923), Boy pisał ze sporego oddalenia: "Po dziesięciu latach mam w pamięci każdy gest, każdą intonację roli, która stała się wdziękiem tej sztuki. Ten idealny kelner, artysta w swoim fachu, dyskretnie życzliwy, nienagannie taktowny i pełen uszanowania, jedynie — zdawało by się — dobrze wychowany człowiek w całej Anglii. Każde słowo budziło cichą radość, każde było subtelnym dowcipem...". Malicka liczyła się do najlepszych w Europie odtwórczyń "Św. Joanny" (1924). "Człowiek i nadczłowiek" (1928) miał koncertową ekipę: Tanner i w piekielnym epilogu Don Juan Tenorio — Adwentowicz, Anna i Donna Anna — Modzelewska, Ramsden i Komandor — Maszyński. Tę sztukę tuż po "Juliuszu Cezarze", wspaniałym widowisku monumentalnym, reżyserował Leon Schiller, wywodzący się z linii craigowskiej, zasadniczo wrogię Shawowi, sięgający właśnie w "Samuelu Zborowskim" (1927) szczytu polskiego teatru romantycznego, polskiego teatru wizyjnego. Nie była to zresztą jedyna praca shawowska Schillera. W r. 1930 inscenizował w Teatrze Narodowym "Dom serc złamanych" z Solskim w roli kapitana Shotovera, w r. 1933 w Teatrze Polskim "Nad przepaścią" (Przybyłko, Romanówna, Stępowski, Zelwerowicz).

Mimo, że role w sztukach Shawa znajdowały świetnych odtwórców, nie można mówić o aktorach shawowskich w tym sensie, w jakim Adwentowicz i Solska byli niezrównanymi, kongenialnymi aktorami ibsenowskimi. Wolno może stwierdzić, że wśród reżyserów okresu niepodległości Aleksander Węgierko, jak Esmé Percy w Anglii, zdobył najwyższą specjalizację w tym zakresie ("Pygmalion", "Zbyt prawdziwe, żeby było dobre", "Matołek", "Żołnierz i bohater" i in.).

Losy Shawa w Teatrze Polskim były obowiązujące dla wszystkich scen Warszawy, dla wszystkich scen polskich. Można zaryzykować twierdzenie, że pokazano niemal wszystkie pięćdziesiąt sztuk Shawa, z wyjątkiem "metabiologicznego pentateuchu", olbrzymiego cyklu pięciu dramatów "Back to Methusalem", w którego sceniczność zrazu sam Shaw nie wierzył, z wyjątkiem takich mniej ważnych pozycji jak "In Good King Charles' Golden Days" (1939). Stosunkowo największe luki mogą być w zakresie utworów jednoaktowych, bo nie dostawało nam zrozumienia dla małej formy dramatycznej. Jeden z naj-

bardziej uroczych drobiazgów Shawa "Czarna dama z sonetów" była jednak grana kilkakrotnie.

W ostatnich latach przed wojną fala powodzenia Shawa osiągnęła punkt szczytowy. W samej tylko Warszawie Teatr Mały grał "Żołnierza i bohatera", Teatr Malickiej "Profesję pani Warren" z dyrektorką w roli Wiwii, w Teatrze Narodowym szedł "Korsarz i Lady" z Ówiklińską w roli Lady Cecyli, w Teatrze Polskim "Milionerka" z Modzelewską w roli tytułowej, "Szczygli zaułek" z Andryczówną w roli Blanki, "Genewa" z Węgrzyńcem ucharakteryzowanym na Hitlera. Był to jakby pokaz, festiwal, parada shawowska obejmująca nowe, najnowsze sztuki, wznowienia z najlepszej epoki twórczości, aż do zaczątków. "Dostłownie — stwierdzał Boy-Zeleński — od ostatniej sztuki do pierwszej".

"Szczygli zaułek" pokazany na scenie Teatru Małego w r. 1937, to rzeczywiście pierwsza sztuka Shawa "Widower's Houses" i pierwsza jego sromotna kłapa z r. 1892. Teatr Letni wystawił ją w r. 1909 pt. "Lichwa mieszkaniowa", w teatrach galicyjskich grano ją p. n. "Obłudnicy". (Nawiasem warto wrócić, że tłumacze francuscy nadali temu utworowi tytuł "Non olet"...). Można by napisać cały essay o przemianach tytułów shawowskich.

Najbardziej osobliwym zjawiskiem w owym czasie był sukces "Żołnierza i bohatera" — zresztą jednej z najlepszych komedii, jakie napisano w języku angielskim. Sztuka antyromantyczna, gwałtownie antimilitarystyczna i antywojenna osiągnęła cyfrę ponad 180 przedstawień, niemal w przededniu nadciągającej ku nam wojny.

Przypadek "Żołnierza i bohatera", jak cała linia wstępująca kariery Shawa w Polsce nasuwa myśl, że od tych przykładów i wylczeń może bardziej interesująca byłaby odpowiedź na pytanie: w czym tkwiła tajemnica pociągu do tej twórczości odległej, dziwnej i złożonej? jakim potrzebom czyniła ona zadość? jakich kręgów sięgał jej wpływ, jakich pokładów życia zbiorowego?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Odpowiedzi na pytanie odwrócone: dlaczego Shaw nie budził żywszego odzewu we Francji i nie zdobył w teatrze francuskim żadnego miejsca, pani Mina Moore poświęciła znaczną część 220-stronicowej książki wielkiego formatu "Bernard Shaw et la France" (Paris 1933).

Najogólniej, najprościej mówiąc, Shaw w paradoksalny, tajemny sposób należał do naszego odczucia niepodległości. Stanowił jakby jedno z ujęć dla tego odczucia. Dostarczał kształtu, w który się ono przelewało, w którym się wyzwalało i obiektywizowało. Działał tu i przez kontrast i przez pokrewieństwo.

Teatr ożywionych idei, igrającej, uszczęśliwionej sobą inteligencji stanowił antidotum na literaturę wyżętą ze składników intelektualnych niemal do najwyższego stopnia, jaki sobie

można wyobrazić. Teatr w istocie swojej oschły, unikający wzruszeń i niezdolny do wzruszenia, był terapią na weszbrany nadmiar emocjonalności i liryzmu. Teatr w przeciwieństwie do wielkiego poprzednika Ibsena na wskroś optymistyczny, przeczył cierpieniu i cierpiętnictwu.

Shaw, autor manifestu Fabianów, zaczął swoją twórczość dramatyczną od porywu reformatorskiego ale szybko przeobraził ją w wirtuozerię, żonglerkę, prestidigitatorstwo, które wyrażało radosną, niezmęczoną, niewyczerpaną wynalazczość drgającego mózgu. Przez ten witalizm, kult życia dla życia, myślenia dla myślenia, mówienia dla samej rozkoszy słyszenia siebie Shaw uwalniał nas od wiosennego parcia energii żywotnej. Zamieniwszy nietscheański krytycyzm, "odwracanie wartości" w grę, w zabawę, był nam bliski przez to, że zwalniał od patosu, od szacunku dla tradycji, od dyscypliny, jakiej wymagały wartości zagrożone i trudne epoki bytu gromadnego. Uprawniał swobodę mówienia o wszystkim. Stanowił przykład, że można śmiać się ze wszystkiego i nie uważać niczego za nietykalaną świętość. Dawał pociągającą formułę wolności politycznej: jest to wolność myślenia co się komu podoba.

Nie stawiający sobie żadnych hamulców i ograniczeń jako artysta (w życiu osobistym był purytaninem), niedostrzegający w świecie poza przejściowymi niedomaganiem życia społecznego żadnych fatalności, anarchistyczny i atryczny — przystawał Shaw do złudzeń, że nasz polski los odwrócił się całkowicie i raz na zawsze, że logika historii zmieniła swoją kolejność. Usypiał zbiorową pamięć tragiczną. Ucinał perspektywy. Zwalniał od odpowiedzialności.

Uciekając się do jeszcze grubszego skrótu, można by powiedzieć, że był jedną z postaci przewycięzania Żeromskiego i władztwa tego pisarza nad polskim czuciem i myśleniem. Shaw nawet społecznikostwo twórcy "Przedwiośnia" stawił na głowie. Mówił o powikłaniach, niesprawiedliwościach i groźbach socjalnych w taki sposób, że przestawały niepokoić i boleć.

Z tym wszystkim należał Shaw do fizjologii naszego życia w wolnej ojczyźnie, należał w dobrym i złym, w tym co było uprawnione, co było zdrowym odruchem i w tym, co było ucieczką w samozłudzenie. Dystans niewielu lat ale jakże brzemienne pozwolił przypuszczać, że jego oddziaływanie nie sięgnęło głębi i chyba nie zostawiło trwałych następstw.

W Niemczech, od 1903 r. ukazywały się przekłady sztuk Shawa. We Francji, tak odpornej na uroki jego teatru, tamtejszy Sobieniowski, Augustin Hamon, zresztą tłumacz mimo woli, wydał już w r. 1907 tłumaczenie siedmiu utworów autora "Candidy". Jest uderzające, że w Polsce prawie nie wychodziły książkowe wydania jego dramatów. A wiadomo, że nie był on nigdy zdolny zmieścić się bez reszty w sztuce scenicznej; jego słynne przedmowy, przedmowy do przedmów, marginalia, posłowania i komentarze podwajają rozmiary sztuk, przedłużają ich

linie, nieraz są bardziej ważne i interesujące niż same sztuki. Brak przekładów drukowanych, brak zainteresowania nimi wynikał u nas z niedostatku kultury, z dosyć barbarzyńskiego zabobonu, że utwór sceniczny nie nadaje się do czytania. Ale świadczy on jednocześnie o powierzchowności stosunku do pisarza.

Przeciwnie niż we Francji i Belgii, gdzie odgłos wzbudzony przez teatr Shawa był niewspółmiernie nikły w porównaniu z echem w Polsce — brakło u nas głębszego, poważniejszego zajęcia się zjawiskiem. We Francji przed pierwszą wojną brano je na warsztat uniwersytecki, ukazało się kilka książek, m. in. wspomnianego Hamona "Molière du XX-ième siècle" (1913). W Niemczech już w r. 1910 wyszła monografia Juliusa Bab'a "Berhard Shaw"; wybitny teatrolog podnosił w niej protestanckość Shawa, usiłował dowieść, że otwiera on drogę człowiekowi politycznemu, wychodzącemu z założeń religijnych.

U nas niepodobna dojrzeć niczego podobnego. Shaw nie wzbudził nawet takiego ruchu jak jego ojciec duchowy Ibsen. Nie zdawano sobie sprawy z wewnętrznych sprzeczności, z kondygnacji, z pięter, na których istniał: agitator, działacz polityczny, moralista i kaznodzieja, kpiarz, wesołek, linoskoczek i jarmarczny farceur, ironista, sceptyk, mistyfikator i cynik. Jednocześnie szedł "Szczegli zaułek", pierwsza wyznawcza, reformatorska sztuka i na wskroś sceptyczny "Matolek" czy zgoła cyniczna "Milionerka". Nie zdawano sobie także sprawy z myślowych konsekwencji shawizmu. Shaw nie był u nas zagadnieniem. Był ledwie łaskotaniem intelektualnym.

Trudno jeszcze rozstrzygnąć czy w tym naskórkowym, bezwiednie lekceważącym stosunku wyrażała się nasza niezdolność czy też nasz instykt trafnej oceny. Ale to pewne, że gdy przyszedł czas próby, z polskiego shawizmu nic nie zostało. Miasto shawowskie, lekkomyślne, drwiące Warszawa wzniosła się na wyżyny patosu tragicznego.

Trzeba stwierdzić, że Shaw nigdy, a szczególnie w tym czasie, nic z nas i z naszych spraw nie pojmował. Darmo u niego szukać choćby takich zdań, jakie inny skrajny indywidualista André Gide, mimo zasadniczych różnic pod niejednym względem pokrewny Shawowi, zapisał w swoim dzienniku 14 września 1940: "Et Varsovie?... Il n'est pas de jour que je ne pense avec angoisse à son agonie. Il y a là des douleurs de l'inavoué, de l'inavouable; je ne sais quels sournois intérêts politiques, qui retiennent l'aide attendue".

12-tomowe wydanie dzieł dramatycznych w przekładzie Trebitscha, które ukazało się w 1946-48 Shaw poprzedził wstępem, jak na niego poważnym i szczerym: "Was ich der deutschen Kultur verdanke" (Co zawdzięczam kulturze niemieckiej). Nam, poza portretami Topolskiego, nic nie zawdzięczał i bodaj nie uważał, że my jemu zbyt wiele zawdzięczamy.

Wydaje się, że obecność Shawa w Polsce jest jedną z najbardziej błyskotliwych w naszej historii literackiej ale także

jedną z najbardziej powierzchownych i przelotnych. Nie był burzą, która wstrząsa do głębi, ani wielkim twórczym zapłodnieniem. Raczej chce się w nim widzieć wtór, przyswiadcający czemuś, co może było także w nim ale na pewno nie było z niego.

Przeszedł przez polskie niebo, jak w czas pogody przechodzi fantastyczny, uśmiechnięty obłok.

Tymon TERLECKI

Tło Lautrec'a

W związku z uroczystościami dwutysiąclecia Paryża, otwarto w Oranżerii i w Bibliotece Narodowej dwie wystawy Henri de Toulouse Lautrec'a. Pierwsza obejmuje kilkadziesiąt płócien oraz szereg rysunków, druga — olbrzymią ilość rysunków i litografii oraz rysunków i fotografii dotyczących środowiska, w którym Lautrec żył i pracował.

W wieku lat czternastu Lautrec uległ wypadkowi. Obie nogi złamane i źle złożone nie rozwiną się więcej i okaleczą go na całe życie. Nie będzie mógł odtąd oddawać się tradycyjnej rodzinnej pasji, jaką jest koń i polowanie. Zdradzając od wczesnej młodości zdolności rysunkowe, decyduje się w 1882, w rok po maturze, wstąpić do pracowni malarza Bonnata. Tam spotyka się z uczniami Cormona, a później poznaje braci Van Gogh oraz Gauguina. W 1885 Lautrec opuszcza ostatecznie pracownię i instaluje się na Montmartrze we własnym atelier. Dzielnica ta tętni w tym czasie bujnym życiem kabaretów, teatrów, balów, koncertów. W życiu tym Lautrec bierze żywy udział. Niezmordowanie utrwała ołówkiem na papierze, kredką na kamieniu lub igłą na miedzi to, co uważa za godne widzenia. Zna każdą aktorkę i wszystkich bywalców kawiarni i kabaretów, zna każdą intrygę tych ludzi, których żywot polega na permanentnej zabawie. Przez cztery lata odwiedza lupanary przy ulicy des Moulins, d'Amboise i Joubert, gdzie spożywa posiłki, ażeby nie przerywać pracy. Jego żądza zaspakajania ciekawości nie zna granic. Rysuje na wyscigach, w operze, w teatrach bulwarowych, dostaje się nawet do sali operacyjnej szpitala św. Ludwika.

Z biegiem czasu Lautrec staje się znany i potrzebny w środowisku Montmartre'u. Rysunki jego ukazują się w pismach. W 1892 wystawia na ulicy Lepelletier z impresjonistami i symbolistami. W 1895 i 96 wystawia litografie w Londynie, w 1898 wreszcie obrazy, zresztą źle ocenione przez krytykę i niezrozumiane przez publiczność. Około 1897 roku nadwyrężony pracą,

alkoholem i nieregularnym trybem życia, stan zdrowia Lautreca mocno się pogarsza. Po odbyciu kuracji w sanatorium, artysta wyjeżdża kilkakrotnie z Paryża. W 1901 roku sparaliżowanego rodzina przywozi do Malromé, gdzie umiera w wieku lat trzydziestu siedmiu.

Oprócz olbrzymiej ilości litografii, zostało po Lautrec'u osiemset rysunków i pięćset obrazów i szkiców olejnych. Wartość tego artysty jest nieoceniona. Był obok Daumiera jednym z największych rysowników końca XIX wieku, szczęśliwego okresu zabawy, okresu szczytowego nasilenia twórczego francuskiego mieszczaństwa, okresu chwały impresjonistów. Posiadał pełną świadomość technik rysunku, litografii i grafiki i bez przesady można twierdzić, że posługuje się tymi technikami w sposób wirtuozowski. Nie ma jednak niczego z metody w rysunku Lautrec'a. Obok "sznitowej" karykatury można zobaczyć portret rozbrajająco naiwnie narysowany. Świadczy to tylko o uczciwości rysownika, o jego szerokich zainteresowaniach, o tym że rysunku nie traktuje jako rzemiosło bezmienne; przeciwnie, rysunek u Lautrec'a stale się zmienia, jego ciekawość zmusza go do ciągłego szukania nowych określeń w kresce czy plamie.

Lautrec nie schlebia; przeciwnie, cynicznie dokonuje karykaturalnego przekształcenia postaci i ruchu osiągając tym bardziej ekspresyjny wyraz. Znamienne pod tym względem są rysunki i obrazy dotyczące baletnic, śpiewaczek i aktorek, dobrze znanym bywalcom ówczesnego Montmartre'u; Marcelle Lender, Yvette Guilbert, Cha-U-Kao. Sztuczne światło, szminka, kosztium, podniecenie artystki, wszystko to stwarza specyficzną atmosferę, w której oblicze człowieka ulega zmianie. Tę właśnie zmianę świetnie obserwuje i notuje Lautrec. Jest coś czarującego w tych małych kartkach papieru, dzięki którym możemy dziś odczuć atmosferę *fin-de-siècle'u*.

Ten sam zagadkowy świat spotykamy w afiszach, których mistrzem nazwałbym Lautrec'a. U artysty tego bowiem, afisz, poza właściwością informowania, posiada pełną wartość dzieła sztuki.

W obrazach wyróżniają się dwa sposoby pojmowania koloru. Jeden, wcześniejszy, lokalny, drugi, późniejszy, impresyjny. Będąc pod wpływem panującego impresjonizmu Lautrec rozumie kolor w myśl nowoprzyjętych poglądów. Dzięki jednak specjalnej skłonności do rysowania (kreska), która to skłonność obcą była impresjonistom, kolor Lautrec'a posiada charakter bardziej odważny niż u tych ostatnich. Sądzę, że Lautrec bliższy jest Van Gogha i Gauguina niż impresjonistów. Szczególnie uderzył mnie obraz, zatytułowany *Clownesse* o intensywnej żółci baletowej spódnicy, niebieskim gorsecie, mocnej zieleni tła i czerwieni kanapy. *La Toilette*, swą miękkością przypomina Renoir'a, *Gabriel Tapie*, obraz o bardzo mocnej czerwonej plamie podłogi i czarnej sylwetce, chyba bardziej zbliżony jest do założeń kolorystycznych Gauguina. Nie należy przez to rozumieć, że Lautrec'owi brak własnego poglądu na kolor. Żyjąc jednak w okresie pewnego rodzaju rewolucji estetycznej, jaką był impre-

sjonizm, i z kolei reakcji na brak konstruktywności w obrazach impresjonistów, której wyrazem był Cézanne, Lautrec nie mógł chyba nie interesować się tymi przemianami, zresztą pierwszorzędnej wartości dla malarstwa drugiej połowy XIX-go wieku. Lautrec wniósł do tego okresu przesadnego estetyzowania moment jasnego określania treści i uczuć, czyli pewną dozę obiektywizmu w stosunku do oglądanego świata. Oczywiście obiektywizm ten należy pojmować bardzo względnie. Na przykład sądzę, że Lautrec jest bardziej obiektywny od Cézanne'a, u którego stół czy postać żony to przedmioty niemal równie drewniane. U Lautrec'a łóżko i kobieta to dwa rozmaicie malowane przedmioty. Z tego wynika, że przedmiot malarski, jakim jest u Lautrec'a kobieta, staje się dla widza podmiotem, osobistością żyjącą nie tylko prawami estetycznymi, ale także prawami ludzkimi.

Sztuka Lautrec'a posiada dla nas nieocenioną wartość estetyczną i dokumentalną. Jest wynikiem pracy, zdolności, zainteresowania i bezapelacyjnej uczciwości malarskiej. Lautrec oddany był całkowicie owemu światowi radości, który jeszcze dziś starzy ludzie wspominają z rozrzewnieniem. Dał mu pełne światectwo.

E. STEFANEK.

PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès
pour la Liberté de la Culture

*défend l'indépendance spirituelle de l'homme
partout où elle est menacée.*

Le numéro de 32 pages, illustré 30 fr.
Abonnement annuel : France 300 fr.
Etranger 450 fr.

PREUVES : 41, avenue Montaigne — PARIS (8°)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE.

Straty Kultury Polskiej

Zgon historyka wojen i wojskowości

Dnia 26 stycznia 1951 roku umarł w Buenos Aires na raka w płucach ppłk. dypl. dr Władysław Dziewanowski, czołowy historyk wojen i wojskowości, najwybitniejszy polski znawca starej broni oraz mundurów, a jeden ze światowych autorytetów w tej dziedzinie.

Poza głębokim wykształceniem wojskowym i rozległą wiedzą historyczną pułkownik Dziewanowski był również prawnikiem, doktorem praw Uniwersytetu Warszawskiego. Doktorat swój otrzymał w roku 1937 u profesora Wacława Makowskiego za rozprawę o szpiegostwie w świetle nauki prawa. Była to jedyna w języku polskim praca na ten temat, a jedna z trzech istniejących w literaturze światowej. Poza tym był ppłk. Dziewanowski fenomenalnie uzdolnionym lingwistą, władającym biegle ośmioma językami. Precyzyjny, barwny, a często wręcz porywający wykładowca, był on jednym z tych profesorów, którzy — jak np. profesor Oskar Halecki — z równą niemal łatwością mogą wyklądać w kilku językach. Śp. ppłk. Dziewanowski znano z tego, że oprócz po polsku bez trudu przemawiał i prowadził wykłady po francusku, angielsku, niemiecku, rosyjsku i włosku.

Zmarły pochodził z rodziny osiadłej od dłuższego czasu na Kresach Wschodnich. Studia prawnicze odbył w Kijowie bezpośrednio przed pierwszą wojną światową. W 1918 roku pomimo bardzo słabego wzroku wstąpił na ochotnika do 1-go pułku ułanów Krechowieckich, gdzie przesłużył okres 1919 - 1921. Po wojnie kończy Wyższą Szkołę Wojenną, gdzie jednocześnie pełni obowiązki tłumacza. Wkrótce po ukończeniu Szkoły z jedną z czołowych lokat zostaje przydzielony do Centrum Wykszolenia Kawalerii w Grudziądzu jako wykładowca historii wojen.

W roku 1931, jeszcze jako młody rotmistrz, mianowany zo-

staje profesorem tegoż przedmiotu na Wyższej Szkole Wojennej. Tam rozwija swe niezwykle zdolności wykładowcze. Jego cykle wykładów o bitwie rosyjsko-niemieckiej pod Łodzią i manewrze gen. Litzmann'a (listopad 1914) oraz o bitwie warszawskiej w 1920 r. były prawdziwymi arcydziełami kunsztu profesorskiego.

Katedra oraz dłuższy pobyt w Warszawie pozwalają śp. ppłk. Dziewanowskiemu na pogłębienie specjalnie przezeń pielęgnowanego działu historii wojskowości: nauki o starej broni i mundurach, czyli po staropolsku, barwach. Był on pionierem tej, zaniedbanej u nas dziedziny badań. Z jego osobistej inicjatywy i jego wysiłkiem założony został miesięcznik "Broń i barwa", którego był redaktorem aż do września 1939 r. Pismo to wznowił ponownie w Londynie w okresie emigracyjnym; obecnie wychodzi ono jako biuletyn odbijany na powielaczu. Z jego inicjatywy powstało w Warszawie "Tow. Przyjaciół Muzeum Wojska". W 1935 r. pisze śp. ppłk. Dziewanowski najlepszą chyba ze swych prac pt. "Zarys dziejów uzbrojenia w Polsce". Książka ta, jest klasykiem, który nie prędko może być zastąpiony przez inne opracowanie tego rodzaju. Rozpoczął on również kilkutomową pracę, mającą objąć całość dziejów uzbrojenia w Europie. Przed wojną zdążył ukazać się tylko pierwszy tom tego kapitalnego cyklu, obejmujący zarys dziejów uzbrojenia w średniowieczu.

W 1938 r. wyszła bogato ilustrowana książka jego "Mundury wojska polskiego" oraz szereg prac popularnych. Współpraca w "Encyklopedii Wojskowej", "Księżde jazdy", współautorstwo "Dziejów Pierwszego Pułku Ułanów Krechowickich", liczne artykuły w wojskowych i historycznych pismach oraz wyjazdy z odczytami naukowymi zagranicę, dopełniają obrazu działalności śp. ppłk. Dziewanowskiego przed wojną.

Wojna z nawałem pracy wojskowej i wojskowo-dyplomatycznej oderwała go od pracy badawczej i pisarskiej. W czasie wojny poza sporą ilością artykułów wojskowych i wojskowo-historycznych, opracował jednak bogato ilustrowany album historii mundurów polskich, pt. "Polish Armed Forces through the ages". Wrócił on do intensywniejszej pracy naukowej w 1945 r. po powrocie z Algieru i Paryża, gdzie od r. 1943 pełnił funkcję attaché wojskowego. Wówczas został mianowany jednym z członków Komisji Historycznej Sztabu Głównego, która opracowała dzieł polskiego udziału w Drugiej Wojnie Światowej. Z jego inicjatywy powstało w Londynie "Polskie Towarzystwo Historyczne" oraz jego organ, kwartalnik "Teki Historyczne", które redagował aż do swego wyjazdu do Argentyny, tj. do roku 1949.

Śmierć śp. ppłk. Dziewanowskiego tworzy wielką lukę w szczytych szeregach polskich historyków wojskowości, a po prostu niezastąpioną szczerbę wśród badaczy naszego bronioznawstwa i munduroznawstwa.

M. K. DZIEWANOWSKI.

Książki

Porachunki petainistów

Admirał Auphan był szefem sztabu Darlana, potem przez krótki czas ministrem marynarki w rządzie marsz. Pétain w Vichy w 1942 r. Ale właśnie na kilkumiesięczny okres jego urzędowania przypadły lądowanie aliantów w Płn. Afryce i samozatopienie (sabordage, scuttling — nie ma właściwego polskiego odpowiednika) eskadry francuskiej w Toulon. Po «liberacji» Auphan został oddany pod sąd: francuskim zwyczajem autor ciągle o nim pisze, ale dokładnego wyroku nie podaje — zdaje się że został tylko zwolniony z marynarki, pozbawiony emerytury i praw politycznych. Jego książka jest częściowo pamiętnikiem i porachunkiem z gaullistami — częściowo szeregiem szkiców historycznych, bardzo zajmujących, w których próbuje wywrócić ustalone wyroki historii, jak np. że Bazaine był zdrajcą, a także gen. hrabia Dupont, że Richelieu był wielkim mężem stanu, że Anglicy byli zawsze lojalnymi sprzymierzeńcami, itd.

Zacznijmy od jego spraw osobistych. Istota rzeczy nie ulega wątpliwości. W chwili lądowania aliantów rząd sędziwego marsz. Pétain, znalazł się między młotem i kowadłem. Z jednej strony chciał uniknąć wojny francusko-amerykańskiej w Północnej Afryce i wobec tego za tajną zgodą rządu w Vichy (w czym dużą rolę odegrał sam Auphan) Darlan dogadał się z Eisenhowerem. Dzięki temu Amerykanie uniknęli długiej i kosztownej kampanii w Dakarze, w Maroku, w Algerze, a jeżeli nie uniknęli jej w Tunisie — to nie była wina Darlana ani Vichy, tylko niedołęstwo Anglosasów, którzy nie zaryzykowali paru okrętów i dwóch dywizji dla wylądowania tam przed Niemcami. Z drugiej strony marszałek Pétain musiał się liczyć z tym że ma Niemców na karku, że Hitler jest wściekły i musiał jakoś

Amiral Auphan: *Les grimaces de l'histoire*. Les Iles d'or, Plon. Paris 1951, str. 305.

go menażować. Jego jedynym atutem była eskadra francuska w Tulonie. Obietnicą «zneutralizowania» jej w tym porcie miał nadzieję wytargować łagodniejsze warunki okupacyjne, co się częściowo udało. W dwa tygodnie później, gdy zachodziło niebezpieczeństwo, że Niemcy złamią układ i schwyćą okręty na redzie w Toulonie, dowódca tej eskadry, admirał hr. Jean de Laborde, wydał rozkaz zatopienia całej floty. Rozkaz został wykonany. O odpłynięciu do Afryki, bez paliwa i pod nosem lotnictwa niemieckiego, nie mogło być mowy — nie mówiąc już o ryzyku, na jakie krok taki naraziłby okupowaną Francję. Jest zaiste nieopisanym skandalem, że admirał de Laborde, którego w Anglii za takie postępowanie zrobiono by dukiem, dostał 10 lat więzienia i dotychczas siedzi.

Za życia uczestników sprawy personalne odgrywają kolosalną rolę, ale dla historii jedynie pojedynki czołowych postaci mają znaczenie: po wiekach pamiętamy o pojedynku Oktawiana z Antoniuszem; z ostatniej tragedii francuskiej potomność będzie się tylko pasjonować losem marsz. Pétain. Krzywdy innych, choćby zasłużonych, będą zapomniane. Przy przenosinach część szkła i porcelany musi się stłuc. Przy przewrotach wśród urzędników i zawodowych oficerów musi być zawsze pewna ilość niewinnych ofiar.

Ciągłe powracanie do tej kwestii «rugów» jest o tyle szkodliwe, że odwraca uwagę od rzeczy nieskończenie ważniejszych. Zaabsorbowanie naszej opinii rugami pomajowymi sprawiło, że niedostatecznie zdawała sobie sprawę z innych, o wiele bardziej ujemnych cech reżimu sanacyjnego. Z kolei rugi w Reginie i Rubensie też zużyły niepotrzebnie niezmiernie dużo energii, odwracając naszą uwagę od zagadnień istotnych — jak celowości oporu w Kraju, bezwzględnej wierności Anglii, nieobsadzania stanowiska ministra obrony narodowej przez osobę cywilną itd. Rugi są przede wszystkim szkodliwe bo zatruwają atmosferę polityczną, sprzyjają klikowości, sprowadzają życie polityczne do problemów personalnych.

«Czystka» de Gaulle'a była przeprowadzona na olbrzymią skalę — znacznie więcej stracono we Francji «kollaboracjonistów» niż zbrodniarzy wojennych w Niemczech. A przecie nie ma nawet cienia porównania w stopniu przewinień jednych i drugich. W rezultacie wyszła na dobre tylko komunistom. Dziś de Gaulle miałby dużo większe szanse dojścia do władzy, gdyby lekkomyślnie nie zraził sobie tylu pétainistów. Przecie 85 % Francuzów na pewno w 1940 r. stało murem za marsz. Pétain.

Ale z drugiej strony ta brutalność i nawet krwiożerczość, którą od czasu do czasu okazują Francuzi, ma swoje zalety. Jest to forma jaskrawa, ale w społeczeństwach kłótliwych i o tendencjach anarchicznych konieczna, przestrzegania polityków, działaczy, urzędników i zawodowych wojskowych, że odpowiedzialność nie jest tylko frazesem. Że proskrypcje nie są zawsze tylko «rugami», «porachunkami», ale że mogą być także za-

śluzoną karą. Na nasze nieszczęście, rolę tej «karzącej ręki» przybrali agenci obcy — stąd ich «sprawiedliwość» może być przez nas tylko uważana za rozbój i łotrstwo — i rikoszetem optujemy za wyrozumiałością zbyt wielką: wczorajszy judasz, wczorajszy jurgieltnik jest bez żadnych ceregieli, bez żadnych nawet przesłuchiwań przyjmowany na nasze łono, jak gdyby nie miał z czego zdawać rachunku.

Admirał Auphan przekonał mnie tylko co do jednego punktu: że przy tego rodzaju sprawach wszelkie sądownictwo wyjątkowe jest zgubne. Wszystkie sprawy o zdradę, współpracę z wrogiem nie powinny nigdy być sądzone przez trybunały wyjątkowe, złożone z nominatów partii politycznych, lecz przez normalne trybunały koronne, względnie, w wypadku sądenia zawodowych wojskowych, przez sądy wojskowe. Sąd nad Lavalem był skandalem, a przewodniczący tego «sądu», Mongibeaux, powinien by się nazywać Mongibet i być równie pogardzany przez potomność jak jest nim po dziś dzień w Anglii sędzia Jeffreys, który zgodził się być narzędnikiem «tyranii» Jakóba II.



Z historycznych rozpraw Auphan'a — i trzeba tutaj od razu oddać hołd jego wielkiej erudycji i niezwykłemu talentowi rysowania analogii historycznych — najlepsze są te, które dotyczą Anglii, jej metod wojowania i jej sposobu traktowania i wyzykiwania aliantów w ogóle a sprzymierzonych i goszczonych przez nią emigrantów w szczególności. Bardzo interesujące byłoby porównanie Auphana z Weizsäckerem, który, jak wiadomo, był przez 20 lat oficerem marynarki wojennej. Weizsäcker jest zawsze plackiem przed marynarką angielską, stwierdza otwarcie, że Royal Navy była dla Niemców zawsze wzorem pod każdym względem. W książce adm. Auphan'a na każdej stronie widać tradycję broni, która była równie stara i równie dostojna, co tradycje marynarki brytyjskiej: widać też, że zamiast naiwnego, dorobkiewiczowskiego olśnienia i anglofilizmu u Niemców, u Francuzów przeważała zdrowa podejrzliwość wobec kolegów brytyjskich i wobec państwa, które z taką zaciekłością starało się Francję zawsze poniżyć i pomniejszyć.

Auphan twierdzi, że niecna napaść Anglików na okręty francuskie, zakotwiczone pod Mers-el-Kebir (Oran) — napaść scharakteryzowana w pamiętnikach samego późniejszego pierwszego Lorda Morza Admiralicji brytyjskiej, lorda Cunningham'a jako «szczyt głupoty» — obróciła się ciężko przeciwko interesom angielskim, bo Darlan zamierzał całą flotę przenieść z Tulonu do Oranu, gdzie oczywiście byłaby jeszcze bardziej niezależna od Niemców, a rządowi w Vichy dawałaby dużo większe możliwości opierania się Hitlerowi. Napaść tę Auphan misternie porównuje do zdobycia podstępem Tulonu przez Anglików w 1793 r., gdzie Anglicy nie tylko podpalili okręty francuskie (zresztą zrobili to dużo gorzej niż adm. de Laborde w 1942), ale

jeszcze odesłali ich załogi do Francji, gdzie większość została stracona przez jakobinów.

Godny najuważniejszego przestudiowania jest cały rozdział o ekspedycji do Quiberon, gdzie kwiat emigracji francuskiej został zmarnowany i opuszczony przez Anglików, wydany na zemię Konwencji: o tym jak hr. Prowancji (Ludwika XVIII) trzymano od całej tej imprezy z daleka, o narzucaniu nieudolnego ale uległego dowództwa, o smutnych losach hr. de la Puisaye, przywódca chouanów, który wreszcie spadł do roli agencjaka brytyjskiego i umarł jako poddany angielski. O zrabowaniu kolonii francuskich i kolonii aliantów Anglii. O schwyceniu francuskich statków handlowych po zerwaniu traktatu z Amiens, tak jak w czasie tej wojny statków francuskich w tyłu portach angielskich, egipskich itd. Powinniśmy historię Anglii poznać dużo lepiej, ale nie z usługowej, brzązającej historii Anglii Maurois'a, lecz właśnie z takich książek, jak «Les grimaces de l'histoire» admirała Auphan, która podaje przeszłość bez retuszu.

Z.

Katyn

Swą drugą z kolei pracę o Katyniu wydał Józef Mackiewicz w formie reportażu-rozprawy. Gdy "Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów", której drugie polskie wydanie właśnie zasygnalizowano, jest poważnym i — siłą rzeczy — nużącym czytelnika zbiorem odpowiednio omówionych dokumentów, nowa praca Mackiewicza, ów reportaż-rozprawa^{*)}, wydana w języku niemieckim i angielskim, jest wspaniałym wyrazem polskiej publicystyki propagandowej. Nie waham się użyć słowa "propaganda", pomimo że w czasie minionej wojny stało się one synonimem blagi. Gdybyśmy się bali tego słowa, musieliśmy również wykreślić z naszego słownika słowo "demokracja", które w krajach za żelazną kurtyną stało się synonimem tyranii. Józefa Mackiewicza "Katyn" jest perłą naszego piśmiennictwa propagandowego dzięki formie, jaka wyraża się w mistrzowskim połączeniu dziennikarskiego reportażu z rzeczową rozprawą naukową.

Dzięki tym cechom pracy autor w pełni osiąga cel: zmusza

^{*)} Joseph Mackiewicz, *Katyn — ungesühntes Verbrechen*, Thomas-Verlag, Zürich, 1949, str. 224 + 13 zdjęć. *The Katyn Wood Murders* by Joseph Mackiewicz. With a Foreward by Arthur Bliss Lane, Former U. S. Ambassador to Poland. Hollis & Carter, London, 1951, str. VI + 231 + 20 ilustracji.

czytelnika do zaznajomienia się z całością "sprawy katyńskiej", nie pozostawiając mu najmniejszego marginesu na wątpliwość. Jak dalece J. Mackiewicz "bierze" wartość opisu niech świadczy fakt, że będąc osobiście dość dobrze obznajomiony z dokumentami dotyczącymi Katynia nie mogłem podarować sobie bodaj stronicę przy czytaniu tej wspaniałej książki.

Mackiewicz napisał swój reportaż dla cudzoziemców. Z tej przyczyny naświetlenie tła jest dostatecznie wyczerpujące nawet dla takiego czytelnika, który by nic uprzednio o sprawie Katynia nie wiedział.

Dnia 23 sierpnia 1939 roku podpisano w Moskwie pakt sowieko-niemiecki. Dnia 17 września 1939 wojska sowieckie wtargnęły do Polski. W kilka dni później nastąpiła kapitulacja Lwowa. Generał Iwanow, w imieniu marszałka Timoszenki, zapewnił dowódcę lwowskiego garnizonu, że po złożeniu broni żołnierze udadą się swobodnie do swych domów, lub wyjechać do Rumunii względnie do Węgier. Warunki kapitulacji zostały spisane, załoga złożyła broń, po czym... wojska sowieckie otoczyły zgromadzonych pod budynkiem dowództwa okręgu korpusu oficerów i etapami wywoziły do Rosji. I tam, wśród tych p r z e s t r z e n i i niezmiernych ludzie ci zginęli. Zginęli i ci z innych oddziałów. Razem około 15.000 jeńców wojennych zgromadzonych w trzech obozach: Kozielsk, Ostaszów i Starobielsk. Czy owa przestrzeń rosyjska jest istotnie tak niezmierna, że w niej może zginąć bez śladu 15.000 ludzi? I tu Józef Mackiewicz rozprawia się po swojemu — z temperamentem i bez pardonu — z przesądem przestrzeni. Nie! Tam gdzie wszystko jest skatalogowane, zaszeregowane, posegregowane, zbadane, przejrzone i raz jeszcze sprawdzone przez olbrzymią maszynę biurokratyczną państwa sowieckiego nic nie może zginąć *bez wiedzy i woli Kremla*.

Wiosną 1940 roku rozpoczęto likwidację trzech obozów jenieckich. Spośród jeńców wybrano grupę 406 osób, które przewieziono do obozu w Griażowcu. Ci ocalili. Reszta zginęła bez śladu. Urwała się korespondencja z rodzinami w kraju. Niepokój i milczenie zawisło nad losem tysięcy.

Jesienią 1940 roku, dokładnie dnia 30 października, w moskiewskim więzieniu Łubianka zjawili się Beria i Merkułow, aby odbyć ciekawą rozmowę z trzema polskimi oficerami: płk. Berlingiem, Bukojemskim i Górczyńskim. Dygnitarze sowieccy sugerowali utworzenie wojskowych jednostek polskich w Sowietach. Berling zgadzał się w zasadzie. Jeśli chodzi o kadry, gotów był odtworzyć w pamięci listy oficerów, o których wiedział, że zostali wzięci do niewoli sowieckiej. Beria zmieszał się, a gdy się opanował wypowiedział te ważne słowa: "Nie, tych nie. *My sdielali s nimi balszuju oszybku*". A po chwili dodał: "*My ich wydali Niemcom...*" Będzie to wersja, którą bolszewicy

przypomną sobie dopiero po przeszło dwu latach, gdy wszystkie dowody zwrócą się przeciw nim.

22 czerwca 1941 Niemcy napadli na swego sowieckiego sojusznika. NKWD zmykało w popłochu, zostawiając nawet archiwa, najtajniejsze instrukcje i spisy. Nie pozostawiono tylko więźniów. Gdzie było za późno, by ewakuować — strzelano, kłuto bagnietami, mordowano. Po co Józef Mackiewicz opisuje te masowe mordy, te dantejskie marsze więźniów na wschód? Co to ma wspólnego z Katyniem? Jakkolwiek odpowiedź na te pytania jest prosta — opisy te obrazują sowieckie metody postępowania z bezbronnymi więźniami — jestem zdania, że autor mógłby je sobie spokojnie darować. Wymowa innych faktów jest tak przekonująca, że wykazywanie, choćby faktami, do czego bolszewicy są zdolni, jest dowodzeniem przez analogię, lecz nie ma wartości dowodu.

Bardziej wymownym dowodem jest sowieckie milczenie odnośnie losu tysięcy 15.000 jeńców. Po nawiązaniu dyplomatycznych stosunków polsko-sowieckich w lipcu 1941 i ogłoszeniu "amnestii", polskie władze wojskowe czekały z niecierpliwością na przybycie do ośrodków organizacyjnych niezbędnej do tworzenia armii kadry oficerskiej. Oczekiwały tych z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska. Nikt się nie zjawił. Rozpoczęły się poszukiwania.

Pierwsza oficjalna rozmowa na temat zaginionych jeńców miała miejsce w dniu 20 września 1941 między ambasadorem Kotem a komisarzem Wyszyńskim. Wyszyński obiecał, że zrobi wszystko... że dopilnuje osobiście... że będzie pamiętał, bo to przecież jego resort: sprawy polskie. Ta wizyta amb. Kota u Wyszyńskiego zapoczątkowała serię not, depech i posłuchań.

Józef Mackiewicz ożywia temat tak nużący jak owa wymiana urzędowych oświadczeń mistrzowskim podmalowaniem tła i wprowadzeniem pierwiastka osobowego. Wspaniale wykorzystany nawyk Stalina gryzmolenia na karteluszkach w czasie rozmowy staje się pod piórem Mackiewicza kanwą jednego z dłuższych posłuchań amb. Kota na Kremlu. Po przeczytaniu tego fragmentu czytelnik chwytą się na gorącym uczynku śledzenia z większą uwagą gryzmołów Stalina niż treści rozmowy. Dla uwypuklenia roli Mołotowa w tych rozmowach Mackiewicz rzuca po malarsku trzy dyskretne, lecz jak wiele mówiące, plamy. W listopadzie 1941 amb. Kot został przyjęty przez Józefa Stalina *w obecności komisarza Mołotowa*, a w grudniu *w obecności niestrudzonego pana Mołotowa*. W marcu 1942 zjawił się u Stalina gen. Anders z płk. Okulickim, *i oczywiście był tam również Mołotow*.

Rozmowy i noty nie dały rezultatu; nie naprowadziły na ślad zaginionych. Pierwszej konkretnej odpowiedzi udzieliło... radio berlińskie. Stało się to dnia 13 kwietnia 1943. W ciągu następnego dnia panowała w obozie sprzymierzonych męcząca cisza. W 48 godzin po audycji berlińskiej

"rząd sowiecki udzielił wyjaśnień — ten sam rząd sowiecki, który w ciągu całego ubiegłego roku nie mógł dać żadnych wskazówek o miejscu pobytu zaginionych polskich jeńców... ten sam rząd, którego dyktator Stalin wraz ze swymi ministrami i szefami politycznej policji, NKWD, komendantami obozów i plejadą urzędników tego niezmierzonego państwa nie zdobyli się na nic więcej niż na bezradne rozłożenie ramion... ten sam rząd nagle, za pośrednictwem swej urzędowej agencji daje wyjaśnienie, jakby chodziło o rzecz powszechnie znaną".

16 kwietnia rząd polski, jeszcze przed zwróceniem się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wysłał notę do rządu sowieckiego z żądaniem wyjaśnień. Na notę tę nigdy nie otrzymano odpowiedzi. Tego samego dnia Niemcy zwróciły się do M.C.K. Następnego dnia wpłynęła do M.C.K. nota polska. M.C.K. go-tów był wyznaczyć komisję, określono nawet jej skład i termin pierwszego spotkania: 20 kwietnia. Lecz na tym się skończyło. "Trzecia" strona — Rosja Sowiecka nie zgodziła się na przeprowadzenie badań przez kogoś kto mógł być bezstronny.

W dniach 24/25 kwietnia Churchill stara się skłonić gen. Sikorskiego do wydania oświadczenia, z którego wynikało by, że winnymi zbrodni katyńskiej są Niemcy. Sikorski odmawia. W nocy z 25/26 kwietnia (te daty mówią lepiej niż archiwum Foreign Office) rząd sowiecki zrywa stosunki dyplomatyczne z Polską.

Od tego czasu rząd polski był tylko niemyym świadkiem walki propagandy niemieckiej z sowiecką, walki toczącej się ponad otwartą mogiłą katyńską. Był również niemyim świadkiem farsy norymberskiej, w której zbrodniarz występował w roli jednego z sędziów.

Angielskie wydanie książki pomija te niemiłe ustępy. Mogłyby wprowadzić w zakłopotanie byłych sojuszników "wielkiego sojusznika". To są rzeczy, o których się nie mówi. Opowiadania, których nikt nie chce słuchać, jak nie wysiuchano opowiadania Iwana Kriwożercowa, stałego mieszkańca wsi Nowe Batio-ki, przylegającej do lasu katyńskiego.

Mackiewicz nie szczędzi ani "wielkiego sojusznika", ani jego sojuszników, ani Niemców. Ci ostatni załgali się w swej propagandzie odnośnie ilości ofiar znalezionych w mogiłach katyńskich: 10 - 12 tysięcy, podczas gdy ilość ekshumowanych zwłok wynosiła 4143, do czego należy dodać jeszcze około 100 zwłok pochowanych w jednej z mniejszych mogił, której nie odkopano w całości. W chwili odkrycia pierwszej dużej mogiły propaganda niemiecka podchwyciła cyfrę 10 - 12 tysięcy, ponieważ odpowiadała ona mniej więcej ilości zaginionych jeńców polskich. Jest niezmiernie charakterystyczne, że bolszewicy byli w tym jednym punkcie zgodni z Niemcami; właśnie w punkcie, który nie odpowiadał prawdzie. Bolszewicka komisja określiła ilość ofiar katyńskich na 11 tysięcy. Motywy tego łgarstwa są jasne. W Katyniu odkopano tylko zwłoki jeńców z obozu w Kozielsku. Tych było około 4500. Podwyższając cyfrę ofiar

katyńskich do 11 tysięcy, bolszewicy zwalniają się tym samym z obowiązku rozliczenia się z reszty jeńców.

Bezczelne w swej naiwności łgarstwa oficjalnego komunikatu sowieckiego poddał Józef Mackiewicz druzgocącej — choć zbyt drobiazgowej krytyce w drugiej części swej książki. Ów komunikat — wynik badań sowieckiej komisji — jest szczególnym curiosum. Gdyby nawet nie było dowodów przeciwnych, mógłby z powodzeniem służyć jako materiał obciążający winą za zbrodnię katyńską — bolszewików.

Trzecia część książki zawiera dokumenty i ilustracje. Całość dobrze służy sprawie polskiej i prawdzie.

Kazimierz ZAMORSKI.

Alma Mater Vilnensis

Ukazał się tom II — nowy — wydawnictwa „Alma Mater Vilnensis”, którego t. I sygnalizowaliśmy i omówiliśmy w nr 9/35 „Kultury” z r. 1950.

Przedstawia on, tak jak tom czy zeszyt I, pozycję nader cenną, aczkolwiek różni się charakterem swoim od t. I, zeszytowanego. Tamten miał przede wszystkim na celu przypomnieć rolę Wszechnicy Wileńskiej w kulturze naszej, uwydatniając najdawniejsze momenty w jej dziejach, od jej założenia w r. 1579 aż do pierwszego zamknięcia w r. 1832, i dalej od wskrzeszenia w r. 1919 — do ponownej likwidacji w r. 1939. Był on jednocześnie stwierdzeniem, że nie przestała Wszechnica Batorowa żyć nie tylko, jako idea, w tradycji i wspomnieniu, ale i realnie w zespole Społeczności jej profesorów, pracowników i uczniów, rozproszonych po świecie.

Tom niniejszy — drugi — daje na początku w części I (str. 7-12) zwięzłe informacje o Społeczności Akademickiej USB, opierającej swój byt na fakcie, że Uniwersytet Stefana Batorego nigdy nie został prawnie zlikwidowany, a więc mówi o jej charakterze, członkach, władzach i zadaniach, podaje spis powstających wykładów uniwersyteckich, przez Społeczność USB

Alma Mater Vilnensis. — Prace Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego na obczyźnie. Nakładem Społeczności Akademickiej USB. Londyn (c/o „Ognisko Polskie”, 55 Princes Gate, London S.W. 7). 1951. — Redakcja: Rada Społeczności Akademickiej USB. — Rysunki: Marian Bohusz-Szysko. — 24×15,5. Str. lb. 157.

Tom II AMV wydany został w r. 1951 w nakładzie 600 egzemplarzy (t. I AMV bity był w 1000 egz.), z czego 112 egzemplarzy numerowanych dla osób, które, jako prenumeratorzy, ukazanie się w druku wydawnictwa umożliwiły.

w Londynie prowadzonych w latach 1950-1951, tudzież wiadomość o klubach Społeczności, istniejących i czynnych w Londynie i Paryżu. Część II poświęcona jest tradycyjnej „Inauguracji Październikowej”, odbytej w Londynie w r. 1950. Mamy tu „zagajenie” prof. Wacława Komarnickiego, przewodniczącego Prezydium Rady Społeczności, które w sposób jasny i zwięzły rzuca światło na wydarzenia ważniejsze życia Społeczności w poprzednim roku akademickim, na jej działalność dotychczasową i zamierzenia na przyszłość najbliższą. Kończy tę część wiersz p. Zofii Bohdanowiczowej pt. „Nokturn”, recytowany na inauguracji, który daje sugestywną wizję z niedawnej przeszłości wileńskiej, związaną ściśle ze wskrzeszoną Wszechnicą Batorową (str. 13-20).

Zasadniczą część trzecią tomu (str. 21-157) wypełnia w całości obszerna i niezwykle ciekawa praca docenta USB dra Władysława Wielhorskiego pt. „Litwini, Białorusini i Polacy w dziejach kultury Wielkiego Księstwa Litewskiego”, poprzedzona słowem wstępnym prof. Cezarii Baudouin de Courtenay-Jędrzejewiczowej.

Cenna ta i gruntowna praca ujmuje zagadnienie współżycia trzech głównych elementów etnicznych W. Ks. Litewskiego w przeszłości nie z punktu widzenia historyczno-politycznego, lecz przedstawia ich rolę historyczną pod kątem spraw socjologiczno-kulturalnych.

W szeregu rozdziałów zajmuje się: sprawą opinii współczesnej trzech narodowości W. Księstwa Lit., o ich roli dziejowej, ich siłą liczebną, charakterystyką psychologiczną, wreszcie czynnym udziałem Litwinów, Białorusinów i Polaków w życiu Litwy historycznej do połowy wieku XVI-go, współzawodnictwem trzech ośrodków kultury w dobie reformacji i unii kościelnej oraz dorobkiem piśmienniczym późniejszym, łącznie ze stopniowym stąpieniem się kulturalnym i ustrojowym Wielkiego Księstwa Litewskiego z Koroną w XVII i XVIII w., czego skutki odbić się miały zwłaszcza na stosunkach w wieku XIX.

W ostatecznym, syntetycznym podsumowaniu dochodzi autor do wniosków następujących: Litwini wnieśli do życia Wielkiego Księstwa Lit. ideę mocarstwowości, stali się kośćcem psychicznym państwa, zaś w swej odrębności etniczno-szczepowej wykazali znaczną trwałość. Rusini (Białorusini) przeleli zdobycze bizantyńsko-chrześcijańskiej kultury do Litwy rdzennej i wywiedli z izolacji archaicznego kulturalnie pierwotny ośrodek szczepu starolitewski. Zmuszając go do współżycia z Europą wschodnią, upodobnili sobie warstwy dziejotwórcze szczepu litewskiego, używając Litwie historycznej siły mięśniowej i obszaru do obrony i rozrostu na pomoście Bałtycko-Czarnomorskim.

Polacy natomiast przyczynili się do odwrócenia kierunku cywilizacji Litwinów ku Zachodowi, co, dzięki rzymskiemu katolicyzmowi, przyniesionemu przez Polskę na Litwę, uchroniło szczep litewski od wsiąknięcia w bizantyzm i uratowało jego

samoistność duchową od Rosji. Żywiół polski współdziałał w przeobrażeniu Litwy z monarchii despotycznej w demokrację parlamentarną, przy jednoczesnym ugruntowaniu zasad wolności osobistej, tolerancji światopoglądowej i coraz ściślejszych związków z Polską i Zachodem.

W rozważaniach swoich wykazał autor erudycję i rozległą znajomość rzeczy tudzież jak najdalej posunięty obiektywizm w ocenie instytucji i zjawisk, ludzi i roli dziejowej różnych czynników, działających, jako podmioty, w historii Litwy. Przysłowiowe "ira et studium" nie mają przystępu do jego sądów. Gdy zaś chodzi o wypuklenie dodatniej roli czynnika polskiego to autor, jako Polak, przy całej swej bezstronności, woli i umie być w swych wywodach raczej za bardzo, niż za mało, powściągliwy (por. np. str. 121-123: udział różnych czynników etnicznych w życiu najwyższego ogniska naukowego na terenie Litwy — Akademii Wileńskiej w w. XVI i XVII). I słusznie. Rola bowiem konstruktywna, dodatnia czynnika polskiego w kształtowaniu się kultury Litwy historycznej jest sama przez się oczywista i dla każdego bezstronnego badacza nie ulegająca wątpliwości.

Praca prof. Wielhorskiego, zakończona skorowidzem nazwisk, "oparta na oryginalnie ujętym i metodą naukową opracowanym materiale", traktując zagadnienie "w płaszczyźnie kultury", stawia w nowym świetle sprawy współżycia ludów W. Księstwa Litewskiego w przeszłości, posiada też dużą wartość naukową.

Całość zaś tego drugiego tomu Almae Matris Vilmensis, ozdobionej oryginalnie pomyslanymi rysunkami znanego artysty-malarza p. Mariana Bohusza-Szyski — podobnie jak w roku ubiegłym tom I tej publikacji — stanowi nader cenne wzbogacenie naszej działalności wydawniczej na emigracji.

Nie dane jest teraz Wszechnicy Batorowej — zgodnie z wolą jej XVI-wiecznego fundatora — być "scientiarium emporium ad septentrionem" — składnicą nauk na północy... Niech więc, w latach niewoli, rozproszenia i tułactwa, szerzy ona prawdę naukową na Zachodzie!

Temu celowi służyć pragnie — w miarę swych możliwości — Społeczność Akademicka USB, uważająca siebie za jedyny czynny organ działalności pogromionej Wszechnicy.

Stanisław KOŚCIAŁKOWSKI.

Nadesłane nowości wydawnicze

HISTORIA

- LEPRINCE-RINGUET (F.). L'avenir de l'Asie Russe. Pp. 244 (Ed. Flammarion, Paris, 1951, 480 frs.).
- MEILE (P.). Histoire de l'Inde. Pp. 127. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1951, 120 frs.).
- BOR-KOMOROWSKI (T.). Armia podziemna. Str. 424. Nakł. Katolickiego Ośrodka Wydawniczego "Veritas", Londyn, 1951. Cena 18 sh.

LITERATURA

- GLASER (G.-C.). Secret et violence. Pp. 420. (Ed. Corrêa, Paris, 1951, 690 frs.).
- PLISNIER (Ch.). Beauté des laides. Pp. 249. (Ed. Corrêa, 1951, 450 frs.).
- CROCE (B.). La poésie. Introduction à la critique et à l'histoire de la poésie et de la littérature. Pp. 248. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1951, frs. 600.).
- SOLDATI (M.). Le festin du commandeur. Pp. 244. (Ed. Plon, Paris, 1951, 360 frs.).
- HUXLEY (A.). Thèmes et variations. Pp. 305. (Ed. Plon, Paris, 1951).
- COLIN (P.). Les jeux sauvages. Pp. 348. (Ed. Gallimard, Paris, 1950, frs. 460).
- BAZIN (H.). Le bureau des mariages. Pp. 235. (Ed. Grasset, Paris, 1951, 345 frs.).
- VERENDE (La.). Indulgence plénière. Pp. 338. (Ed. Grasset, Paris, 1951, frs. 450).
- WIENIEWSKI (I.). Powrót na via Appia. Str. 97. (Nakł. Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Londyn, 1951, Cena 5 sh. 6 d.).
- CHESTERTON (G. K.). Przygody Księdza Browna. Str. 214. (Wyd. Instytut Wydawniczy "Pax", Warszawa, 1951).

DOKUMENTY CHWILI

- GROUSSET (R.), MASSINGNON (L.), MASSE (H.). L'âme de l'Iran. Pp. 239. (Ed. Albin Michel, Paris, 1951, frs. 360).
- FESSARD (G.). Paix ou guerre?

- Notre paix. Pp. 106. (Ed. "Monde Nouveau" Paris 1951).
- KOWANKOWSKI (P.-L.), prof. dr.). Finansy SSSR wo wtornuju mirowuju wojnu. Str. 46. (Nakł. Instytutu dla Studiów Historii i Kultury ZSSR, Monachium, 1951).
- SAARUNI (G.). Borba Armiańskiej cerkwi protiv bolszewizma. Str. 29. (Nakł. Instytutu dla Studiów Historii i Kultury Z.S.S.R., Monachium, 1951).

GEOGRAFIA

- VAILLAND (R.). Boroboudour. Voyage à Bali, Java et autres Iles. Pp. 183. (Ed. Corrêa, Paris, 1951, 420 frs.).

POEZJA

- KEATS (J.). Ody (przekład St. Balińskiego). Str. 41. (Nakł. Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Londyn, 1951, cena 2 sh. 6 d.).

TEATR

- MACKIEWICZ (St.). Melina. Pięć odsłon dramatycznych. Str. 40. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1951).

OŚWIATA

- Materiały Oświatowe, Dział odczytów. Wydawnictwo Wydziału Kultury i Oświaty Zarządu Gł. Stow. Polskich Kombatan-tów w Londynie. r. 1951. Zeszyt 1.: TERLECKI T. Stefan Zeromski wczoraj i dziś. Zeromski prawdziwy. Str. 15.; Zeszyt 2.: MEKARSKI S. Zagrożenie kultury polskiej. Str. 11.; Zeszyt 3.: BORKOWSKI Wł. Krótkie uwagi o dzisiejszym ustroju państwowym Polski. Str. 8.; Zeszyt 4.: JORDAN Z. Przemiany ekonomiczne w Polsce dzisiejszej. Str. 25.; Zeszyt 5.: KISIELEWSKI J. Walka komunizmu z kościołem, jej przyczyny, objawy, cele. Str. 9. Zeszyt 6.: STARZEWSKI S. Co Zachód przeciwstawia komunizmowi? Str. 11.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Niedawno temu, byliśmy świadkami kampanii na terenie londyńskim, jaką pewien odłam prasy polskiej prowadził na temat zniekształcenia depeszy Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego, przez gen. Kopańskiego. Oświadczenie sądu generalskiego w tej sprawie stwierdziło jasno iż nie znalazło powodów do pociągnięcia do odpowiedzialności w tym kierunku gen. Kopańskiego, tym bardziej gdy oświadczył on, iż ówczesny Naczelnny Wódz nie wyciągnął względem niego żadnych konsekwencji służbowych, a tym samym niejako neglizował fakt istnienia depeszy w poprzednim brzmieniu.

Chodzi tu więc o te depesze Naczelnego Wodza, do Komendanta A.K., które miały mieć poważny wpływ na sprawę powstania warszawskiego.

Pierwotna treść depeszy z dn. 28.7.1944 brzmiała:

"W obliczu sowieckiej polityki gwałtów i faktów dokonanych, powstanie zbrojne byłoby aktem pozbawionym politycznego sensu, mogącym za sobą pociągnąć niepotrzebne ofiary".

W dniu następnym, a więc 29.7.1944 nadaje gen. Sosnkowski drugą depeszę via Londyn do komendanta A.K.:

"W obecnych warunkach politycznych jestem bezwzględnie przeciwny powszechnemu powstaniu, którego sens historyczny musiałby z konieczności wyrazić się w zamianie jednej okupacji na drugą. Wasza ocena sytuacji niemieckiej musi być bardzo t r z e ż w a i r e a l n a. Omyłka pod tym względem kosztowałaby bardzo wiele.

W tych depeszach odzwierciedlał się pogląd Naczelnego Wodza, przeżywającego wówczas w Italii.

Ówczesny premier p. Mikołajczyk opierał się jednak na diametralnie przeciwnych przesłankach, a punkt jego widzenia znalazł jednogłośnie poparcie na Radzie gabinetowej.

P. Prezydent Raczkiewicz, z racji swych uprawnień konstytucyjnych, mógł sam zdecydować, lecz pod wpływem uchwały gabinetowej musiał ustąpić, a cóż dopiero szef sztabu, który musiał respektować polecenie Prezydenta.

Jeśli się przy tym zważy, iż czas naglił, można łatwo zrozumieć w jak trudnej sytuacji znalazł się gen. Kopański, który bez nakazu wyższych czynników nie mógł samodzielnie działać.

Nie mniej jednak sposób ujmowania i zapatrywanie się na powstanie generała Sosnkowskiego był wysoce logiczny, jasny i merytoryczny z punktu widzenia zarówno militarnego jak i politycznego.

Jeśli zatem zapatrywanie i gen. Andersa pokrywało się z decyzją Naczelnego Wodza, nie będę daleki od prawdy twierdząc, iż tego rodzaju trzeźwy sąd powinien cechować każdego dowódcę na wyższym szczeblu dowodzenia, a zatem i gen. Bór-Komorowskiego.

Gen. Komorowski, dowodząc na punkcie izolowanym, mógł się kierować dyrektywami Naczelnego Dowództwa, ale przede wszystkim swoją samodzielną matematyką strategiczną, która w danym momencie nie była bynajmniej zawila. Wiedział, iż w dzisiejszych warunkach techniki wojennej nie rozporządza ani odpowiednią bronią ani sko-

ordynowanymi oddziałami, wiedział iż nie sztuka będzie wyprzeć z miasta przeciwnika, lecz miasto ochronić i utrzymać. Wiedział, iż nie-zdemoralizowany przeciwnik potrafi zniszczyć tego rodzaju ośrodek walki bez potrzeby angażowania nawet swego żołnierza. Wiedział gen. Bór-Komorowski, iż przeciwnik wykona swój atak za pomocą lotnictwa i artylerii.

Wiedział już gen. Bór-Komorowski, iż przeciwnik ze wschodu nie utrzymuje żadnego kontaktu dyplomatycznego z rządem polskim w Londynie. Wiedział gen. Komorowski o aspiracjach i dążnościach Stalina po Teheranie i Jałcie, tym bardziej gdy w tym kierunku swoją zgodę wyraził zarówno Prezydent Roosevelt jak i premier Churchill, wiedział gen. Komorowski, iż Polska nie jest celem strategicznym państw zachodnich względnie ich wojsk, i że na pomoc z tej strony absolutnie nie może liczyć.

Wiedział gen. Bór-Komorowski, iż wojska czerwone rozbrajają oddziały A.K. już na terenie Polski. Wprawdzie Wanda sowiecka nakłaniała ustawicznie do powstania, ale chyba ten szczegół najmniej nadawał się do rozważań. Na jakich więc przesłankach opierał swą samodzielną decyzję gen. Bór-Komorowski, kiedy już w parę dni po powstaniu depeszuje do Londynu, iż Niemcy tak ostrzelują miasto iż trudno wytrzymać, gdy wręcz żąda wydatnej pomocy od Naczelnego dowództwa wojsk alianckich, gdy skarży się na brak broni, amunicji i żywności.

Następnie, widząc bierność i zdecydowaną pasywność ze strony wojsk Rokossowskiego, szuka z nim kontaktu i współdziałania, a gdy to nie odnosi żadnego skutku, wydaje rozkaz przez Londyn do wszystkich oddziałów A.K. w terenie, by spieszyły na odsiecz stolicy, ale i to zawodzi gdy żaden z tych oddziałów, tak efektywnie działających w walce partyzanckiej, nie był zdolny do działania przeciw nieprzyjacielowi operującemu zdecydowaną bronią i przewagą techniczną.

I nieobliczalna w skutki decyzja gen. Bór-Komorowskiego przemieniła się w katastrofę, w której została zniszczona cała stolica, w gruzach jej zginęło 250.000 ludzi, a w końcowym efekcie gen. Bór-Komorowski kapituluje.

Shusznice pisze prof. Studnicki do jednego z periodyków polskich w Londynie, iż samo ustosunkowanie się rządu sowieckiego do rządu polskiego wskazywało, iż każda akcja zbrojna w Polsce przeciw Niemcom w tym czasie była wyłącznie pomocą dla sowieckiego celu, czego nie powinien być przeczyć gen. Bór-Komorowski przede wszystkim.

Szukanie zatem winy u gen. Kopańskiego czy też nawet w inicjatywie ówczesnego premiera i jednostronne oświetlenie przez polską prasę londyńską powstania warszawskiego, na tle którego uplastycznia się jedynie bohaterski wyczyn gen. Bór-Komorowskiego, jest niezgodne z niezależną myślą Kraju i dużą częścią opinii społeczeństwa polskiego na emigracji.

Nikomu nie przechodzi przez myśl umniejszanie bohaterstwa żołnierzy A.K. i gdyby krok społeczeństwa, względnie mieszkańców stolicy, podyktowany był samodzielną inicjatywą, musielibyśmy uchylić czoła przed tragedią i współczuć temu odruchowi, jako wyrazowi przebranej cierpliwości i cierpieniu. Inspirowane natomiast powstanie przez Komendanta i jego sztab, nie mogło znaleźć swej analogii w powstaniu lwowskim z r. 1918, które było czynem samodzielnej akcji odruchowej całego lwowskiego społeczeństwa, a choć i tam były ofiary to jednak nie w takim stopniu, zaś cel został całkowicie osiągnięty.

Powstanie warszawskie nie tylko nie zmieniło, ale i zmienić nie mogło stanu rzeczy na terenie międzynarodowym i wśród naszych aliantów, natomiast ułatwiło zadanie wojskom czerwonym i to kosztem przekraczającym granice wszelkiego kataklizmu, jaki się walił na nas w dziejach naszej historii. Jeśli zatem w poszukiwaniu winowajców staramy się kroczyć po fałszywych i nieistotnych drogach dochodzeń, to odpowiedzialnością należy obarczyć nie tylko ówczesnego komendanta A.K., ale i jego doradcy sztab za bezmyślne spowodowanie tak wielkiej tragedii.

Janusz SKARBK-MICHAŁOWSKI.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ukazującymi się listami polemicznymi w sprawie działalności NSZ w czasie okupacji niemieckiej, prosimy Pana o zamieszczenie w poczytnym piśmie Pana naszego naświetlenia i pewnych wyjaśnień co do działalności NSZ, a w szczególności oddziału ich znanego pod nazwą "Brygada Świętokrzyska".

Jeżeli chodzi o założenia ideologiczne NSZ, to jednemu z podpisanych, Inspektor K.G. NSZ "Maciej", podał je w postaci następującej:

1) Niemcy są rozbite przez Aliantów. Z nimi nie trzeba walczyć, natomiast wszystkie siły skierować przeciwko wrogowi Nr 1 — Rosji Sowieckiej.

2) Dążeniem NSZ jest osiągnięcie władzy w Nowej Polsce. W tym celu nie cofną się przed walką bratobójczą. Do tego są im potrzebne oddziały zbrojne i dlatego nie podporządkują się.

Z poglądami tymi można się zgadzać lub nie — i na ten temat, jako żołnierze, dyskusji nie podejmujemy.

P. "Żbik"-Kaniewski podaje jednak fakty z działalności "Brygady Świętokrzyskiej", z którymi my osobiście mieliśmy, pośrednio lub bezpośrednio, bardzo wielkie kłopoty w terenie. Fakty — które zostały podane fałszywie. Nieprawdziwe, bądź w istocie, bądź w naświetleniu, są fakty następujące, jak kolejno podane w liście otwartym p. "Żbika" w "Kulturze" nr 6/44 z 1951:

1) P. Żbik uważa — że znalezienie się p. "Zęba" w NSZ jest jego prywatną sprawą. Że tak nie jest, niech o tym świadczy fakt, że czyn ten został zakwalifikowany i przekazany do rozpatrzenia przez Sąd Polowy 2 Polskiego Korpusu we Włoszech.

2) Tak się złożyło, że niestety dwoje ludzi z Komisji Weryfikacyjnej A.K. we Włoszech do Kraju pojechało. Nikt jednak z weryfikowanych — jak dotychczas, osobiście, na tym nie ucierpiał — więc zarzut ten nie ma podstaw bytu. Dalej, rozkaz scaleniowy gen. Bora z marca 1944 nie może być podstawą weryfikacji żołnierzy NSZ, którzy go nie wykonali.

3) Nie znamy dokładnie działalności bojowej śp. "Dymyzy". Odnosimy się jednak do wyliczeń akcji śp. "Dymyzy" — przez p. "Żbika" — więcej niż sceptycznie, a to na tej podstawie, że jedna z przypisanych Mu akcji na pewno Jego akcją nie była. Chodzi tu o akcję pod Ożarowem, gdzie zginął generał niemiecki. Wszyscy podpisani stwierdzają, że akcja ta, zupełnie zresztą przypadkowa, została wykonana przez "Tomka-Tarzaną" (ppor. Wójcik), niegdyś żołnierza również NSZ, a podczas akcji już scalonego z A.K. śp. "Dymyzy" nie było wówczas w ogóle na terenie pow. opatowskiego. Znani nam są wszystkim jed-

nak postaci "Stepa" i śp. "Dymyzy", jako tych, którzy przede wszystkim ogalać teren na potrzeby NSZ.

4) Wszyscy podpisani byli żołnierzami 2 D.P. A.K. i byli w Radkowie. Opinia p. Lednickiego pokrywa się z prawdą. Strzelec "Bór" z "Brygady Świętokrzyskiej" schronił się do oddziału "Nurta" — jak twierdził — z powodów politycznych. Egzekutywa Brygady zgłosiła się o wydanie w.w., nic jednak nie wspominała o przestępstwie. Również nie podał tych zarzutów p. "Ząb" — widząc się później z "Nurtem".

5) Borów. Nie podaje p. "Żbik", że oblawa na nieszczęsne wsie poszła na skutek tego, że:

a) postój oddziału "Zęba" trwał nieprzerwanie przez 6 miesięcy;

b) w długim tym okresie czasu — cała ludność była rozkonspirowana przez zakaz wywózki drzewa, nakładanie haraczu zboża i mięsa na potrzeby oddziału i niemożność odstawiania kontyngentu;

c) przez urządzenie poświęcenia sztandaru Legii Nadwiślańskiej; fotografie z tej uroczystości krążyły po terenie, itd.

Wycofanie się p. Zęba w lasy bez walki — nie uratowało ludności. Tysiąc dwieście mężczyzn, kobiet i dzieci pozostało w ziemi. Czy przyjęcie walki nie umożliwiłoby odskoku w las chociaż części ludności?

6) P. "Żbik" stwierdza, że współpracy z Niemcami nie było. Z całym poczuciem odpowiedzialności podajemy fakty następujące:

a) był dwukrotny kontakt "Toma" z Gestapo: raz w Ostrowcu — drugi raz w gajówce Władkowice k. Cmielowa;

b) Kontakt P. "Zęba" z komendantem żandarmerii w Opatowie — hauptmanem Kuenecke — w miejscowości Sobótka;

c) Członkowie NSZ pp. Sawicki jr. i Malinowski naprowadzili oddziały żandarmerii na grupę AL "Osy" pod Podolem—Lipowa, pow. Opatów. Obaj zginęli przypadkowo od ognia niemieckiego w tej samej akcji. Na pogrzebie delegacja Niemców;

d) "Pplk. Bohun" miał konferencję z oficerami IV Panzer Armeje w rejonie Nieklania — pod Szydłowcem;

e) P. "Żbik" przyznaje się do kontaktu z hauptmanem Huste, natomiast nie wspomina o wizycie swej w więzieniu w Jędrzejowie — gdzie osobiście wybrał pewną grupę aresztowanych do zwolnienia. Między innymi zwolnił dwóch żołnierzy A.K. — za co dziękujemy;

f) Podczas gdy 2 D.P. A.K. przechodziła w walce umocnioną linię rz. Nidy — Góry Małogoskie — w tym samym czasie Brygada przechodziła w biały dzień te same umocnienia bez walki pod Krasociniem;

g) Brygada pobierała w "Społem" w Kielcach żywność i inne artykuły przygotowane dla niej na zlecenie Gestapo — za pokwitowaniem;

h) W maj. Czaryż pow. włoszczowskiego Brygada pobrała około 100 mtr. zboża za pokwitowaniem; zboże to zaliczono majątkowi na kontyngent i otrzymał majątek za to premię — jak za normalnie odstawiony kontyngent. Kreislandwirt wściekał się o nadwyżkę 50 mtr., zabranych ponad umówioną ilość;

i) Ranni i chorzy Brygady byli leczeni oficjalnie w szpitalach Jędrzejowa i Włoszczowej;

j) Przemarsz Brygady na Zachód w porozumieniu i w ścisłej współpracy z Wehrmachtem jest historią długą, znaną z zeznań żołnierzy N.S.Z.

k) W kwietniu 1945 zostały zrzucone 3 ekipy po 8 skoczków z Brygady, przygotowanych przez "Toma", z samolotów niemieckich, startujących z lotnisk położonych na terenie Czech. Dowództwo nad całością miał kpt. "Aleksander" z Brygady. Zrzucony został na teren tarnobrzeski i kielecki (Skarżysko). Pełne 2 ekipy siedziały w maju 1945 w więzieniu kieleckim — łącznie z jednym z podpisanych.

Jak zaznaczyliśmy na wstępie — nie chcemy dyskusji o założeniach politycznych. Uważamy jednak, że z chwilą gdy pewna grupa ludzi, stosunkowo b. nieliczna — wyłamuje się w czasie wojny spod ogólnej dyscypliny narodowej i prowadzi odrębną politykę — grupa ta powinna mieć cywilną odwagę wyraźnego podtrzymywania swego poprzedniego stanowiska i w zmienionych okolicznościach. Przeinaczanie, przemilczanie i wypieranie się faktów — w okresie, gdy sprawdzenie ich jest właściwie niemożliwe — nie jest pozycją dodatnią w dorobku. Podaliśmy szereg faktów — w myśl zasady "audiatur et altera pars". Zdajemy sobie sprawę, że są to nasze słowa — przeciwko słowom pp. "Zbika" i Zochowskiego i że mogą ci panowie powiedzieć, że to nieprawda. Czytelnik sam niech się zastanowi i osądzi. Czytając historię w opracowaniu pp. "Zbika" i Zochowskiego, przypominają się słowa p. Cata-Mackiewicza (z którym w wielu wypadkach się nie zgadzamy): "badania historyczne — nie są szaszykiem". Nie można historii przyprawiać według własnego gustu.

Łondyn, sierpień 1951.

- (—) "SIWY", mjr.
b. Szef Sztabu 2 D.P. A.K.
- (—) "SANDACZ", kpt. mar.
b. Komendant Obwodu Opatów.
- (—) "KRET", kpt.
b. Of. Inf. Inspekt. Sandomierz.

Drogi Panie Redaktorze!

Wobec ponownego wystąpienia p. Strońskiego w ostatnim numerze "Kultury" 9/47 — w związku z moim artykułem o "pakcie Sikorski-Majski" ("Kultura", nr 4/42) i moim listem do Redakcji ("Kultura" nr 8/46) — proszę Pana muszę o umieszczenie w "Listach do Redakcji" tych trzech moich stwierdzeń:

1. W liście swoim ("Kultura" 8/46) wymieniłem dwa źródła, zawierające notę sowiecką z 16.I.1943, a mianowicie: "Biuletyn Organizacyjny" K.N.A.P.P. z marca 1943 i zbiór dokumentów "Od Apelu do Kongresu". P. Stroński z dwóch tych źródeł wybrał dogodniejszy dla siebie "Biuletyn" i, po swojemu argumentując, wyciąga — w jego przekonaniu — drugoczący przeciwko mnie wniosek, "Biuletyn" bowiem podaje nie "brzmienie noty", lecz jej "w przybliżeniu treść". P. Stroński nie zechciał zająć do drugiego wskazanego przeze mnie źródła, do zbioru "Od Apelu do Kongresu", bo podcinałoby to całą jego argumentację, zbiór ten bowiem poprzedza podany krótkim komentarzem, zakończonym słowami: "Rząd polski otrzymał notę sowiecką, która miała treść następującą".

2. Zajęty poważną pracą — nie mam ani czasu, ani chęci do prowadzenia niekończącej się polemiki w tej jednej sprawie. Do zawodów

w piniaczeniu się z p. Strońskim nie staję, bo wiem, że mu w tym nie dorównam. Stwierdzam tylko, że jest to ostatnia moja w tej sprawie odpowiedź i że na wszelkie przyszłe wystąpienia p. Strońskiego w tej sprawie odpowiadać nie będę.

3. P. Stroński list swój ostatni kończy zapowiedzią skierowania swych przeciw mnie stwierdzeń do paru polskich instytucji naukowych. Ani to mnie nie przeraża, ani też nie przecieram, czytając, oczu ze zdumienia. Wzruszam tylko ramionami. De gustibus non est disputandum.

Paryż, dn. 12 września 1951.

WI. POBÓG-MALINOWSKI.

Szanowny Panie Redaktorze,

Niniejsze piszę imieniem wyłącznie własnym, gdyż mieszkając od 8 lat na Madagaskarze, gdzie jest nas kilku tylko Polaków rozrzuconych zresztą na tej wyspie większej od przedwojennej Polski, nie mam możliwości wymiany z rodakami poglądów na sprawy polskie. Otrzymywane z kilkutygodniowym opóźnieniem "Wiadomości" i "Kultura" są ostatnimi niemi łączącymi mnie z polską przeszłością i teraźniejszością.

Pierwszą część "Trans-Atlantyku" w numerze 5 "Kultury" przeczytałem do końca z prawdziwym niesmakiem, a zamieszczenie tego — moim zdaniem — zbioru wulgarnych nonsensów zakrawających na tzw. kpiny z publiczności uważałem za rezultat bądź nieporozumienia, bądź też daleko posuniętego liberalizmu Redakcji. Oszczędziłem sobie też czytania drugiej części w numerze 6, natomiast z zainteresowaniem przestudiowałem Wittlina "Apologię Gombrowicza" w numerze 7/8.

Zaznaczam tutaj, że z zawodami literata czy krytyka nie mam nic wspólnego, niniejsze uwagi zatem są wypowiedziami odosobnionego czytelnika myślącego po polsku i interesującego się nadal sprawami polskimi. Z braku kompetencji nie wypowiadam się też o zdolnościach literacko-artystycznych p. Gombrowicza czy p. Wittlina jako krytyka, zostawiam to jego kolegom.

Już sam fakt ukazania się obrony autora "Trans-Atlantyku" utwierdza mnie w mniemaniu, że nie jestem odosobniony w ujemnej ocenie jego utworu. Ale skoro p. W. tak gorliwie broni i dzieła i autora, to wypowiedziawszy się już zwięźle na temat dzieła, winienem jeszcze powiedzieć co myślę o jego obronie.

Wolno p. W. uważać p. G. za nową gwiazdę literatury polskiej, to jego kompetencja jako krytyka, ale przekracza on tę kompetencję, broniąc zachowania się p. G. we wrześniu 1939, ta sprawa nie ma już nic wspólnego z literaturą. Polski czytelnik będzie mieć własny sąd o tym zachowaniu się p. G., sąd zapewne, z małymi wyjątkami, odmienny od sądu p. W.

P. W. zestawia i prawie że kładzie znak równości między powiedzeniem rady Ponińskiego w Bukareszcie: "w imieniu R.P. wzywam Pana do mówienia prawdy", a przedstawionymi w "Trans-Atlantyku" rozmowami autora z członkami Poselstwa R.P. w Buenos Aires, w których to rozmowach wymienia się obficie słowa wykropkowane. W

pierwszym jest patos wynikający z tragedii naszego września, w drugich wulgarność, którą obrońca usiłuje nam przedstawić jako humoreską czy groteskę. Można autorowi pogratulować tematu, na przyszłość proponuję powstanie warszawskie czy Katyń. — Wśród wielu wad przypisywanych polskim i niepolskim dyplomatom brak zarzutu wulgarności wynalazł ją p. G. a p. W. zaliczył ten wynalazek do "objawienia", za jakie uważa "Trans-Atlantyk".

A jeśli w pojęciu p. W. "Trans-Atlantyk" jest poszukiwaniem prawdy i to tej samej prawdy, której świadectwo dał Ukrzyżowany, to twierdzenie takie nazwę bluźnierstwem, które czytelnik chrześcijański z oburzeniem i obrzydzeniem potępi.

Niech więc p. W. smakuje w Chudych i Kiepskich Kluskach autora, niech mu jego słowa na g... odświeżają powietrze, ogół czytelników zdrowo i po polsku myślących pozostanie chyba z dala od tej pachnącej i niestrawnej uczt.

Tad. DROBNIAK.

Tannanariva, B.P. 394.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem artykuł p. W. Ostrowskiego ("Kultura" 7/45-8/46), omawiający jeden z działów wytrwałej pracy "starej" emigracji Polonii argentyńskiej, którą tak niesłusznie i krzywdząco potraktowała p. J. Karbowska ("Kultura" 4/42).

Zajmując się z ramienia Klubu Polskiego — organizacji od 11 lat prowadzącej działalność na polu kulturalnym — zbieraniem polonistów argentyńskich, pragnę dorzucić do opublikowanego wykazu czasopism polskich w Argentynie kilka pozycji, które uszły uwadze p. Ostrowskiego.

Konflikt tutejszej kolonii ze wspomnianym dzierżawcą "Głosu Polskiego" nie kończy się zupełną kapitulacją dzierżawcy, jakby to z treści artykułu wynikało, bowiem p. Olejniczakowski rezygnuje co prawda z tytułu, ale nie z pisma i wydaje nowy tygodnik pt. "Przyjaciel Ludu", ukazujący się zresztą przez krótki okres czasu.

W tymże roku 1930 wychodzą również cztery numery anonimowego pisma satyrycznego — "Głos Zieleniasty".

Przy "Codziennym Niezależnym Kurierze Polskim", a nie — "Kurierze Niezależnym", jak podaje p. Ostrowski, prócz miesięcznika "Argentyna" ukazuje się też rok rocznie — bodajże od 1932 r. — "Kalendarz Polski".

Próby wydawnicze "nowej" emigracji nie ograniczyły się li tylko do dwóch zacytowanych pozycji. Redaktor humorystycznego pisma 2 Korpusu — W. Kowańko — wydał w ubiegłym roku dwa dalsze numery "Łazika".

Stow. Inż. i Techn. Pol. w Argentynie pokusiło się o polskie pismo techniczne, którego 1-szy numer o wysokim poziomie fachowym, redagowany w trzech językach (polskim, hiszpańskim i angielskim), ukazał się w 1950 r. Obecnie prowadzone są prace nad wydaniem dalszych numerów "Techniki".

Pionierską i godną uznania pracę podjął tut. Krag Starszoharcerski, redagując i odbijając na powielaczu miesięcznik dla młodzieży — "Nasz Znicz". Pisemko, którego 1-szy numer wyszedł w grudniu 1950 r., rokuje coraz lepsze nadzieje.

Na marginesie trzeba jeszcze wspomnieć, że przed dwoma miesiącami ukazało się nowe pismo reżimowe — "Tygodnik Polski".

Przesyłam wyrazy poważania

Jerzy DITTMAR

Hubac 4860, Buenos Aires.

Résumé des principaux articles parus dans ce numéro :

STANISLAS VINCENZ : LES ANNIVERSAIRES DE GANDHI

Dans la première partie de son article l'auteur nous donne une idée du « Swaraj », c'est-à-dire de l'indépendance de l'Inde, telle qu'elle fut conçue par Gandhi lui-même, idée contraire à tout isolationnisme. L'auteur veut démontrer que les postulats fondamentaux de Gandhi ne sont pas aussi exotiques que l'on croit, et ne se rapportent pas seulement à l'Inde, mais qu'ils ont une importance réaliste bien révolutionnaire et sont d'une actualité permanente pour l'humanité entière. Ils sont pour le moins dignes d'un examen attentif et d'une discussion approfondie. Pour mieux les faire mettre en relief il faut, d'après l'auteur, se souvenir de Vauvenargues. Il a défini comme « la loi la plus générale » qui dirige les Etats, les peuples et les individus : la loi de la violence, la loi du plus fort vis-à-vis du faible. L'auteur évoque les efforts de l'empereur bouddhiste Açoka, qui dans sa pratique gouvernementale s'opposa à la loi de la violence, ensuite il engage une discussion autour du dialogue platonien « Gorgias » ; Partant du principe que « léser quelqu'un est pire qu'être lésé » Socrate propose le cosmos de la communauté de Dieu et des hommes, le cosmos de l'amitié et de la mutualité amicale contre « l'acosmie » de la violence et du chaos. Il ne faut pourtant pas oublier, nous dit l'auteur, que la doctrine de violence elle-même est aussi capable de progrès, ce qui s'est réalisé à partir du temps des thèses de l'hôte et adversaire de Socrates, Calicles, jusqu'à la doctrine de De Maistre qui lui aussi chercha ce lien mystérieux de la communauté dans la violence et le trouva dans l'institution du bourreau. Les temps nouveaux nous montrent aussi bien dans les « Réflexions sur la violence » que dans les dialectiques de la violence, que toutes ses réflexions de dialectique subissent un progrès inouï et vertigineux.

S'opposant à ces doctrines de la violence comme à ce progrès Gandhi dit : non. C'est son attitude principale, mais pas du tout négative, parce qu'il réalise le cosmos humain de Socrate, il expérimente la vérité, il persévère avec la vérité. « Satyagraha » (persévérance dans la vérité) c'était un mot nouveau et une attitude nouvelle : le nom d'une autre loi générale, dont la réalisation dépend de nous tous, à chaque moment, une loi qui est douce mais inflexible. Selon cette loi le but ne peut jamais justifier les moyens, et comme les moyens ne peuvent nier le but, ils doivent le réaliser. L'auteur démontre les différences entre Gandhi et les pacifistes occidentaux, qui s'adressent vaguement à l'humanité et à l'avenir, tandis que Gandhi qui réalise des tâches concrètes transforme son entourage immédiat au moment immédiat.

L'auteur a publié autrefois un essai : « Gandhi sur le plan des doctrines hindouistes ». Ce qui est nouveau dans l'article présent c'est que M. Vincenz emprunte cette fois-ci le chemin contraire, en montrant que Gandhi a introduit beaucoup d'activités et métiers occidentaux dans la société indienne. Professions d'avocat, de journaliste, de rédacteur, d'organisateur de coopératives économiques et même celle du banquier — en changeant la hiérarchie de ces métiers, la hiérarchie de moyens et de buts. C'est le chemin pour nous autres.

Les parties qui vont suivre et qui seront publiées dans nos prochains cahiers contiennent une comparaison de Jefferson, président des Etats-Unis et créateur de la Constitution américaine, avec Gandhi et de la

nouvelle Inde avec l'Amérique du XVIII^e siècle. — Pour finir c'est une perspective un peu inattendue à vrai dire mais bien impressionnante, l'auteur prend en considération l'influence possible de l'éducation de *Acrum* (*Permitage*) c.à.d. de l'école fondée par Gandhi, l'application en vue d'une lutte politique du jeûne, de l'ascèse indienne et de tout entraînement ascétique contre les systèmes totalitaires, ces systèmes, qui pour employer l'expression de Benjamin Constant, « veulent jeter à genoux la force intérieure de l'homme ».

Zbigniew Malecki dans un essai « Le livre au Congrès de Vienne » relate les démarches des libraires allemands en vue d'assurer, par les décrets du Congrès la protection des droits d'auteurs et la liberté de la parole. Cet article nous montre que les principes dont l'Occident s'enorgueillit sont assez récents et en plus que le Congrès de Vienne a prêté bien plus d'attention aux problèmes de la parole et du livre que, de nos jours, les si nombreux organismes internationaux.

Witold Gombrowicz dans un article « Contre les poètes » soumet la poésie contemporaine à une sévère critique.

Joseph Czapski présente dans « Montagnes russes » l'écrivain Aleksieï Remizov. Il parle de son style, sensuel, riche en nuances et couleurs, qui prend sa source au XVI^e et XVII^e siècle moscovite, époque d'avant Pierre-le-Grand; ce style est rempli d'heureuses trouvailles verbales, jamais abstrait ni pastiche. C'est par son côté russe, jusqu'à l'extrême, une tendresse et une pitié sur un fond de cruauté et de détresse que ce grand écrivain exilé depuis trente ans atteint l'universel. L'essai est suivi de deux fragments d'un livre inédit de Remizov (« Le professeur de musique ») : « Au bain » et « La part du rat ». Ces pages donnent une image poignante de la solitude et de la misère dans un monde d'émigré.

Stanislaw Gryziewicz dans un article intitulé : « L'évolution du système agraire en Russie » donne un aperçu sur la portée des récents décrets soviétiques concernant l'exploitation agricole.

Le professeur Jerzy Langrod rend compte des activités de la plus importante des sociétés savantes en Pologne, l'Académie des Sciences à Cracovie, activités de plus d'un siècle en vue de son imminente liquidation, officiellement décrétée.

Ce cahier contient encore d'amples chroniques sur la vie de l'émigration polonaise en France, aux Etats-Unis et en Grande-Bretagne, une correspondance d'Allemagne traitant en premier lieu de la reconstruction des Instituts Orientaux et de la rémilitarisation, une chronique culturelle : compte rendu de l'Exposition de Toulouse Lautrec à Paris et un aperçu du rôle de Bernard Shaw dans le théâtre polonais.

Pour terminer il y a la critique des livres : de Joseph Mackiewicz sur l'affaire de Katyn — livre paru dernièrement en anglais et publié précédemment en allemand, en Suisse, ainsi que du livre de l'amiral Auphan « Les grimaces de l'histoire ».

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: M^{me} Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal : 4^e trimestre 1951

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

FRANCJA: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV^e.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Källskärsgatan 3/IV, Stockholm
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83 Front St. E. Toronto/Ont; Foreign Languages Advertising Co., 1523 Drummond, Montreal, Que.; Stan. L. Opolski, 880 Barton St. E., Hamilton/Ont.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 808 Wager Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Osetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Plewczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 200 East 21 st., New York 10, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY., Ltd., 77, Pitt Street, Sydney
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève.

Egz. poj.	Prenumerata	
	½-roczna	Roczna
150 fr.	900 fr.	1800 fr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
250 lir	1500 lir	2500 lir
3 kr.	15 kor.	28 kor.
2,50 DM	15 DM	25 DM
6 peso	36 peso	72 peso
75 cent.	4 dol.	6 dol.
30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
15 cruz	90 cruz	150 cruz
2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH.

Bezpłatna wysyłka

poprzez niemieckie przedstawicielstwa w:
Frankfurt/Main-Sachsenhausen, Stegstrasse 36

Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

“ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11
Tel. BATTERSEA 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIETRZYŃSKI,
31A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii,
Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA :
WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A :
WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,
rocznie 45/-.

■ PRENUMERATE PRZYJMUJĄ:
WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IV^e,
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal
Joffre, Bruxelles-Forest; nr konta pocztowego 7315.20.

W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A : (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orła Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

GRYF PUBLICATION LTD,

169/171, Battersea Church Road, LONDON S.W.11

Cena 150 frs.